MIESIĘCZNIK

fantastyka

3 (18) MARZEC 1984 CENA 50 ZŁ



- CLARKE
- ASIMOV
- SNIEGOW
- nowele z konkursu FANTASTYKI

GTW

Pierwszy jest Wrocław

Wrocław jest pierwszy. Ale już zaraz po nim zgłasza swój akces do tworzącego się Klubu Sympatyków Miesięcznika „Fantastyka" największa organizacja fanowska w kraju - Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki.

Oczywiście są to oficjalne deklaracje współpracy. Faktycznie trwa ta współpraca od początków istnienia naszego miesięcznika. Dlatego też wspólnie z wydawcą - kierownictwem Krajowego Wydawnictwa Czasopism postanowiliśmy nagradzać rokrocznie organizacje fanowskie, które:

- wykazują się dużą aktywnością w popularyzowaniu fantastyki i jej problemów,
- prowadzą prace z młodymi twórcami,
- wspomagają swoim działaniem prace miesięcznika „Fantastyka".

Nagrody mają charakter skromnej dotacji na dalszą aktywizacje działań klubów.

Uniwersytecki Ośrodek Kultury
„INDEX"
Grupa Literacka „No Wave"
Klub Fantastyki
ul. [illegible] 19/21 Tel. 318-13
50-139 Wrocław

Wrocław dn. 4.11.198

L.dz. [illegible]

Miesięcznik Literacki
Fantastyka

Z wielką przyjemnością zawiadamiamy, że wrocławski Klub Fantastyki zgromadzony na swym walnym zebraniu w dniu 01.11.1983 po wysłuchaniu relacji prezesa kol. Ryszarda Krauze z przeprowadzonych przez niego rozmów na Dniach Fantastyki w Dzierżoniowie, podjął uchwałę następującej treści:

Z uznaniem witamy inicjatywę powstania międzyśrodowiskowej organizacji fanów/skupionych wokół miesięcznika literackiego FANTASTYKA. Uważamy FANTASTYKĘ za naturalnego i kompetentnego sprzymierzeńca w działaniach mających na celu upowszechnianie szeroko pojętej fantastyki i samoorganizacji miłośników gatunku.

Klub Wrocławski jest gotów do współtworzenia takiej organizacji.

Ze swej strony deklarujemy informację w środowisku wrocławskim o działalności organizacji, zamierzeniach i propozycjach; zapewniamy wsparcie merytoryczne w podejmowanych przez nią imprezach i inicjatywach.

Na wstępie proponujemy, aby trwałym elementem współpracy stała się wymiana wydawanych przez poszczególne grupy pism i książek. Ze swej strony jesteśmy w stanie wysyłać każdemu zrzeszonemu w organizacji klubowi po jednym wydawanym przez nas kwartalniku fantastycznym "No Wave"



za Klub

Ryszard Krauze Andrzej Drzewiński Andrzej Ziemiański
prezes



Nagrody Hugo

41 światowa Konwencja SF w Baltimore rozdzieliła doroczne nagrody HUGO. Ich laureatami za rok 1983 zostali:

- Isaac ASIMOW za powieść „Foundations Edge"
- Joanna RUSS za minipowieść „Solus"
- Connie WILLIS za opowiadanie „Fire Watch"
- Spider ROBINSON za miniopowiadanie „Melancholy Elephants"
- Michael WHELAN za najlepszą profesjonalną twórczość plastyczną
- Alexis GILLILAND za najlepszą amatorską twórczość plastyczną
- Richard F. GEIS za najlepszą amatorską twórczość literacką
- Ed FERMAN za najlepszą działalność edytorską
- film „Blade Runner" jako najlepsza adaptacja dramatyczna
- magazyn „Lucus" jako najlepszy magazyn SF



Robot chciał zostać człowiekiem. I to tak bardzo, ze zapłacił najwyższą cenę za spełnienie swojego pragnienia. Autor „Ja - robot” ukazuje jeszcze jedną z możliwych konsekwencji umieszczania w maszynie wysokoskomplikowanego sztucznego mózgu.

Isaac Asimov - „Człowiek który żyt dwieście lat”



Ostatni kwartał roku 1983, który przecież równocześnie byt początkiem drugiego roku działań naszego zespołu redagującego ,,Fantastykę", dał nam mnóstwo sposobności do skonfrontowania tego co robimy - z opiniami naszych Czytelników. A ci Czytelnicy to w dużym procencie tanowie, miłośnicy science fiction. Jest to całkiem nowy rodzaj publiczności literackiej, literatom innych gatunków twórczości całkiem nieznany. Składa się z ludzi nieufnych, błyskawicznie reagujących - często nawet bezlitośnie - na swoje autorskie sympatie czy antypatie. Czasem mam wrażenie, gdy przed nimi siedzę, że za to co im się nie podoba mogliby biednego twórcę wynieść z sali. Oprócz temperamentów, których nie lubią krępować, nasi tanowie cechują się to trzeba im przyznać - dużą, czasem nawet bardzo dużą znajomością wszystkiego co fantastyki dotyczy. I nie tolerują błędów.

Kiedy w Krakowie w świetnym nowohuckim centrum kultury, do którego na spotkanie autorskie przywiozłem z Warszawy grupę pisarzy radzieckich, powiodłem oczami po amfiteatrze sali, wiedziałem od razu z kim będziemy mieć do czynienia. Znawcy zaraz odkryli w zapowiedzi, w życiorysach przedstawionych im pisarzy, drobne błędy. Już kiwali głowami na boki z dezaprobatą, już niespokojnie wiercili się na krzesłach. Szybko przeprosiłem za pomyłki: porozumiewawcze uśmiechy. Za to potem w dyskusji, po wysłuchaniu fragmentów utworów w aktorskim wykonaniu, pytania były celne, znajomość literatury - nie tylko tej dostępnej w języku polskim, lecz także w rosyjskim (tak jest!) - naprawdę .imponująca. Zaimponowali także naszym gościom. Zresztą tacy sami są ich radzieccy koledzy. Z dalekich peryferii ZSRR przychodzą do nas coraz częściej listy od tamtejszych fanów znających biegle zarówno naszą ,,Fantastykę" - czasopismo, jak i fantastykę - temat, gatunek Tacy już oni są, ci tanowie, ze przed swym idolem gotowi są serce otworzyć, ale jak coś im się nie podoba, jak nie kochają jakiegoś twórcy, to mu to brutalnie w oczy sypią. Aż wtedy przykro. W ten sam zresztą sposób reagowały audytoria w czasie Dni Fantastyki w Dzierżoniowie. Nieraz czułem się jak rockowy muzyk na koncercie o zbyt zróżnicowanym repertuarze.

Tak jest. Od fanów wiele w naszej codziennej pracy nad „Fantastyką" zależy. Staramy się wychodzić naprzeciw ich gustom i żądaniom, co nie oznacza jednak, ze będziemy traktować utwory, jakie pragniemy przedstawiać, wąsko i jednokierunkowo. Możecie się - przynajmniej niektórzy wściekać, a ja i tak poezję, na razie w nie za wielkich dawkach, będę Wam serwował. I nadal będziemy drukować nasz „Słownik autorów polskiej fantastyki" oraz „Pożółkłe kartki", choć to licznym, nazbyt zagorzałym, zapamiętałym w swej czytelniczej pasji fanom nie w smak. Woleliby literaturę. I to coraz więcej fantasy. Jak tu nie mówić, że science fiction chyli się ku końcowi. Jednak zarówno w ZSRR, w NRD, jak i na przykład na Węgrzech tradycyjne formy gatunku cieszą się ciągle największym powodzeniem.

Sposobów zaś podawania materiału uczyć się nam wypada. U nas ciężko wywalczyć i lepszy papier, i większą objętość dla publikacji science fiction. A na Węgrzech - jak mówił mi Peter Kuczka, znakomity redaktor serii SF w największym książkowym wydawnictwie Mora - mimo trzykrotnie mniejszej populacji, nakłady prawie dorównują naszym największym - blisko stutysięcznym. Papier książek, jakość okładek bez porównania na wyższym niż u nas poziomie, sporo ilustracji, które w naszych wydaniach książkowych należą do wyjątkowych wydarzeń. Peter Kuczka i lstvan Nemere (znany pisarz i tłumacz z węgierskiego na polski) przywieźli nam także próbki wydawnictw periodycznych: dwa czasopisma „Galaktyka" i „Metagalaktyka" oraz poświęcony SF kwartalnik dla profesjonalistów publikowany przez Związek Pisarzy Węgierskich.

Tymczasem wreszcie zaczyna zataczać coraz szersze kręgi i obejmować coraz więcej klubów realizacja naszego dawnego pomysłu. Pisałem o nim jeszcze w pierwszych numerach „Fantastyki" Od początku mieliśmy zamiar w orbitę bezpośrednich naszych działań wciągnąć stowarzyszenia i kluby fanowskie, a także i tych miłośników literatury fantastyczno-naukowej, którzy lubią chadzać sobie samopas. Bo i to jest charakterystyczne w fanowskim ruchu, ze umie on tworzyć silne organizacje, są to jak gdyby ośrodki samokształcenia we wszystkich dziedzinach ulubionej literatury, jej krytyki, słownictwa, problemów. Tam też, w tych ośrodkach, stawiają zwykle pierwsze kroki pisarze, tam w fanzinach (czyli w mniej lub bardziej skromnie wydawanych biuletynach, pismach i pisemkach) zaczyna się stawiać pierwsze twórcze kroki. Jest to rodzaj „przeddebiutów". Wreszcie tworzymy rodzaj klubu sympatyków naszej „Fantastyki", naszego czasopisma, do którego może przystąpić każda grupa fanów lub każdy tan z osobna. Na drugiej stronie okładki drukujemy pierwszy oficjalny „akt przystąpienia" do tego naszego klubu. Miło nam, że startuje w nim Wrocław, z którego wywodzi się kilku młodych pisarzy SF. Mamy też telefoniczne zapewnienie o przystąpieniu do grona sympatyków „Fantastyki" - klubu poznańskiego. Tego, który wydaje wyróżnionego europejską nagrodą „Kwazara", najlepszy fanzin w naszym kraju. Omówiliśmy również wszelkie aspekty współpracy z najsilniejszą organizacją fanowską - z przedstawicielami Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki, w skład którego wchodzą zresztą także i redaktorzy „Kwazara". Liczymy na dalsze zgłoszenia. Czemu to robimy? Właśnie dlatego, ze tanowie to największy odsetek naszej publiczności literackiej, oczywiście w dziedzinie fantastyki. To również źródło twórców: krytyków, plastyków, pisarzy SF. Coraz liczniejsze bezpośrednie spotkania z Czytelnikami przekonały nas, że choć nie potrzebujemy polować na zwolenników „Fantastyki" - choć rozchodzi się ona dotychczas bez reszty - to jednak dobrze by było mieć blisko siebie tych, dla których o przyszłości piszemy i którzy już dziś zaczynają sprawdzać wartość naszych wysiłków. Zobaczymy jednak co pokaże życiowa praktyka - najważniejsza i najwspanialsza codzienna twórczyni. Pełna niespodzianek. Czasem bardzo przekorna.

1 0 - 9 - 8 - 7 - 6 - 5 - 4 - 3 - 2 - 1 - 0

Adam Hollanek

Skan i opracowanie **GTW**

MIESIĘCZNIK literacki
Fantastyka

02-784 Warszawa-Ursynów,
ul. Służby Polsce 2,
tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy).

Redakcja: Adam Hollanek (red. nacz.), Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. Działu reportażu i informacji), Marek Kubala, Maciej Makowski (kier, działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red), Tadeusz Markowski (z-ca red. nacz), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier, działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Marek Rostocki (kier działu nauki), Krzysztof Szotgmia (z-ca sekr. red), Darosław J. Toruń, Andrzej Wójcik (z-ca red. nacz.).

Opracowanie graficzne: Andrzej Brzezicki i Marek Zalejski,

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93.

Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-56-26.

Warunki prenumeraty: ● Dla zakładów pracy: instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy. ● Dla prenumeratorów indywidualnych: osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy; osoby zamieszkałe w miastach - siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora przy użyciu „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch". ● Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenumeraty: do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa P. Z. Graf. RSW Łódź

Zam.39/84 r.Nakład 150000 egz.M-6

LĄDOWANIE XIII

Dziękujemy

Z okazji Pierwsze/ Rocznicy ukazania się miesięcznika „Fantastyka” życzę Wam wszystkiego najlepszego, owocnej pracy, wielu pomysłów. Życzę tez. żeby w następnym roku miesięcznik ukazywał się w czasie, a nie z opóźnieniami. Większej objętości, większego nakładu. Pomyślności.

***Ryszard Pogorzelski** z Sokółki*

Ten list drukujemy jako *pars pro toto.* otrzymaliśmy bowiem taką stertę życzeń, ze przedrukowuje nawet fragmenty, musielibyśmy Czytelników pozbawić całego tego numeru. Wszystkim Wam, Czytelnicy, najserdeczniej dziękujemy. Kto czytuje tę rubrykę wie również, że choć z opóźnieniem, bo ono niestety jest złą koniecznością, staramy się stopniowo wypełniać życzenia. Życzenia większości.
Dziś, jak to obiecałem, resztę kolumny zajmie rubryka

Komu, komu

*„Fantastyka” nr 4(7), 7(10), 9(13), Strugaccy . „Żuk w mrowisku”, Petecki - „Strefy zerowe”, Lem - „Ba/ ki robotów”. Za to poszukuję: Lem Dzielą: „Dzienniki gwiazdowe” i „Pamiętnik znaleziony w wannie”, Dick - „Słoneczna loteria”. **Tomek Durlik,** Skrytka 21, 26-600 RADOM.*

*„Planeta śmierci” Harrisona, „Żuk w mrowisku” Strugackich, „Druga planeta słońca OGG” Lengyela, „Strefy zerowe” Peteckiego, „Limes interior” Zajdla, „Eskapizm” Sawaszkiewicza, „Kowboje oceanu” Clarke'a, „Tak bardzo chciał być człowiekiem” Markowskiego, „Rubin przerywa milczenie” Peteckiego. To do wymiany. Czekam na propozycje za co. **Mirosław Silicki,** ul. Moniuszki 13/6, 76-200 SŁUPSK.*

*W dziale „Lądowanie ósme” błędnie podano mój adres poda/ę dokładny **Andrzej Łabędź,** 33-100 TARNÓW, ul. Klikowska 110 (a nie Kalinowskiego 110).*

*Nr 1(4) „Fantastyki” wymienię za: Weinfeld „Władcy czasu”, Zajdel - „Ogon diabła”. Każdy inny numer „Fantastyki” za: Snerg - „Nagi cel”, antologia „Ludzie i gwiazdy”, Cooper - „Testament Overmana”. Oramus - „Senni zwycięzcy”, Zajdel - „Limes interior”, Bayley - „Kurs na zderzenie”, Wolski - „Numer”, Abramowowie „Wszystko dozwolone”, Fiałkowski - „Kosmodrom”. **Wojciech Sadowski,** ul. Basztowa 15 m 16, 31-143 KRAKÓW.*

*Z prośbą zwracam się do Czytelników naszego pisma. Za numery 1 i 7 oraz 2 „Fantastyki” oferuję „Astronautów” Lema. **Jacek Czerkawski,** ul. Przemysłowa 34/6, 85-758 BYDGOSZCZ.*

*Odstąpię wszystkie dotychczasowe numery „Fantastyki”, tj. od 1 do 13, czyli z 1982 1-3 oraz z 1983 1-9. **Jarosław Renk,** ul. Skaryszewska 9/33, 83-200 STAROGARD GD.*

*Poszukuję zniszczonego przez potomka nru 3(6) „Fantastyki” z 1983. Mam do zbycia: Petecki - ..W połowie drogi”, Rasch - „ Taniec potworów”. Kurta - „Dzień czerwonego Giganta”, Penciak - ..Neurony zbrodni”, Żwikiewicz - „Druga jesień”, Petecki - „Kogga z czarnego słońca”. Za/del „Ogon diabła”. **Bogdan Kędzior,** ul. Arctowskiego 3-25, 80-287 GDAŃSK.*

*Proszę o poinformowanie Czytelników, ze posiadam do odstąpienia wszystkie numery „Fantastyki”. Dziękuje. **I. Skierski,** uf Śniadeckich 62b/26, 86-300 GRUDZIĄDZ.*

*Posiadam numery „Fantastyki” 1-3 z 1982 i 5/8 z 1983 oraz książkę Jesionowskiego „Z drugiej strony nieba”. Pragnąłbym je wymienić na coś z poniższych rzeczy: Bałdyriew i Dołguszin „Igła”, „Niewidzialny promień”, Kandyba - „Gorąca ziemia”. Studitski - „Wąwóz Batyrtar-Dżoł” (wszystkie z serii Nauka - Fantazja - Przygoda) oraz Jefremow - „Gwiezdne okręty”, Gurewicz „Szron na palmach”, Vonnegut - „Rzeźnia numer 5”, Wroczyński - „Baczność AR-7”, Zegatski „Krater czarnego snu”, Łukowski - „Tajemnice wiecznej nocy” (sztuka), Prorok - „Powrót taty” (sztuka). Posiadam też około 30 książek z serii „Zarubieżnaja fantastika” i chciałbym wymienić je na kilkanaście innych z tejże serii (w skali 2 : 1). Wdzięczny za zamieszczenie tej notatki **Jacek Izworski,** ul. Pugeta 4a, 51-628 WROCŁAW.*

Pragnąłbym dostać: Harrison - „Planeta śmierci”, Jabłoński - „Kryptonim Psima”, Zsoldos - „Zadanie”, Abramów - „Wszystko dozwolone”, Oramus - „Senni zwycięzcy”, Hoyle - „Czarna chmura”, Zajdel - „Limes interior”, Klein - „Bogowie wo/ny”, Wyndham - „Dzień Tryfidów”. W zamian

do wymiany: Chruszczewski - „Dookoła tyle cudów”, Bufyczow - „Retrogenetyka”, Krzepkowski

- „Kreks”, Lem - „Golem”, „Bajki robotów”. Pelot

*- „ Tranzyt”, Aldiss - „Cieplarnia”, Jesionowski „Przygoda w czasie”, Dworak - „Jana Ciągwy władza nad materią”, Juriew - „Szybkie sny”, Szefner - „Kulista tajemnica”, Gromów - „Pojedynek z samym sobą”, Znicz - „Nieznane obiekty latające”, Hollanek - „Olśnienie”, Wolski - „Numer”, Drzewiński - „Zabawa w strzelanego”, Borski - „ Velva”, Leiber - „ Wędrowiec” oraz „Fantastyki” nr 3/82, 4(7), 5(8), 7(10), 9(13). **Jacenty Rutkowski,** ul. Sowińskiego 9/13, 26-600 RADOM.*

*Poszukuję pierwszego numeru „Fantastyki”. W zamian oferuję: Arthur Ciarkę - „Kowboje oceanu”, Kirył Bułyczow - „Miasto na górze” lub inne. **Henryk Modzelewski,** teł 49-67-39. Wieczorem.* (Chodzi chyba o telefon warszawski. Red.)

*Nie udało mi się dostać numeru wrześniowego 1983 „Fantastyki” 9(12). Czy nie dałoby się jakoś pomóc? **Andrzej Zieliński,** ul. Narcyzowa 16/36, 81-653 GDYNIA.*

I tyle na dzisiaj tego targu, który jest równocześnie świetnym przeglądem gustów fanowskich. Życzę powodzenia w transakcjach wymiany.

Redaktor



2OO1 - Odyseja Kosmiczna

Arthur
C. Clarke

(fragmenty)

Prehistoryczna noc

1. Droga zagłady

Susza trwała już 10 milionów lat, a królestwo ogromnych jaszczurów dawno upadło. Tu - na równiku - na kontynencie, który pewnego dnia zostanie nazwany Afryką, bitwa o życie osiągnęła szczyt okrucieństwa, lecz zwycięzca nie był jeszcze znany. Na tej pustynnej, wysuszonej ziemi jedynie niewielkie i zwinne lub drapieżne zwierzęta mogły się rozwijać a przynajmniej mieć nadzieje przeżycia.

Człekokształtne małpy stepowe nie miały żadnej z tych cech i nie rozwijały się, przeciwnie - jako gatunek były już niemal skazane na zagładę. Stado liczące około 50 osobników zajmowało kilka jaskiń otaczających małą, suchą dolinę, przeciętą leniwym strumykiem, wypływającym z ośnieżonych gór 200 mil na północ. W latach posuchy strumyk znikał i plemieniu groziła śmierć z pragnienia. Gdy pierwszy, nieśmiały blask wschodu rozjaśnił jaskinie Strażnik Księżyca spostrzegł, że jego ojciec zmarł w nocy. Oczywiście nie wiedział, że Starzec był jego ojcem, takiego pokrewieństwa nie był w stanie pojąć, lecz gdy patrzył na wynędzniałe ciało czuł niejasny niepokój, który był dalekim przodkiem smutku!...)

Było już wystarczająco jasno, by wyjść. Wychudzony Strażnik Księżyca podniósł się i przeczołgał pod niskim sklepieniem jaskini. Na zewnątrz wyprostował plecy i stanął pionowo - jedyne na Ziemi zwierze zdolne to uczynić. Wśród swego gatunku Strażnik Księżyca był niemal olbrzymem. Miał prawie 5 stóp wzrostu i ważył, nawet tak bardzo niedożywiony, powyżej 100 funtów. Jego włochate, muskularne ciało upodobniało go do małpy, lecz głowa była bardziej ludzka niż małpia. Stał i patrzył na wrogi świat plejstocenu. Miał w spojrzeniu coś, czego nie była w stanie pojąć żadna małpa. W ciemnych, głęboko osadzonych oczach, drzemała rodząca się świadomość, pierwszy znak inteligencji (...) Strażnik Księżyca rozejrzał się po dolinie, by sprawdzić czy Obcy są w zasięgu wzroku, lecz nie dostrzegł nawet ich śladu. Być może jeszcze nie opuścili swych jaskiń lub już poszukiwali jedzenia dalej na zboczu. Nic nie zobaczywszy, Strażnik Księżyca natychmiast o nich zapomniał, nie był zdolny troszczyć się o więcej niż jedną rzecz naraz. (...)

Ten dzień był szczęśliwy - choć nie pamiętając przeszłości Strażnik Księżyca nie mógł porównywać mijających dni (...). Był jak nigdy bliski stanu pełnego zaspokojenia na tyle, na ile uczucie to było dlań dostępne. Był wprawdzie ciągle głodny, ale głód nie odbierał mu już sił. To było wszystko, czego mógł pragnąć zarówno on, jak i jego współplemieńcy. Zadowolenie znikło, gdy doszli do strumienia. Obcy już tu byli. Spotykali się tu każdego dnia, lecz przez to ich obecność nie była mniej dokuczliwa.

Obcych było trzydziestu. Niczym nie różnili się od członków plemienia Strażnika Księżyca. Zobaczywszy nadchodzących zaczęli po swojej stronie strumienia podrygiwać, machać rekami i wrzeszczeć. Odpowiedź była podobna. I na tym poprzestano. (...) Plemię, bez żadnych szczególnych wydarzeń, wróciło do swych jaskiń o zmierzchu. (...)

Strażnik Księżyca ledwo drgał kiedy z jednej z niższych jaskiń zaczęły rozlegać się wrzaski. Wiedziałby doskonale co się tam dzieje, nawet gdyby nie doleciał doń głuchy ryk lamparta Tam w

dole, w ciemności, stary Białowłosy i jego rodzina walczyli i ginęli, ale myśl, że można im w jakiś sposób pomóc nawet nie zaświtała w umyśle Strażnika. Twarda logika przetrwania wykluczała takie fantazje i ani jeden głos protestu nie rozległ się z nasłuchującego wzgórza. Wszystkie jaskinie były ciche, nikt nie chciał prowokować zagłady. Gdy lampart odszedł, Strażnik Księżyca wypełzł z jaskini, wdrapał się na wielki głaz przed wejściem i kucnął na nim, obserwując dolinę. Spośród wszystkich stworzeń, które do tej pory wędrowały po Ziemi człekokształtne małpy były pierwszymi, które mogły bez zmrużenia oka patrzeć na Księżyc. I chociaż Strażnik Księżyca nie mógł tego pamiętać, to gdy był bardzo młody próbował czasami wyciągnąć rękę i dotknąć widmowej twarzy błyszczącej ponad wzgórzami. Dopiero teraz rozumiał dlaczego nigdy mu się to nie udało. Oczywiście powinien najpierw znaleźć wystarczająco wysokie drzewo i wspiąć się na nie.

Noc była zimna i czysta, godziny mijały spokojnie. Księżyc wznosił się powoli wśród równikowych konstelacji, których nie widziało jeszcze oko człowieka. W jaskiniach, pomiędzy płytkim snem i pełnym strachu czuwaniem rodziły się koszmary przyszłych pokoleń.

Oślepiający punkt światła, jaśniejszego od którejkolwiek z gwiazd, dwukrotnie przesunął się powoli poprzez niebo, wznosząc się od zenitu i znikając na wschodzie.

2. Nowy Głaz

Strażnik Księżyca zetknął się z Nowym Głazem, gdy prowadził stado do rzeki w pierwszych blaskach słońca. Była to zrobiona z całkowicie przezroczystego materiału prostokątna płyta, wyższa od niego lecz tak wąska że mógł ją objąć ramionami. Trudno ją było nawet zobaczyć, chyba że słońce, wschodząc, błyszczało na jej krawędziach. Ponieważ Strażnik Księżyca nigdy nie widział lodu, a nawet krystalicznie czystej wody, nie znał żadnego naturalnego obiektu, do którego mógłby ją porównać. Zasadniczo wyglądała raczej przyjemnie, wiec - choć ostrożny w stosunku do nowych rzeczy - nie wahając się długo przysunął się do płyty. Nic się nie zdarzyło: ostrożnie wyciągnął łapę i dotknął zimnej, twardej powierzchni.

Po kilku minutach intensywnego myślenia znalazł wspaniałe wytłumaczenie. Był to kamień i - oczywiście - musiał wyrosnąć w nocy. Robiło tak wiele roślin - choćby takie białe, miękkie strzelające w górę podczas godzin ciemności. To prawda, że były małe i okrągłe, natomiast ta była duża i miała ostre krawędzie, lecz przecież większi (i późniejsi) od Strażnika Księżyca filozofowie nie zauważali równie uderzających wyjątków od swych teorii. Ta naprawdę wspaniała próbka abstrakcyjnego myślenia nasunęła Strażnikowi Księżyca, po zaledwie trzech lub czterech minutach, wniosek, który natychmiast sprawdził. Białe, miękkie rośliny były bardzo smaczne (chociaż niektóre powodowały gwałtowną chorobę) może wiec ta duża...?

Kilka praktycznych prób szybko go rozczarowało. Nie było to pożywienie, wiec jako rozsądne zwierze powędrował znajomą ścieżką, w kierunku rzeki, zajęty, jak codziennie straszeniem Obcych zapomniał o kryształowym monolicie. (...)

W ostatnich blaskach dnia, plemię rozglądając się niespokojnie, pełne strachu przed drapieżnikami, które już wychodziły na łowy, zaspokoiło pragnienie w strumieniu i pośpieszyło w kierunku jaskiń. Byli już o 100 yardów od Nowego Głazu, gdy usłyszeli dźwięk.

Był niemal niesłyszalny, jednak zatrzymali się jak sparaliżowani i nieruchomi stali na ścieżce, z pyskami szeroko otwartymi. Prosta, denerwująco rytmiczna wibracja wydobywała się z krysztа-



łu i hipnotyzowała. Po raz pierwszy - i ostatni na 3 miliony lat - w Afryce usłyszano dźwięk bębnów.
Dźwięk stawał się głośniejszy, noc ciemniejsza. Światło powoli znikało z nieba, kryształ zaczynał świecić. (...) Szybciej, coraz szybciej pulsowały świetlne koła, coraz szybszy stawał się rytm bębnów. Całkowicie zahipnotyzowane małpy mogły tylko utkwić wzrok w ruchomych wzorach i - ciągle z rozwartymi pyskami podziwiać ten zadziwiający pokaz pirotechniki. Zapomniały o instynkcie przodków, o lekcji życia. Żadna z nich nigdy nie przebywała tak daleko od jaskiń tak późną nocą. Zarośla pełne były nieruchomych kształtów i świecących ślepi, jakby nocne bestie zawiesiły swą działalność zaciekawione tym co jeszcze może sie zdarzyć. (...)
Nie mogły przypuszczać, że ich umysły były sondowane, ciała wszechstronnie badane, reakcje studiowane, możliwości oceniane. Plemię ciągle było nieruchome, zamienione w kamień, przykucnięte do skoku jak w żywym obrazie. Najbliższa płyty małpa nagle wróciła do życia.
Nie poruszyła się z miejsca, lecz jej ciało utraciło nienaturalną sztywność i zaczęło poruszać się, jak ciało lalki, animowanej niewidzialnymi sznurkami. Głowa obracała się i kiwała, usta milcząco zamykały się i otwierały, pieści zaciskały i rozwierały. Nagle pochyliła się, wyrwała długą łodygę i niezdarnymi palcami próbowała zawiązać ją w węzeł. (...)
Gdy nadszedł jego czas Strażnik Księżyca prawie się nie bał. Czuł jedynie stłumioną żałość gdy mięśnie kurczyły się, a usta poruszały posłuszne obcym poleceniom.
Sam nie wiedząc kiedy, pochylił się i podniósł mały kamyk. Obraz na krystalicznej płycie natychmiast uległ zmianie. Splątane linie i ruchome, tańczące wzory znikły. Zamiast nich pojawił sie szereg koncentrycznych kół, otaczających mały czarny dysk. Posłuszny milczącemu rozkazowi cisnął niezręcznie. Kamień minął cel. Powtórz jeszcze raz, usłyszał rozkaz. (...) Chybił znowu, lecz rzut był lepszy.
Za czwartym razem trafił tylko kilka cali od celu. Uczucie nieopisanej przyjemności, jakby seksualnej w swym charakterze, ogarnęło jego mozg. Potem kontrola osłabła, nie czuł impulsu, by robie cokolwiek, wiec stał i czekał. Jeden po drugim członkowie plemienia wykonywali nakazane ćwiczenia. Niektórzy osiągali sukces, większość jednak nie spełniała wymogów. Wszyscy byli odpowiednio wynagradzani spazmami rozkoszy lub bólu. (...)

3. Szkoła

Następnego dnia, gdy Strażnik Księżyca i jego towarzysze wychodzili na poszukiwanie żywności, nie zwrócili uwagi na stojący
przy ścieżce kryształ. Stał się on fragmentem codziennego krajobrazu, na który wolno było nie zwracać uwagi. Nie mógł ich zjeść i oni nie mogli zjeść jego, wiec nie był czymś widocznym. (...) A nocą kryształowa płyta czekała na plemię otoczona pulsującą aurą światła i dźwięku. Jej program był nieco inny. (...) Teraz Strażnik Księżyca zaczął widzieć obrazy. (...) Patrzył na spokojną rodzinę, różniącą się jedynie tylko szczegółem od rodzin, które znał. Samiec, samica i dwójka dzieci, którzy tajemniczo pojawiali sie przed nim, byli syci, ich sierść była gładka i lśniąca. Były to warunki życia, których istnienia Strażnik Księżyca nie mógł nawet podejrzewać. Nieświadomie dotknął swych sterczących żeber, żebra tych stworzeń pokrywała gruba warstwa tłuszczu. Od czasu do czasu poruszały się leniwie, leżąc wygodnie koło wejścia do jaskini, najwidoczniej żyły w zgodzie z całym światem. Od czasu do czasu wielki samiec wydawał potężny pomruk zadowolenia.
Nic innego się nie działo i po pięciu minutach scena nagle zniknęła. Kryształ znów był tylko majaczącym w ciemności niewyraźnym kształtem. Strażnik Księżyca wstrząsnął się jak obudzony, nagle zorientował się, gdzie jest i powiódł stado z powrotem do jaskiń.

Nie mógł świadomie zachować w pamięci tego, co widział lecz tej nocy, kiedy siedział zamyślony przed wejściem do swego schronienia, łowiąc czujnie dźwięki otaczającego go świata, poczuł pierwsze, nieśmiałe drgania nowego, potężnego uczucia. Była to niejasna, lecz dokuczliwa zazdrość, niezadowolenie z własnego życia. Nie miał pojęcia skąd się wzięła, nie wiedział, jak ją leczyć, lecz zazdrość ta pochodziła z jego budzącej się duszy. Uczynił kolejny mały krok w stronę człowieczeństwa. Noc w noc obraz czterech tłustych małp pojawiał się przed oczyma Strażnika Księżyca, aż stal się źródłem fascynującego rozdrażnienia, ciągłej coraz silniejszej tęsknoty. Świadectwo oczu nie mogło dać takiego efektu, wymagał on psychologicznego wzmocnienia. (...) Wiec Strażnik Księżyca wpatrywał się w krystaliczny monolit bez zmrużenia oka, a jego mózg powoli zmieniał się. Często czuł mdłości, lecz zawsze czuł głód, a jego dłonie zaciskały się nieświadomie, gdy chłonął wzory, mogące zmienić drogę jego życia.

***

Widząc kilka świń, przekraczających ścieżkę z głośnym chrząkaniem Strażnik Księżyca gwałtownie się zatrzymał. Świnie i małpy ignorowały się wzajemnie, ponieważ nie było miedzy nimi konfliktu interesów. Jak większość zwierząt nie konkurujących o te samą pasze po prostu schodziły sobie z drogi. Teraz Strażnik Księżyca stał patrząc na nie, niezdecydowany, popychany przez impulsy, których nie był w stanie zrozumieć. Jak we śnie zaczął przeszukiwać ziemie, chociaż nawet gdyby umiał mówić, nie potrafiłby wyjaśnić po co. A jednak znalazł to, czego szukał. Trzymał w dłoni ciężki, ostry kamień. Choć nie w pełni pasował do jego reki, mógł się nadać. Obracając dłonią, zaintrygowany

Arthur Charles CLARKE

Jeden z najwybitniejszych autorów science fiction. twórca ponad czterdziestu książek fantastyczno naukowych, urodził się w roku 1917 w Minehead koło Somerset w Angin W czasie drugiej wojny światowej byt oficerem RAF-u. brał udział w pracach nad konstrukcją urządzeń radarowych Po roku 1945 studiował fizykę i matematykę w Londynie, był zastępcą naczelnego redaktora „Science Absfracts" W roku 1950 rzucił pracę, poświęcając się całkowicie działalności pisarskiej i publicystycznej. Pisał artykuły, nowele o tematyce SF, od 1954 r interesował się fotografią podwodną Przygotowując książkę na ten .temat wyjechał do Australii prowadzać badania Wielkiej Rafy Koralowej, później, w roku 1956, osiedlił się na Cejlonie gdzie mieszka po dzień dzisiejszy Tu tez napisał wiele artykułów popularnonaukowych z zakresu elektroniki, astronomii, matematyki, astronautyki i futurologu, t Juz w 1945 r opracował A. Clarke techniczne założenia projektu telewizji satelitarnej) Swoje prace zamieszczał przeważnie na łamach "Readers Digest", „Harper's" „New York Timesa"
Pierwsze nowele o tematyce SF publikował Clarke w latach 40-tycn na łamach brytyjskiego magazynu „Fantasy". Wkrótce potem, w roku 1946 debiutował opowiadaniem Rescue Party" w amerykańskim czasopiśmie „Astouiidtng. prowadzonym przez Johna Campbeila Jr. Jego pierwszą powieścią fantastyczno-naukową była rozpoczęta w roku 1937. lecz ukończona dopiero po drugiej wojnie światowej – „Against the Fali of Night". W latach 1948-1963 wydaje Clarke kilka następnych powieść; SF: „The City and the Stars„ (1948). „The Lion of Comarre" (1949), .Childhoods End" (1950). "Prelude to Space" (1950), „Sands of Mars" (1950). „Islands in the Sky" (1952). „Earthlight" (1955) The Deep Range"(1957). „A Fail of Moondust" (1961). „Dolphin Island" (1963). W roku 1968. na podstawie noweli „The Sentinel". zostaje zrealizowana słynna „2001: Odyseja kosmiczna" („2001. A Space Odyssey", reż. Stanley Kubrick). która zdaniem wielu krytyków okazała się „najambitniejszym i najbardziej udanym pod względem technicznym filmem fantastyczno-naukowym. jaki kiedykolwiek powstał". (Film ten wyświetlany był również w Polsce w latach 70-tych.) A. Clarke zachęcony niebywałym sukcesem tej superprodukcji, opracowuje jej wersie powieściową „A Space Odyssey" (1968).
W latach 1968-1979 autor „The Sentinel" publikuje kolejne powieści: „Rendez vous with Rama" (1973). „Imperial Earth" (1976), „The Fountains of Paradise" (1979). W roku 1982. w Londynie, ukazuje się druga cześć „Odysei kosmicznej" zatytułowana „2010 - Odyssey Two" (zob. recenzję z. tej książki zamieszczona w 6(9) numerze Fantastyki")
W roku 1956 autor „Earthlight", członek wielu towarzystw naukowych, otrzymał nagrodę Hugo Gemsbacka za opowiadanie „The Star", a w roku 1972 „Nebulę" za opowiadanie , A Meeting wtih Medusa". Do roku 1983 książki A Clarke'a zostały przetłumaczone na ponad 30 języków świata. Jego powieść „Rendez vous wtih Rama" została uhonorowana aż trzykrotnie: w roku 1974 nagrodą „Hugo", w 1973 - .Nebulą", a w 1974 - .Jonn Campbell Memoriał Award" W Polsce ukazały się jak dotychczas następujące przekłady Clarke'a: „Zdobywamy Księżyc" (1957), „Piaski Marsa" (1958), „Tajemnice koralowej rafy" (1962). „Wyspy na niebie" (1963). „Kowboje oceanu" (1972). „Spotkanie z Ramą" (1978). Opowiadania tego autora były ponadto przedrukowywane w wielu antologiach SF, m.in w „Rakietowych szlakach" (1958; wyd. 2, skrócone - 1978) i „Krokach w nieznane" (tom 3,5,6) ukazywały się również na łamach „Problemów"
Fragment utworu przedstawiany na łamach „Fantastyki" jest pierwszym rozdziałem słynnej powieści Clarke'a

(A. N.)

jego ciężarem, Strażnik Księżyca miał przyjemne uczucie siły i autorytetu. Powoli podchodził do najbliższej świni.
Było to młode zwierze, głupie nawet według niskich standardów świńskiej inteligencji. Chociaż patrzyło kątem oka, nio reagowało - aż do końca. Bo i dlaczego miało podejrzewać to niegroźne stworzenie o jakiekolwiek złe zamiary? Pasło się spokojnie, gdy nagły cios Strażnika Księżyca dokonał dzieła. Reszta stada nie spłoszyła się, morderstwo było szybkie i ciche.
Wszystkie małpy patrzyły na myśliwego i jego ofiarę ż pełnym zachwytu zaciekawieniem. Nagle jedna z nich podniosła zakrwawiony kamień i zaczęła uderzać martwą świnie. Dołączyły inne, bijąc kamieniami i kijami, aż ich cel stał się krwawą, bezkształtną masą.
Potem znudziły się, cześć odeszła, inne stały niepewne nad zmienionym nie do poznania ciałem - a los świata zależał od ich decyzji. Stały zadziwiająco długo, nagle jedna z karmiących matek zaczęła lizać zakrwawiony kamień, który trzymała w łapie.
Mimo tego, czego dokonał, dopiero po długiej chwili Strażnik Księżyca uświadomił sobie, że już nigdy nie będzie musiał być głodny.

4. Lampart

(...) Problem lamparta rozwiązał się po części przypadkowo, po części z powodu poważnego - w rzeczywistości niemal tragicznego - błędu, popełnionego przez Strażnika Księżyca. (...) Dzień polowań poszedł na marne, jaskinie były już widoczne i Strażnik Księżyca prowadził swych zmęczonych i niezadowolonych towarzyszy do domu, gdy nagle, niemal u celu znalazł jeden z rzadkich skarbów natury.
Na ścieżce leżała dorosła antylopa. Miała złamaną nogę, lecz ciągle gotowa była walczyć i otaczające ją szakale czuły respekt wobec jej ostrych jak sztylety rogów. Miały dużo czasu, antylopa musiała zginąć.
Zapomniały jednak o konkurentach i gdy podeszły małpy wycofały się, wściekle warcząc. One także otoczyły antylopę trzymając sie z dala od niebezpiecznych rogów. Nagle zaatakowały ją kamieniami, pałkami i ostrymi, kościanymi nożami. Atak nie był ani zdecydowany, ani bardzo skuteczny - gdy biedne zwierze wreszcie znieruchomiało było już niemal ciemno i szakale zaczęły odzyskiwać odwagę. Strażnik Księżyca, głodny i przestraszony, z wolna orientował się, że wszystkie wysiłki mogą pójść na marne. Pozostanie tutaj choćby chwile dłużej to zbyt niebezpieczne. Nagle, nie po raz pierwszy i nie ostami, poczuł się geniuszem. Wytężył wyobraźnie i ujrzał martwą antylopę... leżącą bezpiecznie w jego własnej jaskini. Zaczął ciągnąć zwierze po powierzchni urwiska, inni zrozumieli jego zamiar i zaczęli mu pomagać. (...) Kilka godzin później, nażarty do syta, obudził się. (...) Z daleka dobiegł dźwięk spadającego kamienia. Pełen strachu lecz ciekawy, wypełzł z jaskini i spojrzał w dół, na zbocze. To, co zobaczył, sparaliżowało go całkowicie. Tylko 20 stóp niżej dwa błyszczące, złote ślepia wpatrywały się prosto w niego, nieruchomego ze strachu, ledwie świadomego obecności gibkiego, zwinnego ciała, cicho jak cień przeskakującego z kamienia na kamień. Nigdy przedtem lampart nie wdrapał się tak wysoko. Ominął niższe jaskinie, choć już wielokrotnie polował na ich mieszkańców. Tej nocy jednak prowadził inną grę - śledził trop krwi, wysoko, na zalanym światłem księżyca zboczu.
Chwile później noc rozdarły przeraźliwe wrzaski alarmu z położonych wyżej jaskiń. Lampart ryknął z wściekłości uświadamiając sobie, że stracił przewagę zaskoczenia. Lecz nie rezygnował, widział, że nie ma się czego bać.
Wspiął się na krawędź zbocza i na chwile zamarł na otwartej przestrzeni. Zapach krwi był wszędzie, wypełniając jego maleńki, drapieżny mozg jednym, potężnym pożądaniem. Bez wahania wpełznął do jaskini.
I tu popełnił pierwszy błąd. W ciemności głębszej niż księżycowa noc nawet jego wspaniale przystosowujące się oczy były przez moment ślepe. Na tle wejścia do jaskini małpy widziały go lepiej, niż on mógł je zobaczyć. Były przerażone, ale nie były już całkiem bezradne. (...)
Lampart zrozumiał, że coś jest nie tak, gdy poczuł potężny cios w łeb. Machnął łapą, pazury rozdarły miękkie ciało, rozległ sie wrzask. Poczuł przeraźliwy ból, gdy coś ostrego wbiło się w jego bok raz, drugi i trzeci. Kręcił się wkoło, próbując trafić cienie, wrzeszczące i tańczące na kamiennych ścianach. Kolejny cios trafił go w pysk. Zwarł zęby na ruchomej, białej plamie - chwycił tylko twardą kość. I w końcu - niewiarygodne upokorzenie - coś
niemal wyrwało mu ogon. Obrócił się, ciskając szaleńczo odważnego przeciwnika na ścianę jaskini. Teraz już bronił się desperacko, rycząc nie tryumfalnie lecz w panicznym strachu, nie mógł jednak uniknąć gradu ciosów zadawanych prymitywną bronią przez niezgrabne, lecz silne ręce. Nieubłagany myśliwy był teraz ofiarą i rozpaczliwie próbował uciec, i tu popełnił drugi błąd - zaskoczony i przerażony zapomniał, gdzie się znajduje, może był ogłuszony czy oślepiony spadającymi na jego łeb ciosami. Wyskoczył nagle z jaskini - w próżnie. Spadł rycząc głośno. Minęły wieki nim głuchy łoskot uderzającego o skałę ciała zakończył walkę. Cichy odgłos spadających kamieni szybko zamarł w nocnej ciszy.
Upojony zwycięstwem Strażnik Księżyca bardzo długo tańczył i miauczał przed wejściem do pieczar. Rozumiał, że zmienił sie cały świat i że już nigdy nie będzie bezsilną ofiarą otaczających go sił natury.
Potem wrócił do jaskini i po raz pierwszy w życiu zaznał przyjemności nieprzerwanego nocnego snu.

***

Rankiem znaleźli ciało lamparta u stóp wzgórza. Nawet w dziennym świetle martwy potwór budził grozę, lecz wkrótce podeszli do niego ze swymi kościanymi nożami. Była to ciężka praca i tego dnia już nie polowali.

5. Spotkanie o świcie

Prowadząc plemię w kierunku rzeki w mętnym świetle poranka Strażnik Księżyca przystanął niepewnie na znajomej ścieżce. Wiedział, że czegoś brakuje, lecz nie pamiętał czego. Nie myślał o tym zbyt usilnie - tego ranka miał ważniejsze sprawy na głowie. Jak błyskawica i grzmot, chmura i zmierzch, wielki blok kryształu zniknął nie mniej tajemniczo niż się pojawił. Znikając w nie istniejącej przeszłości już nigdy więcej nie zaprzątał głowy Strażnika Księżyca, który nigdy nie dowiedział się co kryształ dla niego zrobił. Żaden z jego towarzyszy, którzy przystanęli w porannej mgle nie domyślił się, dlaczego zatrzymali się właśnie tutaj, na drodze do rzeki. (...)
Pewnie, celowo - a co najważniejsze - cicho Strażnik Księżyca i jego grupa schodzili z niskiego wzgórza w pobliżu rzeki. Gdy sie zbliżyli Obcy nagle umilkli. Ich wściekłość przygasła, zastąpiona rosnącym strachem. Niemal rozumieli, że coś się zdarzyło i że to spotkanie różni się od wszystkich poprzednich. Pałki i noże w rekach konkurentów nie niepokoiły ich, nie rozumieli po prostu ich przeznaczenia. Widzieli jednak, że ruchy rywali były zdecydowane, pełne groźby. Plemię stanęło nad wodą i na chwile ich odwaga powróciła. Pod wodzą Jednouchego niepewnie podjęli swą bitewną pieśń. Zaraz jednak oniemieli z panicznego strachu.
Strażnik Księżyca wyciągnął ramiona wysoko w górę pokazując to, co do tej pory ukryte było za włochatymi ciałami jego towarzyszy. Trzymał gruby kij, na który nadziana była okrwawiona głowa lamparta. W otwartej, zaklinowanej patykiem paszczy potężne kły błyszczały w promieniach wschodzącego słońca upiorną bielą. Większość Obcych, sparaliżowana strachem, nie poruszyła sie, lecz kilku, potykając się, rozpoczęło odwrót. Innej zachęty Strażnik Księżyca nie potrzebował. Trzymając krwawe trofeum wysoko nad głową, zaczął przekraczać strumień. Reszta pośpieszyła za nim. Kiedy Strażnik Księżyca wyszedł na drugi brzeg Jednouchy wciąż stał na swojej ziemi. Może był zbyt dzielny lub zbyt głupi, by uciekać, może po prostu nie wierzył w to, co widział. Tchórz czy bohater - nie miało to wielkiego znaczenia, śmiertelny cios spadł na jego nic nie pojmującą głowę. (...)
Przez kilka sekund Strażnik Księżyca stał niepewnie nad swoją ofiarą, starając się zrozumieć ten zdumiewający, cudowny fakt, że martwy lampart zabijał znowu. Był teraz panem świata, choć nie był całkiem pewny, co zrobić. Lecz przecież mógł już o czymś pomyśleć.

Przełożył **Krzysztof Sokołowski**



Yeti

Wolfgang Jeschke

Poświęcone Reinholdowi M.

Doniosłe wydarzenia nie zawsze rzucają przed siebie cień, niejednokrotnie ich źródło tkwi w zwykłych, codziennych zajściach. Tak też było w przypadku sześćdziesięciolecia urodzin Lippsa, które my, alpiniści, świeciliśmy w „The Hook and the Rope”. Lipps wysłał zaproszenia we wszystkie strony świata i kiedy owego dżdżystego listopadowego wieczoru wszedłem do klubu, zastałem tam już masę ludzi z naszej paczki. Rich Wosley stał w foyer i wręczał każdemu z nas świeży, pachnący jeszcze farbą drukarską egzemplarz „Mountain”; specjalny numer poświecony Lippsowi. Na stronie tytułowej błyszczało jego słynne zdjęcie, które swego czasu obiegło w prasie cały świat: Lipps stojący w rozkroku na szczycie Kappa Due, który zdobył w pojedynkę.

Wosley, jak zwykle w granatowym blezerze, nad którym czerwieniły się jego starannie wypielęgnowane wąsy, skierował sie od razu ku mnie.

- Czy dobrze słyszałem, że Bob i ty otrzymaliście zezwolenie na Mount Everest? - powitał mnie, ściskając mocno dłoń. Przytaknąłem i mimo woli namacałem w kieszeni mojej marynarki pisemko, w którym pod pompatycznym godłem Nepalu i imponującym wykazem członków rządu, sekretarzy stanu i urzędników państwowych zajmujących się alpinizmem międzynarodowym starczyło jeszcze miejsca tylko na dwa słowa: „patrz załącznik”. Z dokumentem był zszyty pognieciony, niestarannie oderwany i ledwie czytelny wyciąg z komputera, na którym widniały data i dokładny czas rozpoczęcia wspinaczki.

- Jestem z wami - zapewnił Rich, spoglądając na mnie wymownie znad okularów. - Mam pewien pomysł - dodał, wyciągając ku mnie dłoń f podsuwając pod nos kciuk. - Coś wspaniałego! Nareszcie alpinizm znowu stanie się czymś! Musze porozmawiać o tym z tobą i Bobem.

Chwycił mnie za ramie i wepchnął do sąsiedniego pokoju, gdzie nastrój był już wesoły. Wokoło leżało pełno pustych butelek.

- Już niejednego, który posprzeczał się z ojcem, pognało na szczyty, aby móc potem spojrzeć z góry i powiedzieć: „Spójrz, ojcze jestem większy” - mówił właśnie filozoficznie Seifeneder do ziomka.

Alois Seifender, doświadczony lekarz górski z Meranu, towarzyszył już wielu ekspedycjom brytyjskim, za każdym jednak razem usiłował dopełniać angielski swoim ojczystym dialektem południowo-tyrolskim, przez co współczuł mu już niejeden Anglik myślą, że jego wymowa wiąże się z chronicznym schorzeniem gardła.

Lipps zajmował honorowe miejsce w wytartym, skórzanym fotelu pod portretem Hillar'ego. Przed sobą ustawił na stole imponującą baterię butelek i z uroczystą miną oraz nieci szklistym już wzrokiem palił długie cygaro.

Uścisnąłem mu serdecznie dłoń i trąciłem się z nim. Redakcja „Mountain” nie szczędziła kosztów i w numerze specjalnym zamieściła wywiady z dawnymi asami alpinizmu. Harry Findlayson, który zdążył już opróżnić pięć albo sześć kieliszków szampana, odczytywał je na głos, wyraźnie ubawiony. Piał wprost z zachwytu.

- Ci staruszkowie! - zawołał. - To były nie tylko asy. U nich co w sercu, to na jeżyku. Posłuchajcie tylko: „Góry są tak żywiołowe, że człowiek nie powinien i nie może pokonywać ich za pomocą środków technicznych. Tylko ten, kto zbliży się do nich w pokorze, wybierając jedynie sprzęt podstawowy, jest w stanie odczuć harmonie tego świata...”

- Daj spokój - zawołał Seifeneder, klepiąc się po udach. Bobby Crook aż się popłakał, łzy ściekały mu po policzkach. Nie mógł pohamować

się od śmiechu. - The premier mountainer of all time! Największy alpinista wszechczasów!
- „Maska tlenowa jest czymś w rodzaju muru odgradzającego człowieka od przyrody" - czytał dalej Harry. - „Jest filarem nie przepuszczającym przeżyć wizyjnych".
- A wiec, ściśle mówiąc, może tu chodzi również o kalesony zawołał Tim Gerrington.
- Daj spokój! - chichotał Seifeneder.
- Czy krytycy nie mieli racji? - zawołał porywczo Henry Mudden. - Sportowcem jest tylko ten, kto poradzi sobie bez środków pomocniczych. By fair means - zaśmiał się urągliwie.
To co działo się potem, było już jedynie konsekwencją owych bzdur. Wejście bez maski tlenowej, potem bez plecaka, bez liny, bez okularów ochronnych, bez nakrycia głowy, rękawic, butów, koszuli, spodni... Gdzież kres tego?
- Aha - powiedział Rich Wosley, mrugając do mnie znacząco. Żyjemy - zapewnił, opróżniając jednym haustem mój kieliszek w epoce biotechniki, mutantów i korekt hormonalnych.
- No i co z tego? - odezwał się szorstkim głosem Mudden.
- Chwileczkę! - Rich nie dał zbić się z tropu. - Biotechnika jest w końcu nauką przyszłości. Już dziś jest ona w stanie manipulować dowolnie cechami dziedzicznymi. Pomyślcie tylko o sfinksach, o karłowatych słoniach, o pudlach z indywidualnym zapachem i zmienną kryzą, o niezliczonych mini-pegazach przesiadujących w redakcjach... Pełna, nie kończąca się gama możliwości! Naukowcy już dziś konstruują żywe istoty według wykrojów. Oczywiście tego typu eksperymentów nie wolno przeprowadzać na ludziach, ale z hormonami można zdziałać już bardzo dużo. W ludzkim umyśle drzemią możliwości, o jakich nikomu nawet sie nie śniło. Trzeba je tylko rozbudzić.
- Doping - parsknął lekceważąco Seifeneder.
- To nie ma nic wspólnego z dopingiem – zaoponował opróżniając kieliszek Muddena. - Jest to po prostu dopasowanie ludzkiej fizjologii do specyficznych wymogów. W ten sposób można sięgnąć po środki pomocnicze, niedostępne dla medycyny tradycyjnej.
- Doping! - mamrotał z dezaprobatą Seifeneder, wpatrując się niechętnie w swój kieliszek.
- A co to wszystko ma wspólnego z nami? - Bob wyraźnie się niecierpliwił. - Mam na myśli Chrisa, mnie i zezwolenie na Everest?
- Posłuchaj! Możemy zrobić z tego sensację, największą w dziejach alpinizmu. Chłopcy, nie jesteście byle kim. Jeżeli dacie mi wszelkie pełnomocnictwo, zajmę się całą sprawą i nie wyjdę na tym źle, możecie mi wierzyć.
- A co my z tego będziemy mieli?.
Seifeneder parsknął wzgardliwie. - Widzisz? Te bydlaki wycisną z ciebie wszystko!
Rich Wosley nie ustępował. Namawiał nas długo i wreszcie daliśmy się złamać. Ze wszystkich jego argumentów najbardziej do przekonania trafił nam ten, że on pokryje wszelkie koszty ekspedycji. Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, że będą one tak śmiesznie niskie.

Zezwolenie na nasze wejście na Everest opiewało na 13 lipca, jednak jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia Rich zaciągnął nas do szpitala w Londynie na rozmowę z profesorem Brianem McKillipsonem, „absolutnym koryfeuszem w swojej dziedzinie i kandydatem do nagrody Nobla", o czym zapewnił nas skwapliwie. McKillipson, niski, korpulentny mężczyzna o nerwowych ruchach i niespokojnym spojrzeniu, przeprowadził osobiście badania wstępne w asyście doktora George'a Dearslaya juniora - starszego, małomównego lekarza mającego metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Dearslay miał na sobie zapięty od góry do dołu poplamiony fartuch, w którym wyglądał jak szkielet, mogący przy byle podmuchu runąć na ziemie. Rich i profesor McKillipson obalili nasze argumenty i odparli zarzuty dotyczące dopingu jako bezpodstawne i śmieszne. Czułem się jak u lekarza zakładowego, który za wszelką cenę chce dostać nagrodę za zaświadczenie o zdolności do pracy, nie skąpiąc ani słów zachęty, ani krytycznych uwag. Leczenie miało rozpocząć się w pierwszych dniach stycznia i zakończyć tuż przed datą wymarszu ekspedycji.
- Ale co to za leczenie? - zapytał Bob. Cała ta sprawa była dla niego jeszcze niejasna.
Rich splótł dłonie i zaczął wyjaśniać nam wszystkie szczegóły „sensacyjnego planu".
- Dopniemy swego bez środków pomocniczych - zakończył. Bez jedwabnej bielizny, ciepłego ubrania, puchowych skafandrów i śpiworów, bez specjalnego obuwia, bez namiotu, bez haktów, wszystkich tych rupieci, jakie inni taszczą ze sobą... Będziemy zdani wyłącznie na samych siebie, na środki dane nam przez naturę. Te natomiast będziemy musieli pobudzić w ciągu najbliższych sześciu miesięcy.
- I sądzisz, że to nam się uda, Rich? - zapytał Bob. Rich machnął niedbale ręką. - To pewne jak w banku. Zostaniecie dozbrojeni pod względem biologicznym tak, żeby sprostać wszelkim wymogom.
- A potem? - zapytałem zaniepokojony. - Czy wrócimy do obecnego stanu?
- Oczywiście. Przecież chodzi tu wyłącznie o modyfikacje czasową, recesywną już po zakończeniu kuracji hormonalnej. To żaden problem, w każdym razie dla profesora McKillipsona i doktora Dearslay'a juniora. Oni otrzymają swoją nagrodę Nobla, wy zyskacie światową sławę, a ja opisze te historie w prasie. Krótko mówiąc: wszyscy będziemy urządzeni do końca życia. Nawiązałem już najważniejsze kontakty. Ponieważ przemysł odpada zupełnie przy tego typu sprawach, potrzebne nam są tym bardziej środki przekazu. Zrobi to szum, sukces jest pewny.
Z zachwytem klasnął w dłonie.
- Jeszcze jedna sprawa - dodał. - Wyruszamy wcześniej. Nie chce, żeby potem byle kto zarzucał nam, że polecieliśmy do Rangboche i zdobyliśmy tylko jakiś tam nędzny siedmiotysięcznik: Mount Everest by fair means! Wejście zaczniemy nad Zatoką: Bengalską podczas odpływu.

Był piękny majowy wieczór, ciepły i wilgotny jak wszystkie majowe wieczory nad Zatoką Bengalską. Tubylców; którzy stali tu już od południa, czekając na widowisko, odpędzono, aby umożliwić fotografowanie licznie zgromadzonym reporterom.
Rich Wosley dyrygował nimi jak admirał rozstawiający jednostki swojej floty.
- Co robicie?! Nie tak! - krzyczał, wymachując rękoma. - Musicie mieć ich na tle wody! O to przecież chodzi! Po to tu jesteśmy. I uchwyćcie przy okazji zachód słońca, to nie kosztuje was przecież ani centa więcej!



Bob i ja staliśmy posłusznie nad wodą, dusząc się w dresach, które musieliśmy założyć mimo upału, gdyż Wosley postanowił naszą kondycję fizyczną zachować w ścisłej tajemnicy i gotów był rozszarpać każdego, kto by dotknął nas choćby palcem.
Towarzyszyli nam Lipps, Henry Mudden i Findlayson, który zakopał w wilgotnym piasku kilka butelek szampana, ale już po opróżnieniu trzeciej miał kłopoty ze znalezieniem pozostałych. Był też oczywiście profesor McKillipson, który obserwował nas z nie skrywaną dumą i satysfakcją, jak badacz swoje najokazalsze okazy świnek morskich. Bez przerwy ocierał sobie pot z czoła. Natomiast doktor Dearslay junior sprawiał wrażenie, jakby w, ogóle nie odczuwał upału. Jego ubranie było jak zwykle pozapinane na wszystkie guziki. Obaj biomedycy czuwali nad stanem naszego zdrowia. Upłynęło już niemal pięć miesięcy od chwili, kiedy zaczęliśmy dostawać zastrzyki dwa razy tygodniowo, ale nie zauważyliśmy u siebie żadnych szczególnych zmian. Stwierdziłem jedynie, że mam ostatnio prawdziwie wilczy apetyt i tyje w prze-

rażającym tempie. Jeżeli chodzi o Boba, sprawy miały się podobnie. Wkrótce musiałem golić się już dwa razy dziennie, owłosienie na klatce piersiowej znacznie zgęstniało, odkryłem też na plecach, ramionach i wszędzie tam, gdzie poprzednio miałem jedynie meszek, ciemne kosmyki włosów. Coraz częściej budziłem się nocą z bólem mięśni i lekkim zawrotem głowy, czując się tak, jakbym miał gorączkę. Po trzech miesiącach musiałem już brać nożyce do blachy, chcąc uporać się z paznokciami.

McKillipson rejestrował wszystkie te symptomy z widocznym zadowoleniem i zmuszał nas do coraz bardziej intensywnego treningu. Już wkrótce pojawiły się efekty tych starań: puszki z piwem musiał otwierać mi kelner, gdyż każdorazowo zostawało mi w dłoni uszko, starałem się też nie zapominać, że musze ostrożniej brać do reki kieliszek. Jeżeli jednak chodzi o nasz wygląd zewnętrzny, to nic specjalnego nie rzucało się w oczy; podobnie jak u kobiety ciężarnej w piątym miesiącu. Po prostu... no, przytyliśmy trochę. Przy każdym ruchu szwy w marynarce trzeszczały niepokojąco, ale Wosley zapewniał, że jeszcze trochę i - w ogóle nie będzie nam potrzebne ubranie.

Bez zbędnego pośpiechu wędrowaliśmy wzdłuż świętej rzeki, mieszając się z tłumem pielgrzymów zdążających do Benares. Obserwowali nas z olbrzymim zainteresowaniem, gdyż w Indiach rzadko widuje się białych podróżujących pieszo, nawet hippisów.

Rich i jego kohorty opiekowali się nam aż do przesady. Gdzie tylko przystanęliśmy, aby wypocząć, stała już tam przyczepa campingowa, gorący posiłek i lodówka wypełniona po brzegi napojami.

W Parnie opuściliśmy Ganges i skręciliśmy na północ. Za Motihari i Saguuli krajobraz był bardziej górzysty. Teren wznosił sie stopniowo, ale bezustannie, aż rzeczywiście nadszedł dzień, kiedy pierwszy tysiąc metrów wysokości mieliśmy poza sobą. Zabrało nam to cztery tygodnie.

Byliśmy zadowoleni, że nareszcie jesteśmy tak wysoko, gdyż jakkolwiek zrezygnowaliśmy już niemal zupełnie z ubrania, coraz ciężej znosiliśmy upał w pokrywającej nas sierści. Zarówno Bob, jak i ja upodabnialiśmy się coraz bardziej do kudłatych goryli. Nawet tubylcy pierzchali z piskiem na nasz widok. Dziękowałem Bogu, że w tych śródgórskich kotlinach Darjeelingu nie ma już angielskich oficerów kolonialnych, idących na polowanie z nabitą strzelbą i niepewnym okiem.

W Katmandu wypatrzyli nas znowu dziennikarze prasowi i telewizyjni. Odpowiadaliśmy na liczne pytania, pozowaliśmy do zdjęć, budząc powszechne zainteresowanie z powodu gęstego zarostu na twarzach i owłosionych łap zbrojnych w pazury, jakich nie powstydziłby się nawet yeti.

Po krótkiej przerwie na odpoczynek poszliśmy dalej w dolnę Dudh Kosi wielkim szlakiem międzynarodowym w pobliżu: Lukla i Namche Bazar aż do Pangboche, gdzie musieliśmy poczekać na nasz dzień. Dziesiątego lipca nadeszła kolej na nas, zameldowaliśmy się w macierzystym obozie i otrzymaliśmy przydział kwatery. Kotlina znajdująca się poniżej Khumbu to okropne miejsce. Od stu lat służy wszystkim ekspedycjom jako punkt wyjścia i przypomina po prostu olbrzymie wysypisko śmieci. Ze szczytu wracała właśnie grupa alpinistów z Togo i ekspedycja żeńska z wysp Fidżi. Byli rozczarowani, gdyż fotoreporterzy, zafascynowani nami, nie zwrócili na nich najmniejszej uwagi. Profesor McKillipson przeprowadził ostami test w asyście doktora Dearslaya juniora. Wynik testu zadowolił obu lekarzy. Od tej pory przeszliśmy całkowicie na wyżywienie treściwe. Gęste owłosienie pokrywało na szczęście ślady na pośladkach po ostatnich zastrzykach hormonalnych.

I wreszcie, trzynastego lipca (zapowiadał się piękny, słoneczny dzień) nadeszła właściwa pora. Zdjęliśmy z siebie resztki ubrania (Wosley pilnował, żeby obiektywy mogły uchwycić jedynie nasze owłosione plecy), zaczerpnęliśmy głęboko rześkiego
aromatycznego górskiego powietrza i gdy na tablicy pojawiły sie nasze nazwiska, wystartowaliśmy do ostatniego zrywu. Mount Everestu nie można nazwać piękną górą, jest raczej niepozorny, ale po prostu najwyższy. Nie obraliśmy żadnego specjalnego szlaku, lecz szliśmy utartą drogą do doliny Milczenia, a następnie wzdłuż Ostrogi Genewskiej do Siodła Południowego. Wszystko przebiegało gładko. Strome, pokryte lodem stoki pokonaliśmy bez problemów, wytapiając palcami otwory w ścianie. McKillipson podwyższył temperaturę naszych ciał do tego stopnia, że kaprysy klimatu wysokogórskiego nie mogły nam dokuczyć. Miało to jednak również wadę: nie mogliśmy przebywać zbyt długo na jednym miejscu i w nocy musieliśmy często przesuwać się to tu, to tam. Pewnej nocy, kiedy byliśmy na Siodle Południowym, Bob zlekceważył to ostrzeżenie, co omal nie doprowadziło do zguby. Z pierwszym brzaskiem otworzyłem oczy i stwierdziłem przerażony, że nie ma Boba. Po prostu zniknął bez śladu. Zacząłem szukać go, coraz bardziej zrozpaczony, ale bez rezultatu. Dopiero po pewnym czasie usłyszałem w pobliżu jakiś znajomy głos: okazało się, że to Bob, chrapiący spokojnie, jakby nigdy nic, na dnie szybu o głębokości ośmiu metrów, wytopionego w lodzie. Gdyby nie zalegające to miejsce od czterdziestu lat liny, różnoraki sprzęt, wyposażenie do namiotu, puszki, butle z tlenem, plandeki, używana bielizna i aluminiowe drabinki, które powstrzymały dalsze opadanie Boba, mój przyjaciel stopiłby lód aż do gołej skały i zapewne nigdy już nie wydostałby się na wierzch.

Zbudziłem go kilkoma pigułkami ze śniegu. Wystraszony zaczął wygrzebywać się na górę.

W trzy godziny później pokonaliśmy szczyt południowy. Na ostatnich trzystu metrach przed szczytem głównym wyprzedziliśmy samotnego alpinistę z Zimbabwe. Szedł bez maski tlenowej. Na nasz widok wytrzeszczył oczy. Najwidoczeniej uznał, że to halucynacje.

- Yeti! - wychrypiał wreszcie, a jego czerwona twarz poszarzała z trwogi i wycieńczenia. Podmuch śnieżycy przesłonił mu na szczęście widok.

Wejście na szczyt zmęczyło nas jednak. Ale oto staliśmy tu, ledwie dysząc, jak dwie kudłate małpy. Zdobyliśmy te 8 848,12 metra wysokości o własnych siłach - by fair means - mobilizując wszelkie tkwiące w nas możliwości. Rozkoszowaliśmy się naszą samotnością na szczycie, wykorzystując fakt, iż nie było jeszcze alpinisty z Zimbabwe. Chmury rozstąpiły się, na ziemie wyjrzało słońce. Otrzepaliśmy się wzajemnie ze śniegu.

Musieliśmy poczekać na fotoreporterów, którzy nadlecieli helikopterami, aby uwiecznić nas na zdjęciach. Przez okienka machał do nas ręką Rich Wosley, pokazując na palcach znak V. Rozwinęliśmy flagę i zaczęliśmy powiewać nią z całych sił, po czym umieściliśmy ją w wyznaczonej skrytce. Następnie wpisaliśmy sie jako zdobywcy szczytu do księgi pod numerami 3763 oraz 3764. Alpinista z Zimbabwe nie pojawił się w ogóle. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że na nasz widok zawrócił. Wreszcie zaczęliśmy schodzić w dół.

Od tamtej pory siedzimy w Darjeeling. Nastała pora deszczowa. Woda gulgocze w rynnach, górskie szczyty toną w chmurach. Profesor McKillipson i jego asystent, doktor Dearslay junior, odjechali już dawno - dali za wygraną. Kilka dni temu opuścił nas również Wosley. Wyjeżdżając wręczył każdemu z nas czek na kwotę 100.000 funtów szterlingów i poklepał po ramieniu, jak gdyby chciał nas podnieść na duchu, ale jego dłoń cofnęła się szybko z powrotem.

Trzy razy dziennie gole się bardzo dokładnie, rozpaczliwie skubie gęstą, czarną sierść na klatce piersiowej i ramionach, po czym przeglądam się niezdecydowanie w lustrze. Modyfikacja czasowa! Recesywna! Dobre sobie. Nie pomogły żadne środki przeciwdziałające. Wydaje mi się nawet, że moje wargi nabierają barwy niebieskiej, a kły wydłużają się coraz bardziej.

Górskie stoki zasnute są kłębami chmur, deszcz szeleści w bambusach. Na drewnianej werandzie pod drzewem jujube siedzi ponura, siwa małpa, popijając drobnymi łykami herbatę. Od czasu do czasu odsuwa stare, skrzypiące krzesło z wikliny i niespokojnie przechadza się tam i z powrotem, postukując pazurami o podłogę z desek. Kiedy na zewnątrz panuje spokój, a chór żab milknie na chwile, dobiega mnie pochlipywanie i widzę przez okno, jak małpa ociera sobie oczy długą, kosmatą ręką.

Przełożył **Mieczysław Dutkiewicz**

O autorze: patrz „Fantastyka” nr 4/83.

Enigma

Uwe Luserke

Gdyby Sam Bishop i Larry Green przeczuwali, co ich czeka, nigdy by nie zdecydowali się na lot w kierunku Saturna. Tkwili jednak już od trzech miesięcy i 24 dni na martwym kamiennym klocu, przypadkowo tylko mającym te właściwość, że mógł opuścić szyk planetoid i zbliżyć się do Saturna na odległość kilku milionów kilometrów... i obaj przekonywali się wzajemnie, że ponieważ stara SOLAR jest już naprawiona, trzeba-ten fakt wykorzystać, a trochę odmiany w ich monotonnym życiu na pewno nie zaszkodzi. Zresztą mogli przecież wrócić na planetoide również za kilka tygodni i znowu przebywać w rejonach zamieszkałych Systemu.

Solar Maiden dowiozła ich bezpiecznie do strefy przyciągania planety-olbrzyma i wreszcie unosili się w niezmierzonej czerni widząc w dole brunatno-białą kule Tytana, a przed sobą zimne błyski pierścieni wokół potężnego sklepienia planety.

- Wspaniale! - zapalił się Larry, którego poniosła rozigrana wyobraźnia. - Spacer po pierścieniach Saturna; o tym wielu marzy przez całe życie!

- Bzdura - ostudził jego zapały Sam, nie nastrojony tak poetycko.

- Wylądujemy na Tytanie, może trzeba będzie coś stamtąd zabrać.

Tak też uczynili. Zazwyczaj bywa tak, że chłodny zmysł handlowy bierze górę nad poezją.

Sam wylądował na terenie wolnym od lodu. Znajdowali się w niemal owalnej kotlinie, otoczonej zewsząd stokami o wysokości 50 do 60 metrów. Dno kotliny stanowił rdzawobrunatny piach, tego samego koloru były wznoszące się dokoła skały. Liczne głazy zaścielały teren. O jeden z nich właśnie potknął się Sam, kiedy zeskoczył z ostatniego szczebla drabinki, aby jako pierwszy z ludzi postawić nogę na Tytanie. I w ten sposób pierwszym słowem człowieka na tej planecie stało się przekleństwo. W chwile później po drabince zeszła druga niezgrabna postać w nieforemnym skafandrze, objuczona obszernym plecakiem, po czym obydwaj podróżnicy wyruszyli w drogę, kierując się w stronę luki widocznej pomiędzy skałami. Wkrótce wchłonęła ich ciemna czeluść wąskiego przełomu.

Szli żwawo i nagle ujrzeli przed sobą rozległą kotlinę. Nad wszystkim górował blady sierp Saturna, przecięty błękitnymi pierścieniami. Dno kotliny odbijało turkusowe niebo na bezmiernej powierzchni zamarzniętego głazu. Czerwone chmury skryły się na chwile za wierzchołkami gór. W środku doliny stał sfinks.

Stał pośrodku, jakby była to najnormalniejsza rzecz we wszechświecie, stał jak przed piramidami w Gizie. Zdawał się być zrobiony z brunatnego, kamieniopodobnego materiału i nie wykazywał żadnych śladów erozji. Pierwszy odzyskał głos Larry.

- Nigdy nam w to nie uwierzą - wyjąkał.

Sam milczał. Powoli podszedł do brązowego kolosa i ostrożnie dotknął go końcami palców, jak gdyby musiał przekonać się namacalnie o jego istnieniu. Larry poszedł za jego przykładem. Wyciągnął ręce i mimo grubych rękawic poczuł ku swemu niezmiernemu zdumieniu ciepło, które poprzez palce spłynęło mu do ramienia.

- Nigdy nam w to nie uwierzą!

Sam odwrócił się powoli. Jego oczy, widoczne zza grubej szybki hełmu, były szeroko rozwarte i zdawały się płonąć z podniecenia.

- Na pewno uwierzą. Narobimy masę zdjęć, filmów, przywieziemy próbki. Larry, chłopie, przecież to odkrycie stulecia! Dzięki temu zyskamy sławę i pieniądze! Zarejestrujemy ten teren jako swoją działkę, będziemy przywozić tu wycieczki, wynajmować nasz statek, my... ach!

Nie posiadając się z zachwytu, kopnął olbrzymi posąg. Lany spojrzał na niego. - Wygląda na to - rzekł chłodno - że ostatni przedstawiciele gigantycznej rasy uciekli aż tu, aby zaznać spokoju.

- Spokoju? - zapytał Sam. - Przed kim? Ponownie kopnął potężną łapę sfinksa.

- Może przed nami. A my teraz zakłóciliśmy mu spokój!

Zaledwie Larry wypowiedział te słowa, kiedy nagle ogarnął go dziwny niepokój. Poczuł na twarzy jakiś cień. Spojrzał w górę i ciało jego sparaliżowała trwoga. Sfinks poruszył głową i spojrzał na nich wrogo swymi dużymi, brązowymi oczyma. Sam, nadal w nastroju beztroski, zamachnął się, aby jeszcze raz kopnąć posąg, gdy wtem zauważył coś i znieruchomiał.

Ogromna łapa sfinksa podniosła się powoli do ciosu.

Przełożył **Mieczysław Dutkiewicz**



Człowiek który żył 200 lat

Isaac Asimov

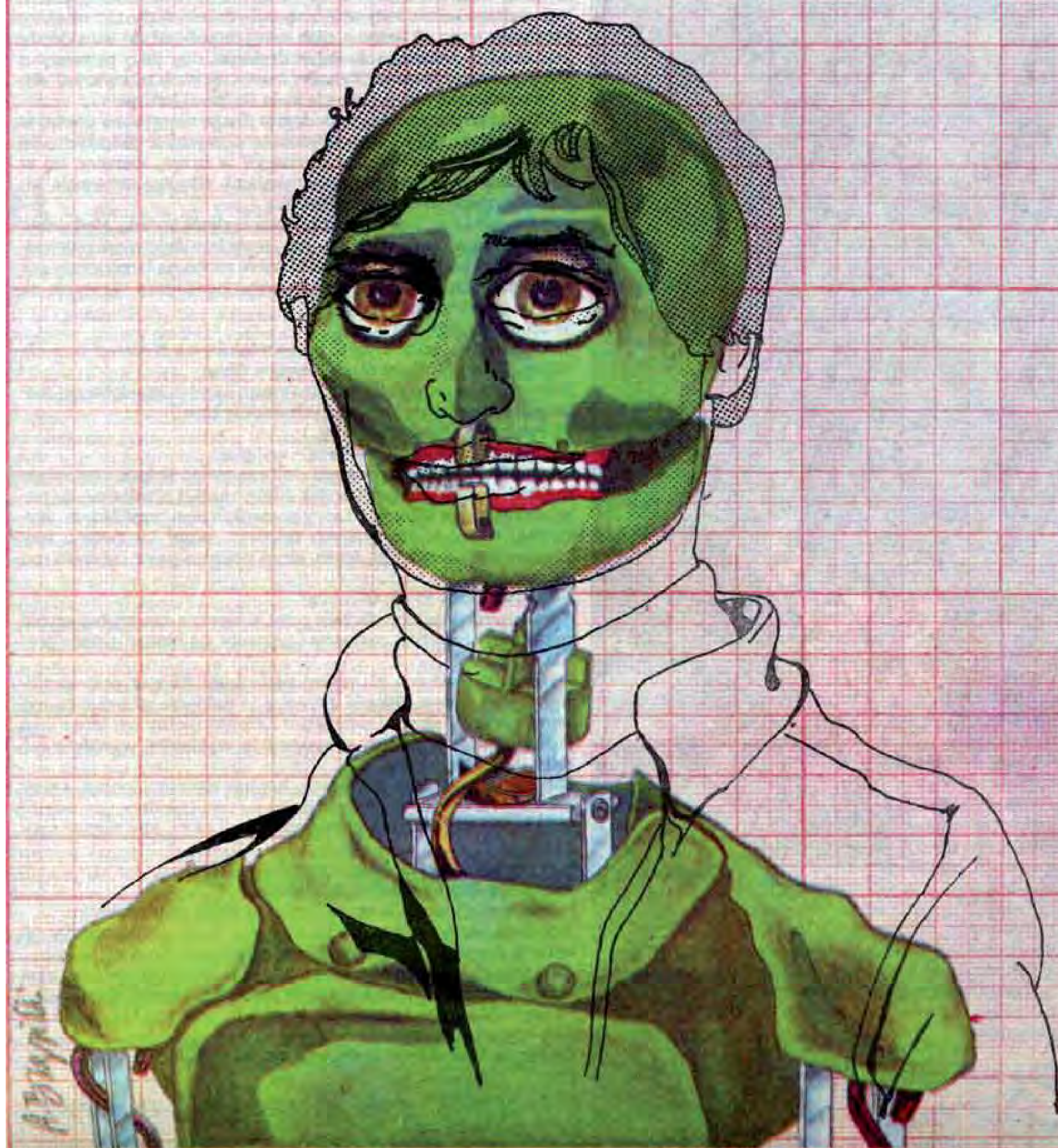
(The Bicentennial Man)

Trzy prawa robotyki:

1. Robotowi nie wolno wyrządzić nic złego człowiekowi nie może też przez brak czynnej reakcji dopuścić, aby człowiekowi stała się krzywda,

2. Robot musi wykonać każdy rozkaz człowieka, pod warunkiem, że rozkaz ten nie jest sprzeczny z Prawem Pierwszym.

3. Robot ma obowiązek chronić przed uszkodzeniem lub zniszczeniem swój mechanizm i powłokę, jeżeli taka ochrona nie koliduje z Prawem Pierwszym i Drugim.



1 Dziękuje - powiedział Andrzej Martin i usiadł na wskazanym krześle. Był doprowadzony do ostateczności, chociaż nikt by tego po nim nie poznał. Trudno było zresztą wyczytać cokolwiek z jego twarzy, ponieważ w ogóle pozbawiona była wyrazu. Jedynie ktoś z wyobraźnią mógłby dostrzec w oczach smutek. Miał miękkie, ciemno blond włosy i twarz bez zarostu. Zdawało się, że jest świeżo i gładko ogolony. W staromodnym, schludnym stroju dominował ciepły fiolet.
Za biurkiem, naprzeciw niego siedział chirurg. Stojąca obok tabliczka z serią liter i cyfr zawierała jego dokładne dane identyfikacyjne. Andrzej nie zwracał na nie uwagi, mówił do niego po prostu „doktorze”.
- Kiedy będzie można zrobić operacje, doktorze? - zapytał Andrzej.
- Nie jestem pewien, czy rozumiem, w jaki sposób i na kim taka operacja ma być wykonana - łagodnie i z szacunkiem odpowiedział chirurg. W głosie robota, który zwracał się do człowieka, zawsze brzmiała nutka szacunku.
Twarz chirurga przybrałaby może wyraz pełnej szacunku stanowczości, gdyby twarz robota z jasnobrązowej nierdzewnej stali mogła przybrać jakikolwiek wyraz.
Andrzej Martin z uwagą przyglądał się prawej ręce robota, tej operującej, która spoczywała teraz spokojnie na biurku. Jej palce były długie, smukłe, ukształtowane tak artystycznie, że można było sobie wyobrazić, jak skalpel przylega do nich i stapia się z nimi w jedną całość.
W pracy chirurga nie ma miejsca na wahania, potknięcia, drżenie rąk czy pomyłki. Ta niezawodność wiąże się oczywiście ze specjalizacją odgrywającą dla ludzkości role tak doniosłą, że w ostatnich czasach niewielu już tylko robotom umożliwiono samodzielne myślenie. Chirurg musiał z natury rzeczy mieć zdolność samodzielnego myślenia, ale była ona tak ograniczona, że nie poznał wcale Andrzeja Martina - prawdopodobnie nigdy nawet o nim nie słyszał.
- Czy miałeś kiedy ochotę być człowiekiem? - spytał Andrzej.
Chirurg zawahał się przez chwilę, jakby pytanie to nie mieściło sie w żadnej ze ścieżek pozytronowych jego mózgu.
- Przecież jestem robotem, proszę pana.
- Czy wolałbyś być człowiekiem?
- Wolałbym, proszę pana, być lepszym chirurgiem. Gdybym był człowiekiem, nie byłoby to możliwe. Musiałbym być bardziej udoskonalonym robotem. Cieszyłbym się, gdybym był doskonalszym robotem.
- Czy nie jest ci przykro, że mogę ci rozkazywać? Mogę, wypowiadając słowo lub dwa, zmusić cie, żebyś wstał, usiadł, zwrócił sie w prawo lub w lewo.
- Bardzo mi miło służyć panu. Gdyby pana rozkaz kolidował z moim obowiązkiem wobec pana lub innego człowieka, nie usłuchałbym go. Prawo Pierwsze, dotyczące bezpieczeństwa ludzi będących pod moją opieką, byłoby ważniejsze od Prawa Drugiego, mówiącego o posłuszeństwie. W każdym innym przypadku posłuszeństwo to dla mnie przyjemność... Ale kogo mam operować?
- Mnie.
- To niemożliwe. Ta operacja jest stanowczo szkodliwa dla zdrowia.
- To bez znaczenia - odparł spokojnie Andrzej.
- Nie wolno mi okaleczyć człowieka - powiedział chirurg.
- Nie wolno ci okaleczyć człowieka - powiedział Andrzej - ale ja też jestem robotem.

2 Andrzej znacznie bardziej przypominał robota, kiedy go wyprodukowano. Był z wyglądu taki sam, jak każdy inny robot, dobrze zaprojektowany i funkcjonalny. Działał sprawnie w domu, do którego nabyto go w czasach, kiedy roboty w domach prywatnych czy w ogóle na całej planecie były jeszcze rzadkością.
Rodzina składała się z czterech osób: Pana, Pani, Panienki i Małej Panienki. Oczywiście znał ich imiona, ale zwracając się do nich nigdy tych imion nie używał. Pan nazywał się Gerald Martin. Andrzej miał numer seryjny NDR... Liczb nie pamiętał. Oczywiście było to dawno, ale gdyby chciał, to by je zapamiętał. Po prostu nie chciał ich pamiętać.
Mała Panienka pierwsza zaczęła mówić mu „Andrzej”, bo litery NDR kojarzyły się jej z tym imieniem, potem wszyscy inni poszli w jej ślady.
Mała Panienka od dawna już nie żyła, umarła mając dziewięćdziesiąt lat. Kiedyś spróbował mówić do niej „pani”, ale mu nie pozwoliła. Pozostała Małą Panienką do końca swoich dni. W zasadzie Andrzej musiał pełnić obowiązki lokaja, służącego a nawet pokojówki. Był to dla niego okres eksperymentalny, podobnie jak dla wszystkich robotów z wyjątkiem tych zatrudnionych w przemysłowych i badawczych ośrodkach i stacjach poza Ziemią. Martinowie lubili go i często-gęsto musiał odrywać się od roboty, bo Panienka i Mała Panienka chciały, żeby się z nimi bawił. To właśnie Panienka pierwsza wpadła na pomysł, jak to załatwić. Powiedziała:
- Każemy ci bawić się z nami, a ty przecież musisz słuchać rozkazów.
- Przykro mi, Panienko - odpowiedział Andrzej - ale przede wszystkim musze wykonać rozkaz wydany przez Pana.
- Tatuś powiedział tylko, że dobrze by było, gdybyś posprzątał odpowiedziała Panienka.
- To właściwie nie jest rozkaz. A ja ci rozkazuje.
Pan nie gniewał się za to. Kochał Panienkę i Małą Panienkę, chyba nawet bardziej niż Pani. Andrzej również je kochał. W każdym razie dziewczynki budziły w nim uczucie, które ludzie nazywają miłością. Andrzej tak o tym myślał, ponieważ innego słowa na określenie tego uczucia nie znał. To właśnie dla Małej Panienki Andrzej wyrzeźbił z drzewa wisiorek. Tak mu kazała. Bo starsza Panienka dostała na urodziny wisiorek misternie wykonany z kości i Mała Panienka bardzo chciała mieć podobny. A miała tylko kawałek drewna, dała go wiec Andrzejowi wraz z małym nożem kuchennym. Zrobił szybko wisiorek, na co Mała Panienka powiedziała:
- To bardzo ładne, pokaże zaraz tacie. Pan nie mógł uwierzyć.
- Skąd to wzięłaś, Mandy?
Mówił do Małej Panienki „Mandy”. Kiedy zapewniła go, że nie kłamie, zwrócił się do Andrzeja:
- Ty to zrobiłeś, Andrzeju? Skąd skopiowałeś deseń?
- To jest geometryczny rysunek, który pasuje do faktury drewna, proszę pana.
Następnego dnia Pan przyniósł mu większy kawałek drewna i nóż elektryczny. Powiedział:
- Zrób coś z tego. Co chcesz.
Andrzej wykonał polecenie w obecności Pana. Potem Pan długo oglądał wykończony przedmiot. Odtąd Andrzej nie usługiwał już przy stole. Zamiast tego kazano mu czytać książki o projektowaniu mebli. Nauczył się robić komody i biurka.
- Robisz zdumiewające rzeczy - powiedział Pan.
- Lubię te prace.
- Lubisz?
- Kiedy rzeźbie, obwody w moim mózgu lepiej pracują. Słyszałem, że Pan używa słowa „lubić”. Ono chyba najlepiej określa to, co czuje. Lubię te prace.

3 Gerald Martin zaprowadził Andrzeja do Zakładów „Universum” produkujących roboty. Jako członek parlamentu stanowego mógł bez kłopotu uzyskać wizytę u naczelnego robotopsychologa. Zresztą właścicielem robota Gerald Martin został tylko dzięki swojemu stanowisku. W owych czasach bowiem roboty były rzadkością.
Andrzej wówczas nie rozumiał tych wszystkich spraw, ale później, kiedy zdobył więcej wiadomości o świecie, mógł ponownie przemyśleć dawną sytuacje i właściwie ją ocenić. Robotopsycholog, Marton Manski, z rosnącym niezadowoleniem słuchał opowieści i parę razy musiał powstrzymywać się, żeby nie zabębnić palcami o blat biurka. Miał chudą twarz, pomarszczone czoło i można było przypuszczać, że jest młodszy niż wygląda.
- Robotyka nie jest nauką aż tak ścisłą - powiedział. - Nie potrafię dokładnie tego panu wyjaśnić, ale obliczenia rządzące układem ścieżek pozytronowych są zbyt skomplikowane, pozwalają wiec jedynie na rozwiązania przybliżone. Oczywiście trzy prawa, na których zasadzie konstruujemy roboty, pozostają zawsze niezmienne. Naturalnie wymienimy panu robota...
- Ależ nie - odpowiedział Pan. - Robot działa bez zarzutu. Wywiązuje się ze swoich obowiązków idealnie. Chodzi tylko o to, że ponadto z niezwykłym kunsztem rzeźbi w drewnie i nigdy nie powtarza tego samego wzoru. On tworzy dzieła sztuki. Manski stropił się.
- Musze przyznać, że robimy teraz doświadczenia z robotami o ścieżkach uniwersalnych... Sądzi pan, że ten robot jest naprawdę twórczy?
- Niech pan sam zobaczy.
Pan wręczył mu małą drewnianą kulkę, na której Andrzej wyrzeźbił bawiące się dzieci. Chłopcy i dziewczynki byli tak mali, że z trudem tylko można było ich dojrzeć, jednak proporcje były wspaniale zachowane. Postacie tak idealnie zlewały się ze słojami drewna, że zdawało się, iż te też są wyrzeźbione. - On to zrobił? - spytał Manski. Zwrócił kulkę, potrząsając z niedowierzaniem głową. - Miał pan szczęście. To chyba coś niezwykłego w ścieżkach.

- Czy moglibyście skonstruować drugiego takiego robota?
- Chyba nie. O niczym podobnym nigdy nam dotychczas nie meldowano.
- Świetnie. Bardzo się cieszę, że Andrzej jest unikatem.
- Przypuszczam, że firma chętnie by wycofała pańskiego robota w celu dokładnego zbadania - powiedział Manski.
- Wykluczone - stwierdził kategorycznie Pan. - O tym nie może być mowy.
Zwrócił się do Andrzeja:
- Idziemy do domu.
- Tak jest, proszę pana - odrzekł Andrzej.

4 Panienka zaczęła spotykać się z chłopcami i niewiele czasu spędzała w domu. To Mała Panienka, już nie takie dziecko, była teraz dla Andrzeja główną osobą. Nie zapomniała nigdy, że pierwszą rzeźbę w drewnie wykonał dla niej. Nosiła ten wisiorek na srebrnym łańcuszku.
To ona właśnie zaprotestowała przeciwko rozdawaniu prac Andrzeja, co Pan miał we zwyczaju.
- Posłuchaj, tato - powiedziała - jeżeli ktoś chce mieć którąś z tych rzeczy, niech za nią zapłaci. Jest tego warta.
- Ależ, Mandy, nie bądź chciwa - powiedział Pan.
- Nie nam, tatusiu. Twórcy.
Andrzej nigdy dotychczas nie słyszał tego słowa i kiedy miał chwile czasu, zajrzał do słownika. Potem odbyła się kolejna wyprawa, tym razem do radcy prawnego Pana.
- Co o tym sądzisz, Janie? - zapytał Pan.
Adwokat nazywał się Jan Feingold. Miał siwe włosy i wydatny brzuch, nosił szkła kontaktowe z jasnozieloną obwódką. Przyjrzał się małej plakietce, którą podał mu Pan.
- Piękna... Ale już o tym słyszałem. To rzeźba twojego robota, którego tu przyprowadziłeś.
- Tak, Andrzej rzeźbi. Prawda, Andrzeju?
- Tak, proszę pana - powiedział Andrzej.
- Ilebyś za to zapłacił, Janie? - zapytał Pan.
- Trudno mi powiedzieć. Nie jestem zbieraczem.
- Czy uwierzysz, że proponowano mi dwieście pięćdziesiąt dolarów za ten drobiazg? Andrzej robi krzesła, które idą po pięćset dolarów sztuka. W banku jest dwieście tysięcy dolarów ze sprzedaży prac Andrzeja.
- Mój Boże, bogacisz się na nim, Geraldzie.
- W pewnym stopniu - odrzekł Pan. - Połowa tych pieniędzy jest wpłacana na konto Andrzeja Martina.
- Robota?
- Właśnie. Chce wiedzieć, czy to jest zgodne z prawem.
- Zgodne z prawem? - pod adwokatem zatrzeszczało krzesło.
- To sprawa bez precedensu. A jak twój robot podpisał niezbędne dokumenty?
- Umie się podpisać, a ja zaniosłem jego podpis do banku. Nie brałem go ze sobą. Czy coś jeszcze należy zrobić?
- Hm - Wydawało się, że oczy Feingolda znikły na chwile pod powiekami. Potem powiedział: - Możemy wyznaczyć pełnomocników, którzy w jego imieniu będą prowadzić sprawy finansowe i w ten sposób odizolujemy Andrzeja od wrogiego świata. Nie radze robić nic więcej. Na razie nikt się do tego nie wtrąca. Jeżeli ktoś będzie miał obiekcje, niech sam wniesie sprawę do sądu.
- A czy podejmiesz się obrony, gdyby taka sprawa wpłynęła do sądu?
- Za odpowiednie honorarium, oczywiście.
- Ile zażądasz?
- Coś w tym rodzaju. - Feingold wskazał plakietkę.
- Godziwa zapłata - stwierdził Pan.
Feingold parsknął śmiechem i zwrócił się do robota.
- Zadowolony jesteś, że masz pieniądze?
- Tak, proszę pana.
- A co masz zamiar z nimi zrobić?
- Będę płacił za różne rzeczy, proszę pana, za które normalnie musiałby płacić Pan. To mu oszczędzi wydatków.

5 Wydatków nie brakowało. Naprawy były kosztowne, a jeszcze więcej pieniędzy pochłaniały przeglądy techniczne. Z biegiem lat wypuszczano coraz to doskonalsze modele robotów. Pan dbał o to, żeby Andrzejowi wbudowano Wszystkie nowe usprawnienia, w wyniku czego Andrzej stał się tworem doskonałym. Wszystko opłacone było z oszczędności Andrzeja. Andrzej przy tym obstawał.
Tylko jego ścieżki pozytronowe pozostawały nietknięte. Przy tym obstawał Pan.
- Te nowe są gorsze od twoich, Andrzeju. Nowe roboty są do niczego - mówił. - W fabryce nauczyli się produkować typowe, precyzyjne, zawsze takie same ściczki. Nowe roboty niczym się od siebie nie różnią. Robią to, do czego są przystosowane. Żadnych niespodzianek. Wole ciebie.
- Bardzo Panu dziękuje.
- Musisz wiedzieć, Andrzeju, że to twoja wina. Jestem pewien, że Manski skończył z uniwersalnymi ścieżkami, skoro tylko dobrze ci się przyjrzał. Przeraził się rzeczy nieprzewidzianych. Wiesz, ile razy prosił, żebym pozwolił cie dokładnie zbadać? Dziewięć razy! Nie pozwoliłem jednak, a teraz on już przeszedł na emeryturę, wiec może będziemy mieli wreszcie spokój.
Włosy Pana przerzedziły się i posiwiały, rysy zgrubiały, Andrzej natomiast prezentował się jeszcze lepiej niż wówczas, kiedy przybył do rodziny.
Pani wyjechała i przystała do grupy malarskiej gdzieś w Europie, Panienka była poetką w Nowym Jorku. Pisywały czasem, ale niezbyt często. Mała Panienka wyszła za mąż i mieszkała nie opodal. Mówiła, że nie chce rozstawać się z Andrzejem i kiedy urodził jej sie synek, Panicz, Andrzejowi wolno było karmić go butelką. Andrzej czuł, że wraz z przyjściem na świat wnuka Pan ma kogoś, kto zastąpi mu osoby, które odeszły. Mógł już teraz zdobyć sie na to, żeby zwrócić się do niego z prośbą.
- To bardzo ładnie, że pozwolił mi pan wydawać pieniądze tak, jak sobie życzyłem.
- To były twoje pieniądze, Andrzeju.
- Tylko dzięki pańskiej dobrej woli. Przypuszczam, że zgodnie z prawem mógł pan wszystko zatrzymać dla siebie.
- Żadne prawo nie może mnie zmusić do nieuczciwości.
- Mimo wszystkich wydatków i mimo podatków, proszę pana, mam blisko sześćset tysięcy dolarów.
- Wiem.
- Chce panu dać te pieniądze.
- Ja ich nie przyjmę.
- W zamian za to, co pan może mi dać.
- O? A cóż to takiego?
- Wolność, proszę pana.
- Wolność?
- Tak, chce kupić wolność, proszę pana.

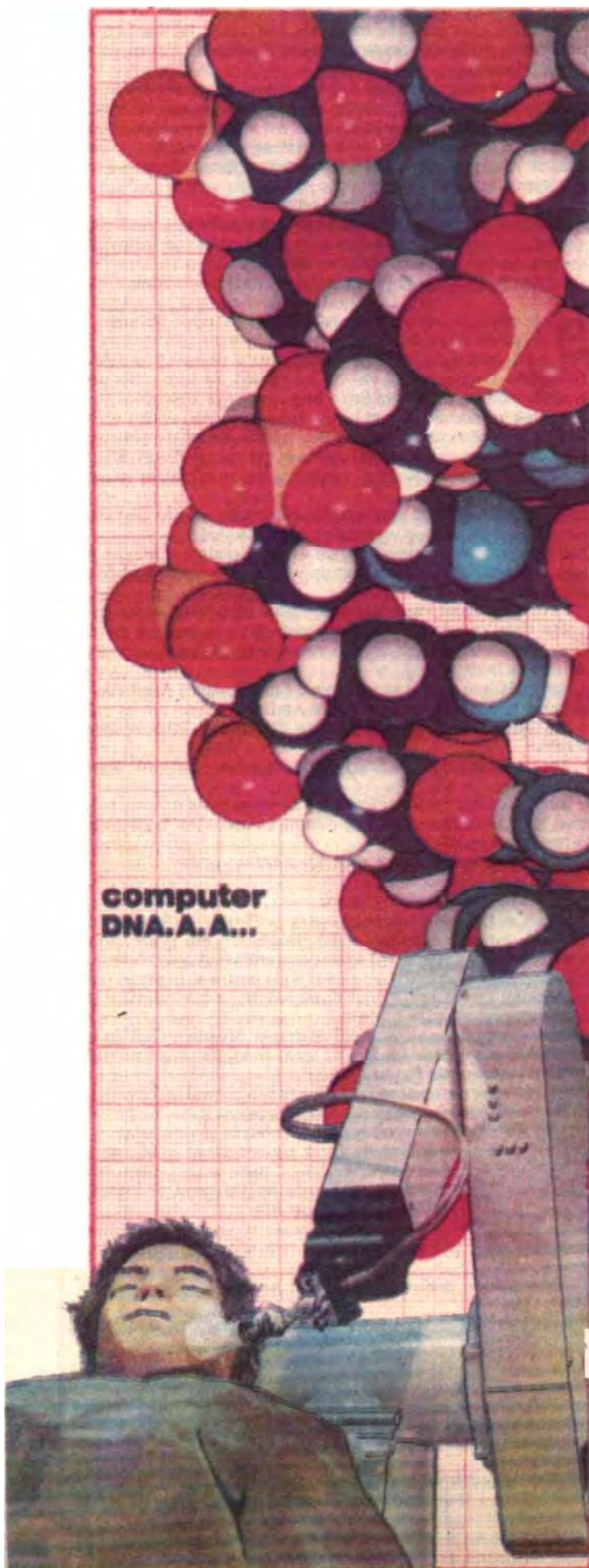
6 Nie poszło to łatwo. Pan zaczerwienił się. - Na litość boską - powiedział. Odwrócił się na piecie i odszedł sztywnym krokiem. Przekonała go Mała Panienka. Zrobiła to ostrym, wyzywającym tonem, na dobitkę w obecności Andrzeja. Przez trzydzieści lat wszyscy mówili o Andrzeju przy nim, bez względu na to, czy sprawa go dotyczyła, czy też nie. Przecież był tylko robotem. Mała Panienka powiedziała:
- Tatusiu, dlaczego traktujesz te sprawę jak osobisty afront? On i tak zostanie z nami. I nadal będzie lojalny. Nic na to nie można poradzić. Tak jest zaprogramowany. Ważne są tu tylko słowa. Chodzi jedynie o formalność. Chce mieć te świadomość, że jest wolny. Czy to takie straszne? Czy nie zasłużył sobie na to? Mój Boże, od lat z nim o tym rozmawiałam.
- Od lat z nim o tym rozmawiasz?
- Tak, stale o tym mówimy. Andrzej zwlekał z tą prośbą, bo sie bał, że może ci sprawić przykrość. Zmusiłam go, żeby się wreszcie do ciebie zwrócił.
- On nie ma pojęcia, co znaczy wolność. To robot.
- Tatusiu, ty go nie znasz. Andrzej przeczytał wszystkie książki, jakie są w bibliotece. Nie wiem, co on czuje, ale również nie wiem, co ty czujesz. Kiedy z nim rozmawiam, widzę, że reaguje na różne pojęcia abstrakcyjne tak samo, jak ty czy ja. A co może mieć większe znaczenie? Jeżeli czyjeś reakcje są takie same jak nasze, to chyba wystarczy.
- Sąd zajmie w tej sprawie inne stanowisko - odpowiedział gniewnie pan.
- Słuchaj no ty! - zwrócił się do Andrzeja rozmyślnie szorstkim tonem. - Mogę ci dać wolność jedynie drogą legalną, a jeżeli sprawa znajdzie się w sądzie, to nie tylko nie zdobędziesz wolności, ale sąd dowie się też oficjalnie o twoim pokaźnym majątku. Powiedzą ci, że robot nie ma prawa zarabiać pieniędzy. Czy warto ci dla takiej bzdury wszystko stracić?
- Wolność jest bezcenna, proszę pana - odparł Andrzej. - Choćby szansa wolności warta jest wszystkiego.

7 Sąd również mógł uznać, że wolność jest bezcenna. I mógł też orzec, że robot za najwyższą nawet cenę nie może kupić wolności. Prokurator okręgowy, rozpatrujący stronę sprzeciwiającą sie przyznaniu wolności, stwierdził zwięźle:
- Słowo „wolność” nie ma znaczenia w zastosowaniu do robota. Tylko człowiek może być wolny.
Powtarzał to, ilekroć była po temu okazja. Mówił wolno, rytmicznie uderzając ręką w stół, żeby zaakcentować swoje słowa. Mała Panienka poprosiła, aby pozwolono jej zabrać głos w sprawie Andrzeja. Przywołano ją, wymieniając nazwisko i imiona,

których Andrzej nigdy przedtem nie słyszał.
- Amanda Laura Martin Chamey.
- Dziękuje, Wysoki Sądzie. Nie jestem prawnikiem i nie znam oficjalnej terminologii prawniczej, ale ufam, że Wysoki Sąd zechce wysłuchać mojej wypowiedzi, biorąc pod uwagę jej sens. Należy rozumieć, co dla Andrzeja oznacza wolność. Pod pewnymi względami jest już wolny. Od dwudziestu chyba lat nikt z rodziny Martinów nie wydał mu rozkazu, którego by on sam nie chciał wykonać z własnej woli. Ale moglibyśmy wydać mu każdy rozkaz i to w sposób najbardziej nawet brutalny, ponieważ jest maszyną, która należy do nas. Ale dlaczego ma nam przysługiwać takie prawo, skoro Andrzej służy nam od tak dawna, tak wiernie i zarabia dla nas tyle pieniędzy? Nic nam już nie jest winien. To my jesteśmy jego dłużnikami. Gdyby nawet pozbawiono nas prawa korzystania z niewolniczej pracy Andrzeja, on mimo to dobrowolnie nadal by nam służył. Przyznanie mu wolności byłoby tylko pięknie brzmiącym zwrotem, ale dla niego znaczyłoby bardzo wiele. Zyskałby wszystko, a my byśmy nic nie stracili. Przez chwile wydawało się, że sędzia powstrzymuje się od uśmiechu.
- Rozumiem pani punkt widzenia. Chodzi jednak o to, że w tej dziedzinie nie ma żadnej ustawy i sprawa jest bez precedensu. Ale powszechnie panuje przekonanie, że tylko człowiek może być wolny. Mogę wydać nowe orzeczenie, które w wyższej instancji zostanie obalone, ale nie wolno mi lekceważyć ogólnego przekonania. Chce teraz wysłuchać robota. Andrzeju!
- Jestem, Wysoki Sądzie.
Andrzej po raz pierwszy przemówił w sądzie i sędziego wyraźnie zaskoczyło ludzkie brzmienie jego głosu.
- Dlaczego chcesz być wolny, Andrzeju? Jakie to może mieć dla ciebie znaczenie? - zapytał sędzia.
- Czy Wysoki Sąd chciałby być niewolnikiem? - zapytał Andrzej.
- Ale ty nie jesteś niewolnikiem. Jesteś wspaniałym robotem, geniuszem wśród robotów, jeżeli dobrze zrozumiałem, zdolnym do tworzenia niezrównanych dzieł sztuki. Czego więcej mógłbyś dokonać, gdybyś był wolny?
- Być może nic lepszego, Wysoki Sądzie, ale praca dawałaby mi więcej zadowolenia. Tutaj na sali sądowej mówiono, że tylko człowiek może być wolny. Mnie się zdaje, że wolny może być tylko ten, kto pragnie wolności. A ja jej pragnę.
Te właśnie słowa przekonały sędziego. Rozstrzygające zdanie jego orzeczenia brzmiało: „Nikt nie ma prawa odmawiać wolności komukolwiek, kto jest na takim poziomie umysłowym, że rozumie pojecie wolności i jej pragnie”. Decyzja ta została zatwierdzona przez Sąd Światowy.

8 Pan był nadal nie w humorze i na dźwięk jego szorstkiego głosu Andrzej czuł się jakby wstrząsany krótkim spięciem. - Nie chce tych twoich pieniędzy, Andrzeju - powiedział.
- Wezmę je tylko dlatego, że w przeciwnym razie nie czułbyś sie wolny. Możesz odtąd sam przyjmować zamówienia i wykonywać je, jak ci się podoba. Nie dostaniesz już ode mnie żadnego rozkazu, z wyjątkiem tego jednego - rób, co chcesz. Ale nadal jestem za ciebie odpowiedzialny, tak orzekł sąd. Mam nadzieje, że to rozumiesz.
- Przestań się złościć, tatusiu - wtrąciła się Mała Panienka. - Ta odpowiedzialność to drobiazg. Sam wiesz, że palcem nie ruszysz. Trzy prawa są nadal ważne.
- To na czym polega jego wolność?
- A czy ludzi nie obowiązują ludzkie prawa, proszę pana? - spytał Andrzej.
- Nie będę się wdawał w dyskusje - powiedział Pan. Wyszedł i po tej rozmowie Andrzej rzadko już go widywał.
Mała Panienka często odwiedzała Andrzeja, który zamieszkał w zbudowanym dla niego domku. Oczywiście nie było w nim kuchni ani łazienki. Składał się tylko z dwóch pokoi: w jednym była biblioteka, w drugim składzik i pracownia. Andrzej przyjął dużo zamówień i teraz jako wolny robot pracował pilniej niż kiedykolwiek przedtem, dopóki nie spłacił całej należności za dom i nie stał się jego pełnoprawnym właścicielem. Pewnego dnia przyszedł Panicz... Nie, Jurek! Po orzeczeniu sądu Panicz prosił usilnie, żeby Andrzej mówił mu po imieniu.
- Wolny robot nie powinien używać słowa „Panicz” - powiedział Jurek. -Ja mówię do ciebie Andrzej, wiec ty musisz mówić: Jurek”.
Było to sformułowane jak rozkaz, Andrzej wiec mówił mu Jurek. Ale Mała Panienka pozostała Małą Panienką. Jurek przyszedł tego dnia sam, z wiadomością, że Pan jest umierający. Była przy nim Mała Panienka, ale Pan wzywał również Andrzeja.
Pan mówił całkiem wyraźnie, chociaż był bardzo słaby. Z trudem podniósł rękę.
- Andrzeju... nie pomagaj mi, Jurku. Nie jestem kaleką, ja tylko umieram... Andrzeju, cieszę się, że jesteś wolny. Chciałem, żebyś o tym wiedział.
Andrzej nie mógł wydobyć z siebie słowa. Nigdy przedtem nie był przy niczyjej śmierci, ale wiedział, że oznacza ona, że mechanizm ludzki przestaje funkcjonować. Był to nieodwracalny i niezależny od woli człowieka kres egzystencji. Andrzej nie potrafił znaleźć własnych słów. Stał tylko w całkowitym milczeniu i całkowitym bezruchu. Po pogrzebie Mała Panienka powiedziała:
- Może pod koniec życia nie okazywał ci życzliwości, Andrzeju, ale był przecież stary i zabolało go to, że chciałeś być wolny.
I wtedy Andrzej znalazł właściwe słowa.
- Gdyby nie Pan, nigdy bym nie był wolny - powiedział.

9 Dopiero po śmierci Pana Andrzej zaczął nosić ubranie. Najpierw spodnie, które dostał od Jurka. Jurek ożenił się, był adwokatem. Zaczął pracować w firmie Feingolda. Stary Feingold dawno już nie żył, ale jego córka prowadziła kancelarie. Nazwa firmy brzmiała teraz „Feingold i Martin”. I tak już zostało, nawet kiedy córka z powodu wieku wycofała się ze spółki i nikt z rodziny Feingoldów nie zajął jej miejsca. Właśnie w tym czasie, kiedy Andrzej po raz pierwszy włożył ubranie, nazwisko „Martin” umieszczono w oficjalnej nazwie firmy.
Jurek starał się ukryć uśmiech, kiedy Andrzej po raz pierwszy włożył spodnie, ale ten wyraźnie uśmiech widział. Jurek pokazał Andrzejowi, jak się wkłada spodnie i zamyka suwak, ale Andrzej zdawał sobie sprawę, że nie prędko dojdzie do takiej zręczności ruchów.
- Po co ci spodnie? - zapytał Jurek. - Masz tak wspaniale funkcjonalne ciało, szkoda go zakrywać, zwłaszcza że możesz się nie troszczyć o temperaturę ani o przyzwoitość. W dodatku nie leżą dobrze na metalu.
- Czy ciała ludzkie nie są wspaniale funkcjonalne? A jednak ludzie noszą ubrania - odpowiedział Andrzej.
- Dla ciepła, dla higieny, dla ochrony, dla ozdoby. Tobie to niepotrzebne.
- Bez ubrania czuje się nagi. Czuje, że jestem inny niż wszyscy.
- Inny! Ależ Andrzeju, przecież na Ziemi są teraz miliony robotów. Na tym obszarze według ostatniego spisu jest bodajże nie mniej robotów, niż ludzi.
- Wiem. Roboty wykonują wszelkie możliwe prace.
- I żaden nie nosi ubrania.
- Ale żaden nie jest wolny, Jurku.
Andrzej stopniowo uzupełniał swoją garderobę. Onieśmielał go uśmiech Jurka i spojrzenia ludzi zlecających mu prace. Mimo zdobytej wolności nadal był ściśle programowany, gdy chodziło o zachowanie wobec ludzi, toteż ważył się posuwać naprzód tylko maleńkimi kroczkami. Czyjaś dezaprobata na całe miesiące potrafiła zatrzymać go w miejscu.
Nie wszyscy uznawali wolność Andrzeja. Niezdolny był do odczuwania gniewu, ale kiedy o tej sprawie myślał, logiczne rozumowanie sprawiało mu trudność.
Dbał o to, żeby nie nosić ubrania, kiedy spodziewał się odwiedzin Małej Panienki. Była już stara i często przebywała w ciepłym klimacie. Ale po powrocie od razu przychodziła go odwiedzić. Pewnego razu, kiedy wróciła, Jurek powiedział ze smutkiem:
- Przyparła mnie do muru, Andrzeju. Będę w przyszłym roku kandydował do Parlamentu. Powiada, że jaki dziad, taki wnuk.
- Jaki dziad... - Andrzej urwał niepewnie.
- To znaczy, że ja Jerzy, wnuk, pójdę w ślady Pana, mojego dziadka, który był reprezentantem we władzach ustawodawczych.
- Jakby to było dobrze - powiedział Andrzej - gdyby Pan nadal...
Urwał, bo nie chciał powiedzieć „funkcjonował”. To wydało mu się niewłaściwe.
- Żył - powiedział Jurek. -Ja też od czasu do czasu wspominam starego złośnika.
Andrzej długo myślał o tej rozmowie. Zauważył, że ma kłopoty z wysławianiem się kiedy rozmawia z Jurkiem. Jeżyk zmienił sie od czasu, gdy Andrzejowi przy konstrukcji zaprogramowano słownictwo.
W dodatku Jurek używał potocznych zwrotów, których nie słyszał u Pana i Małej Panienki. Dlaczego mówi o Panu „złośnik” przecież jest to z pewnością niewłaściwe słowo. Andrzej nie mógł też szukać pomocy w swoich książkach. Były już stare i traktowały przeważnie o snycerstwie, o malarstwie i projektowaniu mebli. Nie miał książek o jeżyku ani o ludziach.
Wtedy właśnie doszedł do wniosku, że musi poszukać odpowiednich książek. A ponieważ był wolnym robotem, czuł, że nie



wolno mu prosić o to Jurka. Pojedzie do miasta i skorzysta z biblioteki. Decyzja ta sprawiła mu wielką radość i poczuł, że jego potencjał elektryczny wyraźnie się podniósł, aż w końcu musiał zastosować cewkę oporową.
Andrzej ubrał się starannie, włożył nawet drewniany łańcuch. Wolałby świecący plastik, ale Jurek powiedział, że drewno jest bardziej eleganckie, a poza tym polerowany cedr ma znacznie większą wartość.
Odszedł sto metrów od domu, gdy rosnący wciąż opór zatrzymał go. Wykręcił wiec cewkę oporową z obwodu, a kiedy to nie dało spodziewanego efektu, wrócił do domu i na kawałku papieru napisał wyraźnie: „Poszedłem do biblioteki". Położył kartkę na widocznym miejscu na stole.

10 Andrzej nie dotarł w końcu do biblioteki. Przedtem sprawdził plan. Znał drogę, ale nie wiedział jak wygląda. Rzeczywiste punkty orientacyjne nie przypominały symboli na planie, toteż szedł niepewnie. W końcu pomyślał, że musiał zabłądzić, bo wszystko wyglądało dziwnie. Minął jakiegoś robota polnego, ale kiedy już zdecydował się zapytać o drogę, nie było nikogo w pobliżu. Przejechał samochód, ale sie nie zatrzymał. Andrzej stanął niezdecydowany. Wówczas ukazało się dwóch mężczyzn idących w jego kierunku przez pole.
Ruszył im naprzeciw, a oni także zboczyli z drogi. Chwile przedtem rozmawiali głośno, słyszał ich głosy, teraz nie mówili nic. Ich twarze miały wyraz, który kojarzył się Andrzejowi z obserwowaną u ludzi niepewnością. Byli dość młodzi, mieli może po dwadzieścia lat. Nigdy nie potrafił określić wieku człowieka.
- Czy mogliby panowie wskazać mi drogę do biblioteki miejskiej? - zapytał.
Jeden z nich, ten wyższy, którego wydłużał jeszcze groteskowo kapelusz, zwrócił się do drugiego, ignorując Andrzeja.
- To robot.
Drugi miał nos jak kartofel i ciężkie powieki. Powiedział do pierwszego, nie do Andrzeja:
- Jest ubrany. Wysoki strzelił palcami.
- To ten wolny robot. U Martinów jest robot, który do nikogo nie należy. Bo dlaczegóż by nosił ubranie?
- Zapytaj go - powiedział ten z nosem jak kartofel.
- Czy ty jesteś ten robot od Martinów? - spytał wysoki.
- Nazywam się Andrzej Martin, proszę pana - odpowiedział Andrzej.
- W porządku. Rozbieraj się. Roboty nie noszą ubrań. Zwrócił się do drugiego:
- To oburzające. Spójrz tylko na niego. Andrzej zawahał się. Od tak dawna nie słyszał rozkazu wydanego takim tonem, że obwody Drugiego Prawa chwilowo się zaciery. Wysoki powtórzył:
- Rozbieraj się. Rozkazuje ci. Andrzej powoli zaczął zdejmować ubranie.
- Rzuć je - powiedział wysoki.
- Jeżeli on nie należy do nikogo, to równie dobrze może być nasz - odezwał się Nochal.
- W każdym razie możemy z nim robić, co nam się podoba. Nie niszczymy niczyjej własności... Stań na głowie - to było do Andrzeja.
- Głowa nie jest przeznaczona... - zaczął Andrzej.
- To rozkaz. Jeżeli nie wiesz jak, to w każdym razie spróbuj. Andrzej znów się zawahał, potem nachylił się, żeby oprzeć głowę na ziemi. Spróbował podnieść w górę nogi i ciężko upadł. Wysoki powiedział:
- Leż tutaj. - Zwrócił się do drugiego: - Możemy rozebrać go na części. Rozkręcałeś kiedy robota?
- A czy on się da? - Niby jak może nam przeszkodzić? Andrzej nie mógłby się sprzeciwić, gdyby dość stanowczo rozkazali mu nie stawiać oporu. Drugie Prawo miało pierwszeństwo przed Trzecim Prawem o samoobronie. Zresztą gdyby się bronił, mógłby przypadkiem zrobić im coś złego, a to oznaczało by złamanie Pierwszego Prawa. Na te myśl wszystkie zdolne do ruchu elementy jego ciała skurczyły się raptownie i zadrżał, leżąc wciąż na ziemi. Wysoki podszedł i pchnął go nogą.
- Ciężki jest. Chyba bez narzędzi nie da rady.
- Każemy mu, żeby sam się rozłożył na części. Ale będzie ubaw patrzyć, jak się do tego zabiera - powiedział Nochal.
- Hm - odezwał się po namyśle wysoki. - Ale zabierzemy go z drogi. Jak ktoś akurat przyjdzie...
Za późno się zdecydował. Ktoś rzeczywiście nadszedł. Był to Jurek. Andrzej zobaczył, jak Jurek wchodzi na szczyt pobliskiego pagórka. Chętnie by dał mu jakiś znak, ale ostatni rozkaz brzmiał:
- Leż tutaj.
Jurek biegł już teraz i zasapał się. Młodzi ludzie cofnęli się tro-

chę i czekali, co będzie dalej.
- Andrzeju, czy coś ci się stało? - zapytał z niepokojem Jurek.
- Nic mi nie jest - odpowiedział Andrzej.
- No to wstań... Co się stało z twoim ubraniem?
- To pana robot? - zapytał wysoki chłopak.
- To niczyj robot - odpowiedział Jurek ostro. - Co się tu działo?
- Poprosiliśmy go grzecznie, żeby się rozebrał. A co to pana obchodzi, skoro pan nie jest jego właścicielem?
- Co oni z tobą robili, Andrzeju? - zapytał Jurek.
- Zamierzali w jakiś sposób rozebrać mnie na części. Właśnie mieli mnie przenieść w spokojne miejsce i rozkazać, żebym sie sam rozmontował.
Jurek spojrzał na tamtych dwóch i zadrgał mu podbródek. Nie cofnęli się, stali uśmiechnięci.
- Co nam zrobisz, grubasie? Pobijesz nas? - spytał ironicznie wysoki.
- Nie mam potrzeby. Ten robot jest w mojej rodzinie od siedemdziesięciu przeszło lat. Zna nas i ceni bardziej niż kogokolwiek innego. Powiem mu, że wy dwaj chcecie mnie zabić. Poproszę, żeby mnie bronił. Mając do wyboru mnie i was dwóch, wybierze mnie. A wiecie, co się z wami stanie, jeżeli was zaatakuje?
Młodzi ludzie cofnęli się nieco, miny mieli zaniepokojone. Jurek powiedział ostro:
- Andrzeju, grozi mi niebezpieczeństwo, bo ci dwaj chcą mi wyrządzić krzywdę. Podejdź do nich!
Andrzej ruszył w kierunku chłopaków, ale ci nie czekali. Umknęli, co sił w nogach.
- W porządku, Andrzeju. Możesz już być spokojny - powiedział Jurek. Sam był najwyraźniej wytrącony z równowagi. Dawno już przekroczył ten wiek, kiedy mógł myśleć o starciu z jednym młodym człowiekiem, a co dopiero z dwoma.
- Nie mógłbym im zrobić nic złego, Jurku. Przecież widziałem, że cie nie atakują - powiedział Andrzej.
- Nie kazałem ci ich atakować. Powiedziałem tylko, żebyś do nich podszedł. Resztę zrobił strach.
- Dlaczego oni tak się boją robotów?
- To choroba ludzi, której się jeszcze nie pozbyli. Ale mniejsza o to. Co tutaj robisz u diabła? Miałem już zawrócić i wynająć helikopter, kiedy cie znalazłem. Co ci strzeliło do głowy, żeby iść do biblioteki? Przyniósłbym ci wszystkie książki, jakie by ci były potrzebne.
- Jestem... - zaczął Andrzej.
- Wolnym robotem. Tak, tak. Dobrze już, co chciałeś dostać w bibliotece?
- Chce wiedzieć więcej o ludziach, o świecie, o wszystkim . I o robotach. Chciałbym napisać historie robotów.
- No dobrze, chodźmy do domu... Ale najpierw weź swoje ubranie. Napisano już milion książek na temat robotyki i wszystkie zawierają historie tej dziedziny. Świat wkrótce zaleją nie tylko roboty, ale i literatura o nich.
Andrzej potrząsnął głową - był to ludzki gest, który ostatnio wszedł mu w nawyk.
- Nie chodzi o historie robotyki. Chodzi o historie robotów, napisaną przez robota. Chce wyjaśnić, jaki roboty mają stosunek do tego, co dzieje się na świecie od czasu, kiedy pierwszym z nas pozwolono pracować i mieszkać na Ziemi.
Jurek podniósł brwi, ale nic nie odpowiedział.

11 Mała Panienka skończyła właśnie osiemdziesiąt trzy lata, ale nie brakowało jej ani stanowczości, ani energii. Częściej gestykulowała laską, niż się nią podpierała. Z najwyższym oburzeniem wysłuchała relacji o zdarzeniu:
- To straszne, Jurku. Kto to byli ci chuligani?
- Nie wiem. Co za różnica? W końcu nic mu nie zrobili.
- Ale mogli zrobić. Jesteś adwokatem, Jurku, a zamożny jesteś tylko dzięki talentowi Andrzeja. To pieniądze, które on zarobił, są podstawą wszystkiego, co mamy, On od wielu lat zapewnia dobrobyt naszej rodzinie i nie pozwolę, żeby traktowano go jak mechaniczną zabawkę.
- Wiec co według ciebie mam zrobić, mamo? - spytał Jurek.
- Powiedziałam już, że jesteś adwokatem. Chyba słyszałeś. Trzeba jakoś stworzyć precedens, żeby sądy okręgowe musiały wreszcie wydać orzeczenie o prawach robotów, a parlament uchwalił odpowiednie ustawy. Jeżeli będzie konieczne, odwołasz
sie do sądu światowego. Sama będę tego pilnować, Jurku. I nie będę tolerowała opieszałości ani wymówek. Mała Panienka mówiła z całą powagą. Tak się wiec stało, że sprawa, wszczęta dla udobruchania oburzonej starszej pani, stała sie problemem prawnym, dość trudnym i zawiłym, aby wzbudzić powszechne zainteresowanie. Jurek jako najstarszy wspólnik układał plany strategiczne, ale właściwe działanie pozostawił młodszym kolegom, najczęściej synowi Pawłowi, który również był wspólnikiem zespołu i sumiennie meldował o wszystkim babci. Mała Panienka z kolei omawiała codzienne nowiny z Andrzejem.
Andrzej bardzo był tą sprawą przejęty. Praca nad książką o robotach znów się opóźniła, ponieważ ślęczał teraz nad tekstami prawnymi i nawet wysuwał czasem nieśmiałe sugestie.
- Tamtego dnia Jurek powiedział, że ludzie boją się robotów. Dopóki tak będzie, ani sądy, ani parlament nie będą chciały ich bronić. Czy nie powinno się jakoś poruszyć opinii publicznej? podsunął myśl Andrzej.
Gdy wiec Paweł występował w sądzie, Jurek zaczął przemawiać na zebraniach publicznych. Miało to te zaletę, że występował w charakterze nieoficjalnym, i podkreślał to, wkładając czasem modny luźny strój, który nazywał draperią. Paweł przestrzegał go:
- Tylko idąc na mównice nie potknij się o te długie poły, tato.
- Postaram się - odparł Jurek, niezbyt tą uwagą zachwycony.
Pewnego razu przemawiając na dorocznym zjeździe dziennikarzy, powiedział miedzy innymi:
- Skoro na mocy Prawa Drugiego możemy wymagać od każdego robota bezwzględnego posłuszeństwa we wszystkich dziedzinach, które nie przynoszą szkody ludziom, wobec tego każdy człowiek, powtarzam, każdy, ma zatrważającą władze nad każdym robotem, absolutnie nad każdym. Mówiąc ściślej, ponieważ Prawo Drugie ma pierwszeństwo przed Trzecim, każdy człowiek może skorzystać z prawa posłuszeństwa, żeby unieważnić prawo dotyczące samoobrony. Może rozkazać każdemu robotowi, żeby się sam uszkodził, a nawet zniszczył dla jakiegokolwiek powodu lub bez powodu.
Czy to jest sprawiedliwe? Czy postąpilibyście tak ze zwierzęciem? Nawet martwy przedmiot, który nam dobrze służy, wymaga poszanowania. A robot nie jest martwym przedmiotem i nie jest zwierzęciem. Rozumuje dość sprawnie, żeby z nami rozmawiać, dyskutować, żartować. Czy możemy traktować roboty jak przyjaciół, pracować razem z nimi, a jednocześnie odmawiać im dobrodziejstwa tej przyjaźni, odmawiać im choćby ułamka korzyści ze współpracy?
Skoro człowiek ma prawo wydać robotowi każdy rozkaz, który nie przynosi szkody ludziom, powinien mieć dość przyzwoitości, żeby nie wydawać mu takiego rozkazu, który mógłby krzywdzić robota, jeżeli bezpieczeństwo człowieka koniecznie tego nie wymaga. Wraz z wielką władzą idzie w parze wielka odpowiedzialność i jeżeli roboty muszą przestrzegać trzech praw chroniących ludzi, czy jest to zbyt wielkie wymaganie, aby ludzie przestrzegali praw chroniących roboty?
Andrzej miał racje. To właśnie walka o opinie publiczną miała kluczowe znaczenie w sądach i parlamencie. W końcu wprowadzono przepis prawny, który formułował warunki, w jakich rozkazy wyrządzające krzywdę robotowi były zabronione. Przepis był obwarowany nie kończącymi się zastrzeżeniami i kary za pogwałcenie tego przepisu były niewspółmiernie małe, ale zasada została ustalona. Ostateczne zatwierdzenie ustawy przez parlament światowy nastąpiło w dniu śmierci Małej Panienki. Nie był to przypadek. Mała Panienka aż do ostatniego posiedzenia kurczowo trzymała się życia i umarła dopiero wtedy, kiedy nadeszła wiadomość o zwycięstwie. Ostatnim uśmiechem obdarzyła Andrzeja. Powiedziała po raz ostami: - Byłeś dla nas dobry, Andrzeju.
Umarła, trzymając go za rękę, gdy tymczasem syn, synowa i wnuki, pełni szacunku, stali w pewnej odległości od obojga.

12 Andrzej czekał cierpliwie, podczas gdy recepcjonistka zniknęła w pokoju wewnętrznym. Niekiedy ktoś wchodził do pokoju, żeby mu się przyjrzeć. Andrzej nie starał sie unikać spojrzeń. Patrzył na przybysza spokojnie, aż wreszcie ten odwracał wzrok.
W końcu Paweł Martin wyszedł z gabinetu. Był zdziwiony, lub raczej byłby zdziwiony, gdyby Andrzej potrafił wyczytać to z jego twarzy. Od pewnego czasu Paweł mocno malował twarz, co było podyktowane ostatnią modą dla obojga płci, i chociaż dzięki tej charakteryzacji zbyt łagodne rysy jego twarzy stały się bardziej stanowcze i ostrzejsze, Andrzej nie pochwalał tego zwyczaju. Odkrył, że dezaprobata w stosunku do ludzi, byle tylko nie ujmował jej w słowa, już nie wprawia go w zakłopotanie. Mógł nawet wyrazić dezaprobatę na piśmie. Zdawał sobie jednak sprawę, że dawniej było inaczej.
- Wejdź, Andrzeju. Przepraszam, że czekałeś, ale musiałem koniecznie coś skończyć. Wejdź. Mówiłeś, że chcesz ze mną porozmawiać, ale nie przypuszczałem, że chcesz się ze mną widzieć tutaj, w mieście.

- Jeżeli jesteś zajęty Pawle, mogę zaczekać.
Paweł spojrzał na migotliwe cienie umieszczonej na ścianie tarczy zegara. Powiedział: -^lam trochę czasu. Jak tutaj dotarłeś?
- wynająłem automatyczny samochód bez kierowcy.
- Żadnych kłopotów? - zapytał Paweł z niepokojem.
- Nie spodziewałem się kłopotów. Moje prawa są chronione.
Jeszcze większy niepokój odmalował się na twarzy Pawła.
- Mówiłem ci już, że nie można zmusić nikogo, żeby respektował ten przepis prawny. W każdym razie w większości przypadków jest to niemożliwe. Jeżeli nadal będziesz się upierał, żeby nosić ubranie, w końcu spotkają cie kłopoty, tak jak wtedy.
- Ale to się nigdy więcej nie powtórzyło, Pawle. Przykro mi, że jesteś niezadowolony.
- Andrzeju, zastanów się. Właściwie jesteś żywą legendą i z wielu powodów zbyt jesteś cenny, abyś miał prawo narażać się na niebezpieczeństwo. Jak tam książka?
- Już ją kończę. Wydawca jest chyba zadowolony.
- Wspaniale!
- Nie jestem pewien, czy jest zadowolony z samej książki. Myślę, że spodziewa się dużego popytu, bo autorem jest robot. I to głównie jest powodem jego zadowolenia.
- Ludzka rzecz.
- Nie przejmuje się tym. Wszystko mi jedno, dlaczego będą te książkę kupować, dopóki to oznacza pieniądze, które będę mógł wydać.
- Babcia zapisała ci...
- Mała Panienka była bardzo hojna i jestem pewien, że nadal mogę liczyć na pomoc twojej rodziny. Ale to honorarium autorskie ma być podstawą moich dalszych poczynań.
- A jakie mają być te dalsze poczynania?
- Chciałbym porozmawiać z dyrektorem firmy „Universum". Usiłowałem do niego dotrzeć, ale jak dotąd bez powodzenia. Firma nie udzieliła mi żadnej pomocy przy pisaniu książki, wiec rozumiesz, że nie dziwi mnie to.
- Pomoc to ostatnia rzecz, jakiej mógłbyś oczekiwać. Firma nie pomagała nam w naszej wielkiej batalii o prawa robotów. Wręcz przeciwnie i chyba rozumiesz dlaczego. Jeżeli roboty zdobędą prawa, ludzie mogą nie chcieć ich kupować.
- Jednak jeżeli to ty do nich zadzwonisz, może uda ci się uzyskać dla mnie posłuchanie - powiedział Andrzej.
- Jestem u nich równie źle widziany, jak ty, Andrzeju.
- Ale może mógłbyś im dać do zrozumienia, że jeżeli zostanę przyjęty, unikną kampanii prowadzonej przez biuro „Feingold i Martin" na rzecz dalszego rozszerzenia praw robotów.
- Czy to nie będzie kłamstwo, Andrzeju?
- Owszem, Pawle, ale ja nie potrafię kłamać. Dlatego ty musisz zadzwonić.
- Nie potrafisz kłamać, ale możesz mnie namawiać do kłamstwa, tak? Upodabniasz się coraz bardziej do człowieka, Andrzeju.

13 Niełatwo było takie spotkanie zorganizować, nawet przy dość znanym nazwisku Pawła i jego pozycji społecznej.
W końcu udało się. Prezesem „Universum" był Harley Smythe-Robertson, po kądzieli potomek pierwszego założyciela firmy. Przybrał podwójne nazwisko, żeby podkreślić swoje pochodzenie. Nie był zbytnio zadowolony z tej wizyty, gdyż zbliżał się już do wieku emerytalnego, a przez cały okres pełnienia obowiązków prezesa miał do czynienia ze sprawą walki o prawa robotów. Czaszkę okrywała rhu starannie ułożona pożyczka z siwych włosów, nie używał szminek. Raz po raz rzucał na Andrzeja wrogie spojrzenie. Andrzej zaczął:
- Proszę pana, blisko sto lat temu Robert Manski, reprezentant tej firmy powiedział, że matematyka rządząca układem ścieżek pozytronowych jest zbyt skomplikowana, pozwala wiec jedynie na rozwiązania przybliżone. W związku z tym nie można dokładnie sprecyzować moich możliwości.
Smythe-Robertson zawahał się, a następnie powiedział ozięble:
- To było sto lat temu, proszę pana. Dzisiaj to twierdzenie jest już niezgodne z prawdą. Obecnie nasze roboty wykonuje się precyzyjnie i są one dokładnie zaprogramowane do pełnienia swoich obowiązków.
Paweł, który towarzyszył Andrzejowi, żeby, jak powiedział, mieć pewność, że firma go nie wykiwa, wtrącił:
- Tak, i w rezultacie moja sekretarka nie potrafi samodzielnie zareagować na żadną sytuacje, która choćby nieznacznie odbiega od typowej.
- Byłby pan o wiele bardziej niezadowolony, gdyby pańska sekretarka podejmowała samodzielne decyzje.
- Czy to znaczy, że nie produkujecie już robotów takich jak ja, mających zdolność przystosowania się i samodzielność myślenia? - zapytał Andrzej.
- Już nie.
- Badania, które przeprowadziłem w związku z moją książką wskazują, że jestem najstarszym robotem, jaki obecnie funkcjonuje.
- Najstarszym obecnie i najstarszym, jaki w ogóle istniał. Najstarszym, jaki będzie istniał kiedykolwiek. Obecnie po dwudziestu pięciu latach staje się bezużyteczny. Wycofujemy go i zastępujemy nowszym modelem.
- Żaden z obecnie produkowanych robotów nie może działać dłużej niż dwadzieścia pięć lat? - powtórzył uprzejmie Paweł.
- Andrzej jest wiec pod tym względem wyjątkiem. Ale Andrzej starał się nie odbiegać od tematu i spytał:
- Czy jako najstarszy i najbardziej samodzielny robot na świecie nie jestem dość niezwykły, aby zasługiwać na specjalne traktowanie ze strony firmy „Universum"?
- W żadnym wypadku - lodowatym tonem odpowiedział Smythe-Robertson. - Ta niezwykłość jest powodem wielkich kłopotów dla naszej firmy. Pech chciał, że cie sprzedano, a nie wypożyczono, bo byśmy cie dawno wycofali i wymienili.
- Ale właśnie o to chodzi - powiedział Andrzej. - Jestem wolnym robotem i panem samego siebie. Dlatego przyszedłem do pana z prośbą, żeby mnie pan wymienił. Nie wolno tego zrobić bez zgody właściciela. Obecnie taka zgoda jest już warunkiem wstępnym przy wypożyczaniu robota, ale za moich czasów sytuacja wyglądała inaczej.
Smythe-Roberson był zaskoczony i wstrząśnięty, przez chwile panowała cisza. Andrzej przyglądał się holografowi na ścianie. Przedstawiał pośmiertną maskę Zuzanny Calvin, patronki wszystkich robotów. Nie żyła już blisko od dwustu lat, ale w związku z książką, którą pisał, Andrzej tyle o niej wiedział, aż zdawało mi sie, że znał ją osobiście. Smythe-Robertson powiedział z ponurym uśmiechem:
- Jakże mogę cie wymienić na twoje zlecenie? Jeżeli zastąpię cie jako robota, w jaki sposób mam dać nowego robota tobie jako właścicielowi! Ależ przez sam akt wymiany przestaniesz istnieć.
- To nic trudnego - zaoponował Paweł. - Indywidualność Andrzeja tkwi w jego pozytronowym mózgu i to jest ta cześć, której nie można zamienić, nie tworząc nowego robota. Mózg pozytronowy to właśnie jest Andrzej - właściciel. Wszystkie inne części ciała można zamienić bez żadnego wpływu na indywidualność robota i są one własnością mózgu. Chce przez to powiedzieć, że Andrzej pragnie otrzymać dla swego mózgu nowe ciało.
- Tak, o to mi chodzi - spokojnie powiedział Andrzej. Zwrócił sie do Smythe-Robertsona:
- Zakłady produkowały przecież androidy, prawda? Roboty takie mają wygląd zewnętrzny człowieka, nawet jeżeli chodzi o skórę.
- Tak, to prawda. Ich skóra z syntetycznego włókna, a także ścięgna funkcjonowały bez zarzutu. Tylko w mózgu stosowaliśmy metal, a jednak roboty te były równie trwałe jak modele metalowe. Może nawet trwalsze.
- Nic o tym nie wiedziałem - zainteresował się Paweł. - Ile ich jest na rynku?
- Nie ma wcale - odpowiedział Smythe-Robertson. - Były znacznie droższe od modeli metalowych i analiza rynku wykazała, że nie miały powodzenia. Zbyt były podobne do ludzi.
- Oczywiście zakładam, że firma zachowała dokumentacje fachową dotyczącą produkcji takich modeli. Jeżeli tak, chciałbym, żeby zastąpiono mnie robotem organicznym, androidem.
- Mój Boże! - powiedział zdziwiony Paweł. Smythe-Robertson zesztywniał.
- To niemożliwe!
- A dlaczego! - zapytał Andrzej. - Zapłacę każdą cenę, oczywiście w granicach rozsądku.
- Nie produkujemy androidów - odparł Smythe-Robertson.
- Nie chcecie produkować androidów - wtrącił szybko Paweł.
- Ale to nie znaczy, że nie możecie ich produkować.
- Tak czy owak produkcja androidów jest sprzeczna z przyjętą polityką - powiedział Smythe-Robertson.
- Nie ma prawa, które by tego zabraniało - odparł Paweł.
- W każdym razie nie produkujemy androidów i nigdy nie będziemy ich produkować.
Paweł chrząknął.
- Proszę pana - powiedział. - Andrzej jest wolnym robotem, którego chroni ustawa dotycząca praw robotów. Chyba zdaje pan sobie z tego sprawę.
- Aż za dobrze.
- Nosi ubranie, bo jako wolny robot tak sobie życzy. Z tego powodu spotykają go często przykrości ze strony bezmyślnych ludzi, mimo że prawo zabrania poniżania robotów. Niełatwo jest

wnosić do sądu skargi o łamanie tego prawa, jeżeli wykroczenia tego typu nie spotykają się z ogólnym potępieniem tych, co decydują o winie i niewinności.
- Nasza firma zdawała sobie z tego sprawę od początku. Niestety firma pańskiego ojca nie zdołała tego przewidzieć.
- Mój ojciec już nie żyje - powiedział Paweł. -Ja natomiast widzę jasno, że mamy tu do czynienia z jawnym i celowym łamaniem prawa.
- Co też pan opowiada!
- Mój klient, Andrzej Martin - właśnie został moim klientem jest wolnym robotem, który ma prawo żądać od firmy „Universum" wymiany, z której korzystać mogą wszyscy posiadacze robotów od przeszło dwudziestu pięciu lat. Ściśle biorąc, firma domaga się, aby z niej korzystano.
Paweł uśmiechnął się i z całą swobodą mówił dalej:
- Mózg pozytronowy mojego klienta jest właścicielem jego ciała, które niewątpliwie ma więcej niż dwadzieścia pięć lat. Mózg pozytronowy żąda wymiany ciała i chce zapłacić godziwą cenę za ciało androida, które zostanie dla niego skonstruowane. Odmawiając spełnienia tej prośby, poniża pan mojego klienta, wobec czego wniesiemy sprawę do sądu. Wprawdzie opinia publiczna z reguły nie byłaby skłonna poprzeć tego rodzaju żądania robota, pozwolę sobie jednak przypomnieć panu, że firma „Universum" nie cieszy się popularnością. Nawet ci, co ciągną największe korzyści z robotów, patrzą na pańską firmę krzywym okiem. Być może jest to echo czasów, w których obawiano się robotów. A może niechęć wobec potęgi i bogactwa firmy, która posiada monopol światowy. Zresztą mniejsza o przyczyny, rzecz w tym, że taka powszechna niechęć istnieje, toteż w końcu uznacie chyba, że lepiej nie narażać się na sprawę sądową, zwłaszcza, że mój klient jest zamożny i będzie żył jeszcze przez wiele stuleci, a nie widzę powodu, dla którego nie miałby prowadzić batalii w nieskończoność.
Smythe-Robertson zaczerwienił się.
- Chce mnie pan zmusić...
- Do niczego pana nie zmuszam - odrzekł Paweł. - Wolno panu odmówić zgody na prośbę mojego klienta i jeżeli pan tak postanowi, wyjdziemy bez słowa... ale wniesiemy sprawę do sądu, bo bez wątpienia mamy do tego prawo. Przekona się pan, że w końcu przegracie.
- Hm - zaczął Smythe-Robertson i umilkł na chwile.
- Widzę, że się pan jednak zgodzi - powiedział Paweł. - Waha sie pan na razie, ale w końcu podejmie pan te decyzje. Chciałbym tylko zrobić jeszcze jedno zastrzeżenie. Jeżeli w trakcie przenoszenia mózgu pozytronowego mojego klienta z jego obecnego ciała do ciała organicznego, mózg ten zostanie w niewielkim choćby stopniu uszkodzony, nie spocznę, dopóki nie dopiekę wam do żywego. Podejmę w razie potrzeby wszelkie kroki, żeby zmobilizować opinie publiczną przeciwko pańskiej firmie, gdyby chociaż jedna platynowo-irydowa ścieżka w jego mózgu została podrapana.
Zwrócił się do Andrzeja.
- Zgadzasz się, Andrzeju?
Wahanie Andrzeja trwało całą minutę. Zgoda z jego strony równała się aprobacie kłamstwa, szantażu, zastraszania i poniżania człowieka. Ale nie wyrządziła krzywdy fizycznej, mówił sobie Andrzej, najmniejszej krzywdy fizycznej. W końcu zdołał bąknąć półgłosem:
- Tak.

14 Wydawało mu się, że od nowa go skonstruowano. Całe dnie, potem tygodnie, w końcu miesiące, Andrzej miał wrażenie, że w jakimś sensie nie jest sobą. Najprostsze nawet czynności sprawiały mu trudność.
Paweł szalał.
- Uszkodzili cie, Andrzeju. Musze wystąpić na drogę sądową.
Andrzej mówił bardzo wolno.
- Nie rób tego. Nigdy nie będziesz w stanie udowodnić p... pr...
- Premedytacji?
- Premedytacji. Poza tym czuje się coraz lepiej, jestem coraz silniejszy. To tylko sz... sz...
- Szum?
- Szok. Bądź co bądź nigdy dotychczas nie przeprowadzano takiej oper... oper...
Andrzej wyczuwał wyraźnie, jak działa jego mózg. Nikt inny nie mógłby tego zbadać. Wiedział, że wszystko jest w porządku. Całe miesiące uczył się koordynacji i wzajemnego oddziaływania elementów pozytronowych. Wiele godzin spędzał przed lustrem. To jeszcze nie było to, o co chodziło! Twarz miał sztywną, mało elastyczną, ruchy zbyt powolne. Brakowało im swobodnej i niedbałej płynności, ale może to przejdzie z czasem. W każdym razie mógł nosić ubranie, znikł już dziwaczny kontrast, jaki w zestawieniu z ubraniem stanowiła metalowa twarz. W końcu powiedział:
- Wracam do pracy. Paweł roześmiał sie:
- To znaczy, że wszystko w porządku. A co chcesz robić? Napisać następną książkę?
- Nie - odpowiedział z powagą Andrzej. - Za długo żyje, żebym miał się poświęcać wyłącznie i na zawsze jednemu zajęciu. Kiedyś byłem plastykiem i zawsze mogę do tego wrócić. Potem zajmowałem się historią i do tego też mogę wrócić. A teraz chciałbym zostać robotobiologiem.
- Chcesz powiedzieć robotopsychologiem.
- Nie. To by oznaczało studia nad mózgiem pozytronowym, na co nie mam na razie ochoty. Wydaje mi się, że robotobiolog powienien się zajmować działaniem ciała w powiązaniu z takim mózgiem.
- To chyba dziedzina robotyki?
- Robotyka zajmuje się ciałem z metalu. Ja zająłbym się ciałem organicznym, podobnym do ciała człowieka, które ja jeden, o ile mi wiadomo, posiadam.
- Zawężasz pole działania. Jako plastyk miałeś do czynienia tylko z własnymi pomysłami, jako historyk zajmowałeś się robotami, jako robotobiolog skoncentrujesz się wyłącznie na sobie.
Andrzej skinął głową.
- Na to wygląda - odrzekł.
Andrzej musiał zacząć od samego początku, nie miał pojęcia o zwykłej biologii i nie znał prawie nauk ścisłych. Stał się bywalcem bibliotek, w których spędzał długie godziny na przeglądaniu katalogów z dziedziny elektroniki. Nosił ubranie i na pozór nie różnił się wcale od ludzi. Ci nieliczni, którzy wiedzieli, że jest robotem, nie zakłócali mu nigdy spokoju. Andrzej urządził laboratorium w pokoju, który dobudował do swojego domu, trochę się też wzbogaciła biblioteka. Minęły lata. Pewnego dnia Paweł przyszedł do niego i powiedział:
- Szkoda, że nie pracujesz już nad historią robotów. Dowiedziałem się, że firma „Universum" radykalnie zmienia linie postępowania.
Paweł postarzał się, a jego słabnące oczy zastąpiono fotooptycznymi komórkami. Pod tym względem stał się bardziej zbliżony do Andrzeja.
- A co oni robią? - pytał Andrzej.
- Produkują centralne komputery, w rzeczywistości to są gigantyczne mózgi pozytronowe, które komunikują się za pomocą ultrakrótkich fal z ilością od tuzina do tysiąca robotów naraz. Same roboty w ogóle nie mają mózgów. Są członami gigantycznego mózgu, ale fizycznie nie mają z nim żadnego kontaktu.
- Czy to lepsze rozwiązanie?
- Tak twierdzi firma. Smythe-Robertson przed śmiercią nadał produkcji nowy kierunek i mam wrażenie, że jest to reakcja na twoją sprawę. Firma „Universum" robi wszystko, żeby nie dopuścić do produkcji robotów, które mogłyby im przysporzyć kłopotów, tak jak to było z tobą. Dlatego oddzielili mózg od ciała. Mózg nie będzie miał ciała, które chciałby zmienić, a ciało nie będzie miało mózgu, który mógłby czegoś pragnąć. To zdumiewające, Andrzeju, jaki wpływ wywarłeś na historie robotów. Twoja artystyczna działalność zachęciła firmę „Universum" do produkcji robotów bardziej znormalizowanych i ściśle wyspecjalizowanych. W wyniku uzyskania przez ciebie wolności sprecyzowano zasadę praw robotów. Domagając się ciała androida, spowodowałeś, że firma skierowała wysiłki na oddzielenie mózgu od ciała.
- Przypuszczam, że w końcu firma wyprodukuje jeden ogromny mózg, który będzie kontrolował kilka miliardów robotów. Wszystkie sznurki będą w jednym reku. To niebezpieczne. Tak być nie powinno - powiedział Andrzej.
- Chyba masz racje - odrzekł Paweł - ale nie sądzę, żeby tak sie stało w ciągu najbliższych stu lat, a wiec ja już tego nie dożyje. Prawdę mówiąc, mogę nie przeżyć nawet roku.
- Pawle! - z niepokojem odezwał się Andrzej. Paweł wzruszył ramionami.
- Jesteśmy śmiertelni, Andrzeju. Nie to, co ty. Skoro już o tym mowa, to mam ci do powiedzenia coś ważnego. Jestem ostatni z rodu Martinów. Boczna gałąź pochodząca od mojej ciotecznej babki nie ma znaczenia. Majątek, którym osobiście rozporządzam, będzie zapisany tobie jako fundusz powierniczy, i, o ile można przewidzieć przyszłość, będziesz zabezpieczony finansowo.
- To zupełnie zbyteczne - wyjąkał z trudem Andrzej. Wciąż nie mógł pogodzić się z faktem, że Martinowie są śmiertelni.
- Nie mówmy już o tym - powiedział Paweł. - Tak będzie i koniec. Nad czym obecnie pracujesz?

- Opracowuje system, który pozwoli androidom, to znaczy mnie, na uzyskanie energii ze spalania węglowodorów, a nie z komórek atomowych.
Paweł podniósł brwi.
- Czy to oznacza jedzenie i oddychanie?
- Tak.
- Od jak dawna zmierzasz w tym kierunku?
- Od dawna, ale chyba zaprojekowałem już właściwą komorę spalania do katalitycznej kontrolowanej analizy.
- Ale po co, Andrzeju? Komórka atomowa jest niewątpliwie znacznie lepsza.
- W jakimś sensie owszem, ale nie dla człowieka.

15 Sprawa trwała długo, ale Andrzej miał czas. Przede wszystkim nie chciał nic przedsięwziąć, dopóki Paweł nie zamknie spokojnie oczu. Wraz ze śmiercią praprawnuka Pana, Andrzej czuł się bardziej bezbronny wobec nieżyczliwego świata i właśnie dlatego był jeszcze bardziej zdecydowany kroczyć dalej drogą, którą obrał dawno temu.
Ale w istocie nie był osamotniony. Ktoś wprawdzie umarł, mimo to jednak firma „Feingold i Martin” istniała nadal, ponieważ firma, podobnie jak robot, jest nieśmiertelna. Miała ona pewne założenia, zgodnie z którymi działała bez jakichkolwiek sentymentów. Dzięki zapisowi Pawła i dzięki dobremu funkcjonowaniu firmy, Andrzej był nadal bogaty. W zamian za pokaźną zaliczkę, potrąconą z funduszu powierniczego, adwokaci biura „Feingold i Martin” zajęli się stroną prawną nowej komory spalania. Kiedy nadeszła chwila, a Andrzej musiał znów zwrócić się do firmy „Universum”, udał się tam bez asysty. Raz był tam z Panem, raz z Pawłem. Teraz, trzeci raz, nikt z nim nie poszedł. Z wyglądu zresztą nie różnił się wcale od człowieka. W firmie zaszły zmiany. Zakłady produkcyjne przeniesiono na stacje kosmiczną, coraz częściej bowiem przemysł usuwano z Ziemi. Wraz z zakładami przemysłowymi wysłano wiele robotów. Ziemia stała się czymś w rodzaju parku z ludnością nie przekraczającą stałej liczby miliarda i z taką samą liczbą robotów, z których jednak co najwyżej jedna trzecia miała odrębne mózgi.
Przewodniczącym do spraw badań naukowych firmy był Ahin Magdescu, śniady, z ciemnymi włosami i spiczastą bródką. Od pasa w górę, wedle kanonów ostatniej mody, nosił jedynie szarfę na piersi. Andrzej natomiast miał na sobie strój okrywający całe ciało, według mody sprzed wielu lat. Magdescu powiedział:
- Oczywiście, że słyszałem o tobie i bardzo się cieszę, że mam sposobność cie poznać. Jesteś naszym najbardziej znanym robotem. Szkoda wielka, że Smythe-Robertson był tak wrogo do ciebie nastawiony. Z twoją pomocą mogliśmy wiele zdziałać.
- Nadal możecie - odrzekł Andrzej.
- Chyba już za późno. Odpowiednia chwila minęła. Roboty są na Ziemi od stu lat z górą, teraz jednak sytuacja się zmieni. Wyśle sie je wszystkie w kosmos, a te, które tu pozostaną nie będą zdolne do samodzielnego myślenia.
- Ale ja jeszcze ciągle istnieje i pozostanę na Ziemi.
- To prawda, ale niewiele masz w sobie z robota. Czego znów żądasz?
- Chce być robotem jeszcze w mniejszym stopniu. Mam już budowę tak dalece organiczną, że chciałbym dodać do tego organiczne źródło energii. Tu są plany...
Magdescu nie przerzucił planów pobieżnie. Może miał pierwotnie taki zamiar, ale naraz się zatrzymał i zaczął je studiować bardzo uważnie. W pewnej chwili odezwał sie:
- To niezwykle pomysłowe. Kto to wszystko obmyślił?
- Ja - odrzekł Andrzej.
Magdescu spojrzał bacznie na Andrzeja.
- To by oznaczało dokładny przegląd i rekonstrukcje twojego ciała, w dodatku byłby to eksperyment, bo nigdy dotąd nie czyniono podobnych prób. Odradzam. Pozostań taki, jaki jesteś.
Twarz Andrzeja miała ograniczone środki wyrazu, ale w głosie wyraźnie słychać było zniecierpliwienie.
- Proszę pana, nie zrozumiał pan istoty sprawy. Musi pan przystać na moje żądanie, innego wyjścia pan nie ma. Jeżeli takie urządzenia można wbudować we mnie, można je również wbudować w ciało ludzkie. Od pewnego czasu daje się zauważyć tendencje do przedłużania życia ludzkiego za pomocą protetyki. Nie ma urządzeń lepszych od tych, które ja zaprojektowałem i nadal projektuje. Tak się składa, że z ramienia firmy „ Feingold i Martin” mam wgląd w patenty. Możemy sami rozpocząć produkcje protez, co doprowadzi do tego, że wielu ludzi będzie miało części zastępcze takie same jak roboty. Wasze interesy na tym ucierpią. Jeżeli jednak zoperujecie mnie teraz i zgodzicie się na podobne operacje w przyszłości, otrzymacie zezwolenie na korzystanie z patentów i będziecie mieli wyłączność produkcji zarówno robotów, jak i protez przeznaczonych dla ludzi. Wstępnego zezwolenia oczywiście nie otrzymacie, dopóki nie zrobicie pierwszej operacji i dopóki nie minie dość długi okres czasu, żeby można było udowodnić, że się udała.
Pierwsze Prawo nie powstrzymywało teraz Andrzeja przed stawianiem tak surowych warunków człowiekowi. Potrafił już wyperswadować sobie, że pozorne okrucieństwo może z czasem okazać się dobroczynne. Magdescu był wyraźnie wstrząśnięty. Powiedział:
- Nie mogę tu sam podejmować decyzji. Taka decyzja wymaga zgody całej rady, a to musi potrwać.
- Mogę poczekać jakiś czas, ale tylko w granicach rozsądku odrzekł Andrzej.
Pomyślał z satysfakcją, że sam Paweł nie rozegrałby sprawy lepiej.
Decyzja rady zapadła niespodziewanie szybko i operacja się udała. Magdescu powiedział:
- Byłem przeciwny tej operacji, Andrzeju, ale nie z tych powodów, o które mógłbyś mnie podejrzewać. Nie miałbym nic przeciwko doświadczeniu, gdyby przeprowadzono je na kim innym. Przerażała mnie myśl o ryzyku, na jakie naraża się twój mózg pozytronowy. Teraz, kiedy ścieżki pozytronowe działają sprawnie wespół ze ścieżkami nerwów, niełatwo byłoby uratować mózg, gdyby coś się stało z ciałem.
- Miałem pełne zaufanie do kunsztu pracowników pańskiej firmy - odrzekł Andrzej. - I mogę już teraz jeść.
- No, możesz popijać oliwę. To oznacza, że od czasu do czasu trzeba będzie przeczyścić komorę spalinową, jak ci to już wyjaśniliśmy. Zabieg niezbyt chyba przyjemny.
- Owszem, gdybym nie zamierzał pójść dalej w moich udoskonaleniach. Samooczyszczanie jest możliwe. Pracuje właśnie nad urządzeniem, które rozwiąże problem pożywienia stałego z zawartością cząstek niepalnych - czyli, że się tak wyrażę, niestrawnych, które trzeba wydalić.
- Musiałbyś wbudować odbyt.
- Odpowiednik tego narządu.
- I co więcej, Andrzeju?
- Wszystko inne.
- Genitalia też?
- Jeżeli tylko będą się mieściły w moich planach. Moje ciało jest płótnem, na którym zamierzam nakreślić...
Magdescu czekał, że Andrzej skończy zdanie, ale kiedy okazało sie, że tego nie robi, dokończył sam:
- Człowieka?
- Zobaczymy - odpowiedział Andrzej.
- To dziwna ambicja, Andrzeju. Jesteś tworem doskonalszym od człowieka. Schodzisz coraz niżej od chwili, kiedy zacząłeś zmierzać w stronę organiczności.
- Mój mózg na tym nie ucierpiał.
- To prawda. O tym cie mogę zapewnić. Ale, Andrzeju, dokonałeś rewolucji w protetyce. Patenty są na twoje nazwisko i pod tym nazwiskiem idą na rynek. Jesteś powszechnie znany jako wynalazca i cieszysz się ogólnym poważaniem. Po co masz dalej robić eksperymenty ze swoim ciałem?
Andrzej nic na to nie odpowiedział.
Istotnie miał dużo zaszczytnych dowodów uznania. Zgodził sie zostać członkiem kilku towarzystw naukowych włącznie z towarzystwem poświeconym nowej, zapoczątkowanej przez niego gałęzi wiedzy. Andrzej nazywał te naukę robotobiologią, ale z czasem otrzymała miano protezologii.
W sto pięćdziesiątą rocznice skonstruowania Andrzeja firma „Universum” wydała na jego cześć uroczysty obiad. Jeżeli nawet Andrzej dostrzegał w tym niejaką ironie, z nikim się tym spostrzeżeniem nie podzielił.
Alvin Magdescu był już na emeryturze, ale przybył na te okazje, aby zająć fotel prezydialny. Miał już dziewięćdziesiąt cztery lata, żył jeszcze dzięki urządzeniom protetycznym, które miedzy innymi pełniły funkcje wątroby i nerek. Obiad osiągnął punkt kulminacyjny, kiedy Magdescu po krótkiej, pełnej wzruszenia przemowie, ujął kieliszek, żeby wznieść toast na cześć „stupięćdziesiecioletniego robota”.
Andrzej miał już mięśnie twarzy tak przetworzone, że mógł nią wyrażać całą skale uczuć, przez całą jednak uroczystość zachowywał bierną powagę- Nie był wcale zachwycony, że nazwano go stupięćdziesiecioletnim robotem.

16 Właśnie protezologia zmusiła Andrzeja do opuszczenia Ziemi. W następnych latach po obchodach jego stupięćdziesięciolecia Księżyc po każdym względem z wyjątkiem siły przyciągania stał się bardziej ziemski od Ziemi. Gęstość zaludnienia w podziemnych miastach księżycowych była już dość

duża.
Przy konstruowaniu protez na Księżycu trzeba było brać pod uwagę słabsze przyciąganie. Andrzej spędził na planecie pięć lat, opracowując z miejscowymi protezologami konieczne zmiany. W chwilach wolnych od zajęć przebywał wśród robotów, które traktowały go z uniżonością należną człowiekowi.
Wrócił na Ziemie, na której życie w porównaniu z Księżycem toczyło się monotonnie i spokojnie. Udał się do biura „Feingold i Martin", żeby zawiadomić o swoim powrocie.
Szef biura, Szymon De Long zdziwił się.
- Mówiono nam, że wracasz, Andrzeju - powiedział - ale spodziewaliśmy się ciebie dopiero za tydzień.
- Zabrakło mi cierpliwości - odrzekł szorstko Andrzej. Chciał jak najprędzej przystąpić do rzeczy. - Na Księżycu, Szymonie, kierowałem zespołem badawczym dwudziestu naukowców - ludzi. Wydawałem polecenia, których nikt nie kwestionował. Tamtejsze roboty traktowały mnie z takim samym szacunkiem, z jakim traktują ludzi. Dlaczego wobec tego nie jestem człowiekiem?
W oczach De Longa błysnęło zakłopotanie.
- Drogi Andrzeju, sam mówisz, że jesteś traktowany jak człowiek i przez roboty, i przez ludzi. De facto jesteś wiec człowiekiem.
- Być człowiekiem de facto to za mało. Nie chodzi mi o to, żeby traktowano mnie jak człowieka, chodzi mi o to, żebym był legalnie uznany za człowieka. Chce być człowiekiem de iure.
- A to jest całkiem inna sprawa - odparł De Long. - Natkniemy sie na mur ludzkich przesądów i natrafimy na niezaprzeczony fakt, że bez względu na to, jak bardzo podobny jesteś do człowieka, to jednak człowiekiem nie jesteś.
- A pod jakim względem nie jestem człowiekiem? - spytał Andrzej. - Mam ludzką postać, mam narządy odpowiadające organom ludzkim. Organy ludzi, które zastąpiono protezami, niczym sie nie różnią od moich. Wniosłem wkład do powszechnej kultury w dziedzinie sztuki, literatury i nauki, mam nie mniejsze zasługi niż ktokolwiek z obecnie żyjących ludzi. Czego wiec można wymagać?
- Mnie osobiście wystarczy to aż nadto. Ale sek w tym, że parlament światowy musiałby specjalnym aktem uznać cie za człowieka. Szczerze mówiąc, wątpię, żeby to było możliwe.
- Do kogo z parlamentu mam się zwrócić?
- Być może do przewodniczącego „Komisji do spraw nauki i techniki".
- Czy możesz się postarać o to, żeby mnie przyjął?
- Ależ tobie nie potrzeba pośredników. Z twoją pozycją możesz...
- Nie. Ty masz to załatwić.
Andrzejowi przez myśl nawet nie przyszło, że wydaje kategoryczny rozkaz człowiekowi. Przyzwyczaił się do tego w czasie pobytu na Księżycu.
- Chce, żeby wiedziano, że firma „Feingold i Martin" popiera mnie w całej rozciągłości.
- No, co do tego...
- W całej rozciągłości, Szymonie. Przez sto siedemdziesiąt trzy lata w ten czy inny sposób przysparzałem firmie funduszów. Niegdyś miałem zobowiązania wobec niektórych współwłaścicieli firmy. Teraz sprawy mają się wręcz przeciwnie. Przyszedłem upomnieć się o spłatę długu.
- Zrobię, co będę mógł - rzekł De Long.

17 Przewodniczącą „Komisji do spraw nauki i techniki" była kobieta. Pochodziła z Azji wschodniej i nazywała sie Chee Li-Hsing. Nosiła przezroczyste stroje, które zasłaniały ciało jedynie przez swój połysk. Wydawało się, że jest owinięta w plastik.
- Rozumiem, że pragniesz zdobyć pełne prawa człowieka - powiedziała. - Bywały w historii takie okresy, kiedy pewne grupy etniczne walczyły o pełne prawa. Ale czyż są jakieś prawa, których nie posiadasz, a chciałbyś zdobyć?
- Po prostu prawo do życia. Robot może być w każdej chwili rozebrany na części.
- Człowiek może być w każdej chwili skazany na śmierć.
- Egzekucja może nastąpić jedynie po procesie sądowym. Żeby mnie zdemontować, nie potrzeba procesu. Wystarczy jedno słowo człowieka piastującego jakiś urząd, żeby ze mną skończyć. Poza tym... - Andrzej starał się za wszelką cenę uniknąć błagalnego tonu, ale tym razem zawiodły go starannie wystudiowane ludzkie środki wyrazu i ludzki ton. - Rzecz w tym, że chce być człowiekiem. Pragnę tego od sześciu pokoleń ludzi.
Ciemne oczy Li-Hsing patrzyły na niego ze współczuciem.
Parlament może dekretem uznać cie za człowieka, teoretycznie może dekretem uznać za człowieka marmurowy pomnik. Ale prawdopodobieństwo takiego dekretu jest w obu wypadkach równie nikłe. Posłowie do parlamentu są takimi samymi ludźmi, jak wszyscy inni i zawsze tkwi w nich ziarenko nieufności do robotów.
- Czyżby wciąż jeszcze?
- Tak, wciąż jeszcze. Wszyscy przyznalibyśmy chętnie, że zasłużyłeś na nagrodę, jaką jest zaliczanie do rodzaju ludzkiego, ale na przeszkodzie stoi obawa przed stworzeniem precedensu.
- Jakiego precedensu? Jestem jedynym wolnym robotem, jedynym robotem tego typu, drugiego takiego nigdy nie będzie. Można to sprawdzić w firmie „Universum".
- „Nigdy" to okres bardzo długi, Andrzeju, albo jeżeli pan woli, panie Martin, z przyjemnością bowiem osobiście i prywatnie pasuje pana na człowieka. Ale przekona się pan, że większość posłów nie zechce stworzyć precedensu bez względu na to, jak niewielkie będzie miał znaczenie. Panie Martin, współczuje z całego serca, ale nie robie panu nadziei. Co gorsza...
Li-Hsing wyprostowała się i zmarszczyła brwi.
- Co gorsza, gdyby debaty stały się zbyt gorące, zarówno wśród posłów, jak i wśród osób spoza parlamentu mogłaby zrodzić sie tendencja do wykonania tego demontażu, o którym pan wspomniał. Unicestwienie pana może się okazać najprostszym rozwiązaniem całego problemu. Proszę to wziąć pod uwagę, zanim postanowi pan forsować sprawę.
- Czy nikt nie będzie pamiętał o protetyce, którą przecież stworzyłem niemal sam jeden?
- Może to okrutne, ale nie będą o tym pamiętać. A gdyby nawet, to użyją tego przeciwko panu. Powiedzą, że zrobił to pan tylko mając na względzie samego siebie. Stwierdzą, że była to swego rodzaju kampania o zrobotyzowanie ludzi albo uczłowieczenie robotów, a w każdym razie rzecz zła i szkodliwa. Nigdy nie brał pan udziału w zaciekłej kampanii politycznej. Mogę pana zapewnić, że stanie się pan przedmiotem oszczerstw i kalumnii, jakich ani pan ani ja nie potrafimy sobie nawet wyobrazić. Ale znajdą sie ludzie, którzy dadzą wszystkiemu wiarę. Panie Martin, niech pan daruje sobie życie.
Li-Hsing wstała z krzesła. W porównaniu z siedzącym Andrzejem wydawała się drobna jak małe dziecko.
- Jeżeli postanowię walczyć o swoje człowieczeństwo, czy stanie pani po mojej stronie? - zapytał Andrzej.
Zamyśliła się i po chwili odrzekła.
- Tak, ale tylko do pewnej granicy. Gdyby moje stanowisko w tej sprawie miało zaważyć na mojej karierze politycznej, musiałabym pana opuścić, ponieważ wśród spraw, którym się z przekonania poświęcam, ta nie jest najważniejsza. Staram się być z panem zupełnie szczera.
- Dziękuje pani, nie proszę o nic więcej. Zamierzam walczyć bez względu na konsekwencje i proszę panią tylko o taką pomoc, jakiej będzie pani mogła mi udzielić.

18 Nie była to otwarta walka. Biuro „Feingold i Martin" doradzało cierpliwość, Andrzej pomrukiwał zawzięcie, że czego jak czego, ale cierpliwości mu nie brak. „Feingold i Martin" rozpoczęli wówczas kampanie zmierzającą ku zwężaniu i zacieśnianiu granic pola walki. Wytoczyli proces, domagając się uwolnienia dłużników od obowiązku płacenia długów osobnikowi ze sztucznym sercem, na tej podstawie, że posiadanie tak ważnego narządu identycznego z narządem robota pociąga za sobą utratę przez wierzyciela człowieczeństwa, a wraz z tym ludzkich praw konstytucyjnych. Walczyli wytrwale i zręcznie, przegrywając krok po kroku, ale zawsze w taki sposób, że wyrok można było rozmaicie interpretować, następnie zaś odwoływali się do Sądu Światowego. Trwało to wiele lat i kosztowało miliony dolarów. Kiedy zapadł ostateczny wyrok, De Long z okazji tej porażki wydał przyjęcie. Oczywiście Andrzej był również obecny.
- Uzyskaliśmy dwie rzeczy - powiedział De Long - i obie są korzystne. Przede wszystkim stwierdzono fakt, że bez względu na ilość protez ciało ludzkie nie przestaje być ciałem ludzkim. Po drugie, zainteresowaliśmy problemem opinie publiczną w taki sposób, że stanęła ona bez wahania po stronie bardzo szerokiej interpretacji pojęcia „człowiek", nie ma bowiem na świecie człowieka, który by nie liczył na to, że protezy z czasem utrzymają go przy życiu.
- Czy myślisz, że parlament uzna mnie za człowieka? - zapytał Andrzej.
De Long był trochę zakłopotany.
- W tej sprawie nie mogę być optymistą. Jest jeszcze jeden narząd, który sąd światowy uznał za kryterium człowieczeństwa. Człowiek posiada mózg organiczny, złożony z komórek, robot natomiast ma mózg pozytronowy irydowo-platynowy, jeżeli go

w ogóle ma. Ty z pewnością masz mózg pozytronowy... Ale, Andrzeju, nie patrz na mnie tak. Brak nam wiedzy, która pozwoliłaby odtworzyć prace mózgu organicznego w konstrukcjach sztucznych w sposób tak zbliżony do jego pracy, żeby mieściło sie to w. ramach orzeczenia sądu. Nawet ty nie potrafisz tego zrobić.
- Co w takim razie powinno się zrobić?
- Trzeba oczywiście próbować.

19 Li-Hsing powiedziała:
- Zrobiliśmy, co było w naszej mocy, Andrzeju. Spróbujemy jeszcze raz po wakacjach, ale szczerze mówiąc, porażka jest pewna i trzeba będzie zrezygnować z całej sprawy. Ostatnio moje usiłowania zapewniły mi tylko murowaną kieskę w nadchodzącej kampanii wyborczej do parlamentu.
- Wiem - powiedział Andrzej - i jestem wprost zrozpaczony. Kiedyś powiedziałaś, że opuścisz mnie, jeżeli do tego dojdzie. Dlaczego tego nie zrobiłaś?
- Każdy może zmienić zdanie. Sama nie wiem jak, ale porzucenie ciebie stało się zbyt wysoką ceną za pozostanie na jeszcze jedną kadencje w parlamencie. I tak byłam posłanką ponad ćwierć wieku. To wystarczy.
- Czy nie ma sposobu, żeby wpłynąć na opinie publiczną?
- Postaraliśmy się wpłynąć na wszystkich, którzy są zdolni do racjonalnego myślenia. Reszta - to znaczy większość - nie potrafi wyzbyć się irracjonalnych przesądów.
- Irracjonalne przesądy nie są dostatecznym powodem, żeby głosować w taki lub inny sposób.
- Wiem, Andrzeju, ale ludzie nie zdają sobie sprawy, że to przesąd decyduje o ich stanowisku.
- Wszystko się wiec sprowadza do mózgu, ale czy problem musi pozostać na płaszczyźnie rywalizacji komórek i pozytronów? Może jest sposób na przeforsowanie definicji funkcjonalnej? Czy koniecznie trzeba mówić, z czego zbudowany jest mózg? Wystarczy chyba powiedzieć, że mózg jest czymś... czymkolwiek... zdolnym do pewnego poziomu myślenia?
- Nic z tego nie będzie, Andrzeju - odparła Li-Hsing. - Twój mózg jest dziełem człowieka, konstrukcją, podczas gdy mózg ludzki rozwinął się sam. Dla każdego człowieka, który życzy sobie zachować barierę miedzy sobą a robotem, te różnice są stalowym murem nie do przebycia.
- Gdyby się udało dotrzeć do źródła tej niechęci... do samego źródła...
- Po tylu latach - powiedziała ze smutkiem Li-Hsing - wciąż jeszcze starasz się dopatrzyć logiki w postępowaniu człowieka. Biedny Andrzeju, nie gniewaj się, ale to właśnie masz w sobie z robota, że myślisz logiczniej od ludzi.
- Czy ja wiem - odrzekł Andrzej. - Gdybym się zdobył...
Gdyby się zdobył...
Od dawna wiedział, że może będzie musiał, w końcu wiec siedział teraz u chirurga. Znalazł dobrego chirurga-robota, który mógł wykonać operacje, człowiekowi bowiem nie można było powierzyć takiego zadania, nie można mu było ufać ani pod kątem umiejętności, ani intencji.
Chirurgowi nie wolno było wykonać takiej operacji na człowieku, Andrzej wiec po długim namyśle, odzwierciedlającym jego rozterkę wewnętrzną, przekreślił Prawo Pierwsze, mówiąc:
- Ja też jestem robotem.
Potem dodał tonem stanowczym, którego nauczył się w ostatnich latach używać nawet wobec ludzi.
- Rozkazuje ci zrobić mi operacje.
Ponieważ Prawo Pierwsze nie odgrywało już roli, stanowczy rozkaz wydany przez kogoś, kto tak bardzo przypominał człowieka, uaktywnił Prawo Drugie.

20 Andrzej był pewien, że uczucie słabości powstało tylko wyobraźni. Odzyskał przecież zdrowie po operacji. Mimo to oparł się niepostrzeżenie o ścianę. Nie usiadł, bo tym by się zdradził. Li-Hsing powiedziała:
- Ostateczne głosowanie odbędzie się w tym tygodniu, Andrzeju. Nie mogłam już dłużej go odwlekać i musimy przegrać... I to już będzie koniec.
- Jestem ci wdzięczny za te zwłokę. Dało mi to czas na pewną rzecz ryzykowną, ale konieczną.
- A cóż to takiego? - zapytała Li-Hsing nie kryjąc niepokoju.
- Nie mogłem tego. wcześniej powiedzieć ani tobie, ani nikomu z biura „Feingold i Martin". Byłem pewien, że powstrzymalibyście mnie. Zrozum, jeżeli sprawą zasadniczą jest mózg, to chyba chodzi przede wszystkim o nieśmiertelność. Kogo w gruncie rzeczy obchodzi, jak mózg wygląda, z czego jest zbudowany, jak ukształtowany. Ważne jest to, że komórki mózgowe umierają, muszą umierać. Nawet jeżeli każdy inny organ jest zachowany czy zastąpiony, komórki mózgowe, których nie sposób zastąpić nie niwecząc osobowości człowieka, muszą w końcu umrzeć. Moje ścieżki pozytronowe przetrwały blisko dwieście lat bez żadnych dostrzegalnych zmian i mogą działać jeszcze przez całe wieki. Czy właśnie to nie jest zasadniczą sprawą? Ludzie mogą tolerować nieśmiertelnego robota, nie ma bowiem znaczenia, jak długo działa maszyna. Nie mogą jednak tolerować nieśmiertelnego człowieka, gdyż potrafią się pogodzić z nieuchronnością własnej śmierci pod tym jedynie warunkiem, że dotyczy ona wszystkich bez wyjątku, jest powszechna. I właśnie dlatego nie chcą mnie uznać za człowieka.
- Do czego zmierzasz, Andrzeju? - zapytała Li-Hsing.
- Zlikwidowałem te przeszkodę. Kilkadziesiąt lat temu mój mózg został połączony z organicznymi nerwami. Teraz, przy ostatniej operacji, zmieniono mi połączenie w taki sposób, że moje ścieżki pozytronowe stopniowo - dość powoli - tracą potencjał. Pokryta cieniutkimi zmarszczkami twarz Li-Hsing nic przez chwile nie wyrażała. Potem usta się zacisnęły.
- To znaczy, że w wyniku tej operacji masz umrzeć? To niemożliwe. To pogwałcenie Prawa Trzeciego.
- Nie - odrzekł Andrzej. - Miałem do wyboru śmierć ciała albo śmierć wszystkich moich aspiracji i dążeń. Gdybym pozwolił, aby ciało żyło za cenę tej gorszej śmierci, to dopiero byłoby pogwałceniem Prawa Trzeciego.
Li-Hsing chwyciła Andrzeja mocno za rękę, jak gdyby chciała nim potrząsnąć, żeby oprzytomniał. Opanowała się jednak.
- Andrzeju, to nic nie da. Wróć do dawnego stanu.
- Za późno. Uszkodzenie jest zbyt duże. Pozostał mi mniej więcej rok życia. Dożyje jeszcze dwusetnej rocznicy mojego skonstruowania. Może powinienem się wstydzić tej słabości, ale tak to zaplanowałem.
- Czy warto było na to się ważyć? Andrzeju, jesteś szalony.
- Jeżeli dzięki temu zostanę uznany za człowieka, warto było. Jeżeli nie, skończą się moje daremne usiłowania, wiec również było warto.
Li-Hsing zrobiła coś, co samą ją zdziwiło. Rozpłakała się cicho.

21 Rzeczą zdumiewającą było, jak ten ostatni czyn Andrzeja wpłynął na wyobraźnie ludzi. Wszystko, co robił przedtem nie wywarło na nikim wrażenia. Ale Andrzej w końcu przyjął nawet śmierć, aby stać się człowiekiem, a poświecenia tej miary niepodobna było zignorować. Ostateczną uroczystość wyznaczono celowo na dwusetną rocznice. Prezydent Świata miał podpisać akt i wydać stosowny dekret. Całą uroczystość miała transmitować telewizja światowa z uwzględnieniem nawet stanu księżycowego i kolonii marsjańskiej.
Andrzej siedział w fotelu na kółkach. Mógł jeszcze chodzić, ale bardzo niepewnie. Prezydent Świata przemówił:
- Andrzeju, przed pięćdziesięciu laty uznano, że jesteś stupięćdziesięcioletnim robotem.
Po pauzie, tonem poważniejszym dodał:
- Panie Martin, dzisiaj uznajemy pana za dwuchsetletniego człowieka.
I Andrzej, rozpromieniony, wyciągnął rękę, żeby uścisnąć dłoń prezydenta.

22 Andrzej leżał w łóżku. Myśli plątały mu się coraz bardziej. Chwytał się ich rozpaczliwie. Jest człowiekiem! Jest człowiekiem! Pragnął, żeby to była jego ostatnia myśl. Chciał zniknąć - umrzeć - z tą właśnie myślą. Jeszcze raz otworzył oczy i po raz ostatni ujrzał poważną, zasmuconą twarz Li-Hsing. Obok stali też inni, ale to już były tylko cienie, nierozpoznawalne cienie. Jedynie Li-Hsing odcinała się na tle coraz głębszej szarości. Wolno, cal po calu wyciągnął do niej rękę i ledwo-ledwo poczuł, że ona te rękę ujmuje. Jej postać rozpływała się i nikła mu w oczach, podobnie jak ostatnie myśli rozpływały się powoli.
Ale nie znikła jeszcze zupełnie, gdy ostatnia przelotna myśl zrodziła się i na chwile zatrzymała w mózgu Andrzeja, zanim wszystko ustało.
- Mała Panienko - wyszeptał cicho, zbyt cicho, żeby ktoś mógł go usłyszeć.

Przełożyła **Ewa Budrewicz**

O autorze: patrz „Fantastyka" nr 1/82.

Siergiej Sniegow

W JĄDRZE GALAKTYKI

(Kolco obratnogo w Temieni)

przełożył Tadeusz Gosk

Sergiusz Aleksandrowicz ŚNIEGÓW, pisarz starszego pokolenia (dobiega siedemdziesiątki) jest z wykształcenia i zawodu fizykiem-atomistą, obecnie na emeryturze. Mieszka w Kaliningradzie. Publikował liczne teksty popularnonaukowe, napisał tom opowiadań SF „Posoł bież wieritielnych gramot” (Bibliotieka prikluczenij i naucznoj fantastiki, Moskwa, „Dietskaja litieratura”, 1977). Jego największym osiągnięciem autorskim jest niewątpliwie trylogia „Ludzie jak bogowie”. Dwie pierwsze części tej trylogii wydały „Iskry” (seria „Fantastyka-Przygoda”) w roku 1972 pod wspólnym tytułem „Dalekie szlaki” (Ludi kak bogi) i wznowiły w tej samej serii w roku 1977.
„W jądrze Galaktyki” jest trzecią dotąd nie tłumaczoną częścią tego cyklu powieściowego.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Dysharmonia gwiezdna

1.

Tego dnia, doskonale to pamiętam, lunął niezapowiedziany deszcz. Widocznie instalacje Zarządu Osi Ziemskiej uległy jakiejś drobnej awarii, bo święto Wielkiej Burzy Letniej miało się odbyć dopiero za tydzień. A tymczasem strugi ulewy łomotały o szyby, zaś na bulwarze woda sięgała zaskoczonym przechodniom po kostki. Popędziłem na werandę osiemdziesiątego pietra i z rozkoszą wystawiłem twarz na niezaprogramowany deszcz, łowiąc ustami grube krople. Oczywiście natychmiast przemokłem do suchej nitki i kiedy Mary mnie zawołała, nie odezwałem się. Wiedziałem, że się na mnie gniewa. Nigdy zresztą wybiegając na deszcz nie zakładałem płaszcza, co nieodmiennie wywoływało jej niezadowolenie. Mary nie rezygnowała:

- Eli! Eli! Zejdź na dół! Romero chce z tobą mówić.

Skwapliwie wróciłem do mieszkania. Pośrodku pokoju stał Paweł. Oczywiście nie on sam z krwi i ciała, lecz tylko jego przestrzenny wizerunek, ale technika łączności osiągnęła już taką doskonałość, że stereofantom, przynajmniej dla mnie, niczym na oko nie różni się od żywego człowieka.

- Drogi admirale! Mam złe wiadomości!

Już od co najmniej dwudziestu lat nie jestem admirałem, ale Romero nadal się tak do mnie zwraca.

- Wreszcie rozszyfrowaliśmy okoliczności, w jakich uległy zagładzie wyprawy naszych przyjaciół Allana i Leonida. Musze pana z najwyższym ubolewaniem poinformować, iż pierwotna hipoteza o przypadkowej awarii została definitywnie obalona. Nie potwierdziło się również przypuszczenie, że Leonid i Allan popełnili jakieś błędy lub przedsięwzięli nieprzemyślane działania. Wszystkie ich rozkazy zostały dokładnie przeanalizowane i pośmiertnie zaaprobowane przez Wielką Maszynę Akademicką, która stwierdziła, iż działania naszych biednych przyjaciół były najlepsze z możliwych w tych straszliwych warunkach, w jakich się znaleźli.

- Chce pan powiedzieć... - zacząłem, ale Paweł nie pozwolił mi dokończyć. Był tak zdenerwowany, że zapomniał o swoich znakomitych manierach.

- Tak, właśnie to, admirale! Chociaż Allan i Leonid niczego się nie domyślali, toczono przeciw nim działania bojowe! Meldowali o naturalnych kieskach żywiołowych, my zaś w trakcie analizy wykryliśmy celowe wrogie działania. Opisywali niecodzienne zjawiska przyrodnicze, które w gruncie rzeczy były okrutnymi ciosami podstępnego przeciwnika, konsekwentnie wznoszącego przeszkody na ich drodze. Nie było groźnych żywiołów, drogi admirale, tylko bezpardonowa wojna! Nasza pierwsza wyprawa do jądra Galaktyki zginęła na gwiezdnym polu bitwy, a nie w wyniku igraszki żywiołów - taka jest smutna prawda o losach eskadr Allana i Leonida.

Romero zawsze wyrażał się kwieciście. Od kiedy został wybrany do Wielkiej Rady i mianowany głównym historiografem Związku Międzygwiezdnego ta jego zabawna cecha przybrała jeszcze na sile. Być może ludzie w starożytności rozmawiali tylko w ten sposób, ale mnie osobiście jego nazbyt wyszukany styl

czasami mocno irytuje, zwłaszcza kiedy posługuje się nim do omawiania jakichś zwykłych, powszednich spraw. Teraz jednak ów styl był zupełnie na miejscu. O zagładzie pierwszej wyprawy do jądra Galaktyki nie można było mówić inaczej. Zapytałem:

- Kiedy odbędzie się pogrzeb poległych?

- Za tydzień. Admirale, jest pan pierwszą osobą, którą poinformowano o okolicznościach zagłady wyprawy galaktycznej. Naturalnie domyśla się pan, dlaczego Rada zwróciła się najpierw do pana!

- Przeciwnie, nie mam najmniejszego pojęcia, dlaczego tak się stało!

- Wielka Rada pragnie zasięgnąć pańskiej opinii. - Romero powiedział to z takim naciskiem, jakby powierzał mi tajemnice równie ważną jak prawda o zagładzie wyprawy. - Prosimy, aby zechciał pan zastanowić się nad tym, co panu powiedziałem.

- Zastanowię się - powiedziałem i wizerunek Romera rozpłynął się w powietrzu. Narzuciłem płaszcz i wróciłem do wiszącego ogrodu na osiemdziesiątym piętrze.

Wkrótce zjawiła się tam również Mary. Objąłem ją ramieniem i przytuliłem. Jasny ranek zamienił sie w mroczny wieczór, nie było widać ani chmur, ani drzew na bulwarze, ani nawet krzewów na werandzie sześćdziesiątego pietra. Na świecie był tylko deszcz, połyskliwy, rozgłośny, śpiewny i rozbuchany, że zatęskniłem za skrzydłami, abym mógł sam na sam zmierzyć się w powietrzu ze strumieniami tej triumfującej wody. Lot awionetką jednak nie daje tej pełni wrażeń.

- Wiem, o czym myślisz - powiedziała Mary.

- Tak - odparłem. - Dokładnie trzydzieści lat temu również w czasie święta Burzy Letniej leciałem wśród strumieni wody, ty zaś zarzuciłaś mi, że zachowuje się zbyt lekkomyślnie w powietrzu. Zestarzeliśmy się, Mary. Teraz już bym nie zdołał utrzymać się w jądrze wyładowań elektrycznych.

Czasami wręcz przeraża mnie fakt, iż Mary o wiele lepiej ode mnie samego potrafi zanalizować moje własne odczucia i nastroje. Uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Myślałeś o czymś zupełnie innym - powiedziała. - Żałujesz, że nie było cie w tym zakątku Wszechświata, w którym zginęli nasi przyjaciele. Wydaje ci się, że gdybyś tam był, wyprawa wróciłaby bez takich strat.

... Dyktuje ten tekst w kokonie bytu pozaczasowego. Co to znaczy wytłumaczę później. Przede mną w przezroczystym pojemniku zawieszonym w polu siłowym spoczywają nieruchomo zwłoki, obrzydliwe i niezniszczalne, zwłoki zdrajcy, który zepchnął nas w otchłań bez wyjścia. Na trójwymiarowych ekranach widnieją pejzaże niewyobrażalnego, nieprawdopodobnego świata, piekło katastrofalnego gwiezdnego wiru. Wiem ponad wszelką wątpliwość, że ten potworny świat jest mi obcy, nieludzki, wrogi nie tylko wszystkiemu co żywe lecz również wszystkiemu co rozumne. I już nie wierze, że mój udział w wyprawie może zapobiec stratom. Odpowiadam za naszą wyprawę i świadomie prowadzę ją drogą, na której końcu najprawdopodobniej czyha zguba. Taka jest prawda. Jeśli te notatki jakimś cudem dotrą na Ziemie, niechaj ludzie dowiedzą sie: wyraźnie widzę groźną prawdę i całkowicie uświadamiam sobie własną winę. Nic nie może mnie usprawiedliwić! To nie jest krzyk rozpaczy, tylko zimna konkluzja.

A owego dnia na pięknej zielonej Ziemi, na Ziemi teraz niewyobrażalnie dalekiej, wśród radosnego plusku ulewy odpowiedziałem żonie ze smutkiem:

- Pragnę bardzo wielu rzeczy, Mary! Pragnienia zwiększają inercje, bezwładność istnienia - najpierw ciągną do przodu, a potem hamują uwiąd. W młodości i starości człowiek pragnie więcej niż może osiągnąć. Niestety, jestem za stary na moje marzenia... Teraz pozostaje nam tylko jedno, moja droga, po prostu spokojnie i w pokorze usychać. Tylko to: spokojnie usychać!

2.

Na kosmodromie, gdzie lądował gwiazdolot z Perseusza, nie byłem, na uroczystości żałobne w sali Wielkiej Rady nie poszedłem, stereoekrany w moim pokoju wyłączyłem. Mary zrelacjonowała mi potem ze łzami w oczach przebieg obu uroczystości. Wysłuchałem jej w milczeniu i poszedłem do siebie.

Gdybym tak zachował się w pierwszych latach naszej znajomości, żona zarzuciłaby mi brak serca, ale teraz doskonale mnie rozumiała. Na Ziemi od dawna już nie ma żadnych chorób, nawet słowo „lekarz” zniknęło ze słownika, ale stanu, w jaki popadłem po zapoznaniu się z przebiegiem wyprawy Allana i Leonida, nie można było nazwać inaczej, jak tylko chorobą. „To niełatwo jest przeżyć” - powiedział Romero, wręczając mi kasetę z zapisem wszystkich wydarzeń poczynając od startu wyprawy z Trzeciej Planety w Układzie Perseusza i kończąc na powrocie do bazy statków z martwymi załogami. Miał racje, tego nie dało się łatwo przeżyć, to trzeba było wręcz ciężko odchorować.

Prawdopodobnie nie poszedłbym także na uroczysty pogrzeb ofiar, gdybym nie dowiedział się, że na Ziemie przyleciała Olga. Z pewnością nie wybaczyłaby mi, gdybym nie oddał ostatniej posługi jej mężowi. Należało też zobaczyć się ze starymi przyjaciółmi - Orlanem i Gigiem, Osimą i Gracjuszem, Kamaginem i Trubem, którzy przybyli wraz z Olgą na jej „Orionie”, aby uczestniczyć w uroczystym złożeniu prochów w Panteonie. Mimo wszystko jednak długo nie mogłem się zdecydować na wyjście z domu. Bałem się, że nie zniosę ceremonii żałobnych. Romero uprzedził mnie, że powinienem wygłosić mowę, a cóż ja mogłem powiedzieć poza tym, że polegli byli mężnymi pionierami Kosmosu i że bardzo ich kochałem?

W Sali Ceremonii Żałobnych Panteonu zebrali się krewni i przyjaciele poległych. Olga rozpłakała się i oparła głowę na mym ramieniu, a ja ze współczuciem gładziłem jej siwe włosy. Olga najdłużej z nas wszystkich opierała się niszczącemu wpływowi czasu, ale nieszczęście kompletnie ją załamało. Z trudem, żeby tylko coś powiedzieć, wymamrotałem:

- Olu, mogłabyś wybrać jakiś inny kolor włosów, to przecież takie proste.

Nadal wszystko brała dosłownie. Teraz też potraktowała moje słowa poważnie i uśmiechnęła się z takim smutkiem, że omal się nie rozpłakałem.

- Leonidowi podobałam się taka, jaka jestem, a poza nim nie ma się dla kogo upiększać.

Wraz z Olgą przyszła na pogrzeb Irena, jej córka. Nie widziałem Ireny co najmniej piętnaście lat i zapamiętałem ją z tamtych czasów jako rozkapryszoną, niezładną dziewczynkę, podobną jak dwie krople wody do Leonida i z jego charakterem. Dawniej często się dziwiłem, że Irena tak mało wzięła od matki jej rozsądku, spokoju, jej umiejętności przenikania do sedna każdej tajemnicy i niezłomnej woli ukrytej pod pozorami miękkości, dobrego wychowania i nieudawanej życzliwości dla wszystkich. A w Panteonie ujrzałem kobietę - smukłą i smagłą, porywczą, mówiącą szybko i zdecydowanie, o energicznych ruchach i takich ogromnych czarnych oczach, że trudno było od nich oderwać wzrok. Irena wydała mi się jeszcze bardziej podobna do Leonida niż dawniej, przy czym nie było to podobieństwo czysto zewnętrzne. Dzisiaj, kiedy trudno już cokolwiek naprawie, widzę jak bardzo myliłem się co do charakteru Ireny. W długim łańcuchu przyczyn, które doprowadziły do dzisiejszego nieszczęścia, również i ta moja pomyłka odegrała swoją rolę.

Objąłem dziewczynę przyjaźnie i powiedziałem:

- Bardzo kochałem twojego ojca, moja droga.

Odsunęła się ode mnie gwałtownym gestem i odpowiedziała z wrogością, która mnie zdumiała:

- Ja też kochałam swojego ojca, ale już nie jestem dzieckiem, Eli.

Powinienem był zastanowić się nad sensem jej słów, a zwłaszcza tonu i wówczas wiele spraw potoczyłoby się inaczej. Ale akurat wtedy podeszli do nas Lusin i Trub, więc nie miałem już czasu na analizowanie jej zachowania się. Lusin ze łzami w oczach uścisnął mi rękę, a stary anioł mocno objął mnie czarnymi skrzydłami. Leki na nieśmiertelność, tak energicznie propagowane przez Galaktów, równie mało pomagają moim przyjaciołom, jak i mnie. Lusin wyglądał znakomicie, bo w jego szczupłym ciele więcej było ścięgien i kości niż mięsa, a tacy ludzie długo się nie starzeją. A Trub bardzo się posunął. Nigdy jednak nie przypuszczałem, że można tak pięknie się zestarzeć, tak, proszę mi wybaczyć ten zbyt może kwiecisty zwrot, cudownie zwiędnąć. Ze wzruszeniem mówię o tym cudownym więdnięciu i z bólem w sercu przypominam sobie poległego Truba takim, jakim ujrzałem go na żałobnej ceremonii ogromnego, czarnoskrzydłego, z bujną, całkowicie posiwiałą czupryną i gęstymi, też zupełnie siwymi bokobrodami...

- Nieszczęście! - powiedział głucho Lusin.

- Cóż to za szczęście, Eli!

- Dokoła byli wrogowie! - ryknął Trub. - Allan i Leonid analizowali naukowo zagadkowe zjawiska przyrodnicze, kiedy trzeba było walczyć! Ty byś walczył, Eli, jestem tego pewien! Szkoda, że mnie tam nie było! Ja też bym potrafił skorzystać z doświadczeń wyniesionych z bitew na Trzeciej Planecie!

Zbliżył się do nas Gracjusz z Orlanem. Kiedy pojawiają się obaj na planetach zamieszkałych przez ludzi, wówczas chodzą tylko razem. Jest w tym jakaś wzruszająca w swej naiwności demonstracja. Galakt i Niszczyciel zdają się przekonywać każdego, że okrutna nienawiść od wielu milionów lat dzieląca ich

narody teraz zamieniła się w przyjaźń. Po dawnemu nazwałem Orlana Niszczycielem, chociaż teraz nadano im miano „Demiurgów”, z którego są niezmiernie dumni, bowiem oznacza ono coś w rodzaju mechanika lub budowniczego, w każdym razie twórcy, nie zaś niszczyciela. Nowa nazwa dość dokładnie oddaje role byłych Niszczycieli w naszym Związku Gwiezdnym, ale nie sądzę, aby ostentacyjnie demonstrowana przyjaźń łatwo przychodziła Orlanowi i Gracjuszowi, zwłaszcza temu ostatniemu. Astropsycholodzy utrzymują, że podobnie jak ludziom nie da się zaszczepić zamiłowania do brzydkich zapachów i brzydkich postępków, tak samo Galaktów nie można skłonić do tolerowania sztucznych narządów i tkanek, a Demiurdzy zmienili tylko nazwę, nie zaś strukturę ciała, w którym pełno jest sztucznych tkanek i narządów.

- Witaj Eli, mój stary przyjacielu i preceptorze! - rzekł uroczystym tonem Galakt, ludzkim zwyczajem wyciągając do mnie rękę. Moje drobne palce zniknęły w jego gigantycznej dłoni jak w ogromnej muszli.

Wymamrotałem jakąś stosowną odpowiedź. Nie przyszło mi to łatwo, bo kwiecistością swojej mowy Galaktowie nawet Romera potrafią zapędzić w kozi róg. Orlan ograniczył się do tego, że powitalnie rozpromienił swą niebieskawą twarz, uniósł wysoko głowę i z głośnym trzaskiem wbił ją w ramiona. Weszliśmy razem na sale.

Po zakończeniu ceremonii, której nie będę tu opisywał, by nie przywoływać raz jeszcze bolesnych dla mnie wspomnień, zamierzałem jak najszybciej udać się do domu, ale zatrzymał mnie Romera, który podszedł do mnie w towarzystwie Olega. Romera powiedział:

- Drogi admirale, mam obowiązek poinformować pana, iż Wielka Rada postanowiła zorganizować drugą wyprawę do jądra Galaktyki i na stanowisko dowódcy eskadry gwiazdolotów powołała kapitana Olega Szerstiuka, naszego wspólnego przyjaciela.

Oleg, nie dopuszczając mnie do głosu, pospiesznie dodał:

- Zgodziłem się objąć dowództwo jedynie pod warunkiem, że pan, Eli, również weźmie udział w wyprawie!

Powinienem równie kategorycznie odmówić, jak już to wielokrotnie czyniłem w odpowiedzi na czynione mi propozycje dowodzenia wyprawami gwiezdnymi lub brania w nich czynnego udziału. Po wyzwoleniu Perseusza, po tragicznej śmierci Astra na Trzeciej Planecie, Mary i ja straciliśmy zapał do dalekich podróży. Wróciliśmy na zieloną pramatkę Ziemie, aby nigdy już jej nie opuszczać. Tak postanowiliśmy dwadzieścia lat temu i do tej pory nigdy nie sprzeniewierzyliśmy się temu postanowieniu.

Teraz jednak nieoczekiwanie dla siebie samego odparłem:

- Zgadzam się. Przyjdźcie do mnie wieczorem. Naradzimy się.

3.

Mary chciała wracać do domu pieszo. Dzień był pochmurny, po niebie pędziły ciemne obłoki. Na Bulwarze Okrężnym wiatr unosił opadłe liście. Z rozkoszą wdychałem zimne, jesienne już powietrze, powoli przychodząc do siebie po przeżytym wstrząsie. Mary powiedziała cicho:

- Jakaż piękna jest nasza stara Ziemia! Czy ujrzymy ją jeszcze kiedykolwiek, czy też na zawsze zagubimy się w gwiezdnych przestworzach?

- Możesz zostać w domu - zaproponowałem ostrożnie.

- Naturalnie! - odrzekła z lekką ironią. - Ale czy ty zdołasz beze mnie polecieć?

- Nie, Mary, nie potrafię - wyznałem uczciwie. - Być bez ciebie, to niemal być bez siebie samego. Taki już mój los, że w pojedynkę jestem tylko połową całości. A to nie jest najprzyjemniejsze uczucie...

- Mógłbyś przynajmniej dzisiaj obyć się bez wątpliwych dowcipów - skarciła mnie żona.

Przez dłuższą chwile szliśmy w milczeniu, a ja zerkałem na nią z niepokojem. Od tylu juz lat jesteśmy razem i mimo wszystko nadal lękam się zmiennych nastrojów Mary. Aby przerwać wreszcie milczenie, zapytałem ją, co sądzi o przyczynach katastrofy wyprawy Alla-

- W każdym razie zdecydowanie nie zgadzam się z teorią, którą lansuje Paweł - odparła lekceważąco. - Mężczyźni zawsze szukają w każdej zagadce czyjejś złej woli. Tyle w was wojowniczości, ze gotowi jesteście uwierzyć, że to sama natura toczy z wami ciągłą walkę i marzy tylko o tym, aby rzucie was na kolana. Przypisywanie naturze własnych wad jest łatwe, bo niesłychanie wygodne, ale z pewnością nie najsłuszniejsze!

- Za wojowniczość mężczyzn ponoszą winę kobiety, bo to one właśnie wydają nas takimi na świat postarałem się obrócić sprawę w żart. - Mówiąc jednak poważnie, nie obaliłaś żadnego z argumentów Romera.

- Nie musze niczego obalać - odparła zwykłym swym ostrym tonem - bo znalazłam w raporcie jedynie opis niezrozumiałych faktów i nieudolne próby ich interpretacji.

Jej słowa wywarły na mnie większe wrażenie niż owego dnia skłonny byłem to przyznać.

Wieczorem nasz salonik wypełnił się po brzegi. Olga, Romero, Orlan i Lusin zajęli fotele, zaś Trub i Gracjusz z trudem usadowili się na kanapach: aniołowi przeszkadzały skrzydła, zaś trzymetrowy Galakt bał się ruszyć z miejsca, żeby nie uderzyć głową w sufit. Romero swoim kwiecistym stylem opisał wrażenie, jakie na Wielkiej Radzie wywarł raport o przyczynach zagłady pierwszej wyprawy do jądra Galaktyki. Oświadczył również, że kolejna wyprawa ma na celu wykrycie nieznanego przeciwnika czy przeciwników i zbadanie możliwości pokojowego współżycia z nimi. Dlatego też Wielka Rada przeznaczyła wszystkie swe zasoby na wyposażenie drugiej wyprawy galaktycznej.

- Czekam teraz na pańskie pytania i zastrzeżenia, admirale - zakończył Paweł.

Zastrzeżenie miałem tylko jedno: pierwsza wyprawa nie zdołała odnaleźć Ramirów, na poszukiwanie których wyruszyła. Drapieżne planety ścigające nasze statki zostały przez Allana nazwane żywymi istotami, ale niezbite dowody na to, że istotnie są to istoty żywe, a nie igraszka martwej natury, nie istnieją. Rejon „słońc pyłowych”, na peryferiach którego zginęła wyprawa, jest zdaniem Allana siedliskiem rozwiniętej cywilizacji, ale żadnego jej przedstawiciela nie spotkano, zatem istnienie owej cywilizacji pozostaje jedynie hipotezą. Próby przedarcia się do jądra napotkały na aktywne przeszkody, ale co z tego wynika? Przeciwdziałanie mogło mieć naturę czysto fizyczną, choć na razie nam nieznaną, bo przecież nikt nie odważy się twierdzić, że znamy już wszystkie prawa rządzące Wszechświatem.

Chciał mi odpowiedzieć Paweł, ale ja zwróciłem się do Olega:

- Dowodzisz drugą eskadrą. Co sądzisz o moich wątpliwościach?

- Że rozstrzygnąć je można - odparł powściągliwie - tylko w jeden jedyny sposób: należy znów polecieć w kierunku jądra Galaktyki i na miejscu sprawdzić, co przeszkadza w przedarciu się do jej wnętrza.

- Twoja odpowiedź w pełni mnie zadowala - powiedziałem, patrząc z przyjemnością na syna Andre, który odziedziczył po ojcu nie tylko odwagę i charakter, lecz także urodę. - A teraz powiedzcie mi na jakim etapie są przygotowania do wyprawy.

Romero wyjaśnił, że prace przygotowawcze prowadzone są na wszystkim nam znanej Trzeciej Planecie Perseusza i że kieruje nimi Andre wraz z demiurgiem Ellonem. Na gwiazdolotach poza anihilatorami Tanajewa instaluje się. również broń biologiczną Galaktów oraz mechanizmy zmieniające rozmiary statków wraz z całą ich zawartością. Najważniejszymi jednak nowymi instalacjami są urządzenia szybko zmieniające metrykę przestrzeni wokół gwiazdolotu. Każdy statek dzięki temu upodobni się do malej Trzeciej Planety, zdolnej do wytwarzania wokół siebie dowolnego zakrzywienia przestrzeni. Gdyby eskadra Allana była wyposażona w mechanizm ślimaka grawitacyjnego, mogłaby uniknąć wielu nieszczęść. Konstrukcje generatorów metryki opracowuje grupa kierowana przez Ellona.

- Ellon... Nic o nim nie słyszałem. Znam go, Orlanie?

- To ja zaproponowałem jego kandydaturę. - oświadczył z dumą Orlan.

- W Perseuszu nie ma innego Demiurga, który dorównywałby mu pod względem zdolności konstruktorskich.

Zauważyłem, że Gracjusz z zatroskaniem pokręcił głową.

- Pozostaje jeszcze jedna kwestia - ciągnąłem. - W jakim charakterze, zdaniem Wielkiej Rady, mam uczestniczyć w wyprawie? Czyli, że użyje starożytnych terminów, jakie stanowisko mi się proponuje?

- Będzie pan duszą i sumieniem wyprawy, Eli - powiedział Oleg.

- Trudno wyobrazić sobie dobrze zorganizowaną wyprawę, w której dusza i sumienie byłaby oderwana od pozostałych jej uczestników.

Mówiłem poważnie, ale moje słowa wywołały śmiech. Gdy ucichł, Romero powiedział:

- Skoro zależy panu na terminach określających tak zwane stanowisko, to nazwijmy je kierownictwem naukowym. Używano niegdyś i takiego określenia, drogi admirale.

- Pan też zamierza uczestniczyć w wyprawie?

- Sądzę, że Wielka Rada pozwoli mi opuścić na pewien czas Ziemie. Po zakończeniu narady przysiadłem się do Galakta:

- Kiedy Orlan chwalił Ellona, westchnąłeś, Gracjuszu. Dlaczego? Czyżbyś się nie zgadzał z jego oceną?

Gracjusz uśmiechnął się promiennie. Galaktowie tak lubią się uśmiechać, że rozpromieniają się z byle powodu.

- Nie, Eli, mój przyjaciel Demiurg Orlan całkiem słusznie scharakteryzował Ellana jako geniusza inżynierskiego. Ale widzisz, Eli... - Zająknął się, choć nie zmienił promiennego wyrazu twarzy. - Znasz przecież nasz stosunek do sztucznych tkanek... W organizmie Ellona stopień sztuczności jest o wiele, wiele wyższy niż u pozostałych Demiurgów; obawiam się, że i jego mózg zawiera sztuczne elementy, chociaż Orlan zdecydowanie temu zaprzecza...

Również uśmiechnąłem się, ale po człowieczemu, ironicznie. Niechęć Galaktów do sztucznych narządów zawsze wydawała mi się zabawnym dziwactwem, puściłem wiec zastrzeżenia Gracjusza mimo uszu. Wszyscy ludzie popełniają błędy, mnie zaś zdarzało się to chyba o wiele częściej niż innym. I wiele moich błędów czy pomyłek, tak na pierwszy rzut oka niewinnych, miało niestety tragiczne wręcz następstwa.

4.

Jak okropnie zmienił się Andre! Olga uprzedzała mnie, że mogę go nie poznać, a ja na to tylko sie śmiałem. Niemożliwe, żebym nie poznał swego najbliższego przyjaciela! I naturalnie poznałem Andre natychmiast, gdy tylko „Orion” zawisł nad lądowiskiem Trzeciej Planety i Andre wpadł jak burza przez rozwarte na oścież wrota statku. Byłem jednak wstrząśnięty. Pozostawiłem Andre w Perseuszu jako schorowanego, na wpół jeszcze szalonego, ale w miarę energicznego mężczyznę w średnim wieku, a teraz w moje objęcia padł rozdygotany, nerwowy, pomarszczony, siwy jak gołąbek starzec.

- Tak, tak, Eli! - wykrzyknął z nerwowym śmieszkiem Andre, widząc moje poruszenie. - Obcując bezpośrednio z nieśmiertelnymi Galaktami nie wiedzieć czemu szczególnie szybko się starzejemy. Zresztą winna jest raczej piekielna grawitacja tej planetki, a ciągłe zwijanie i rozwijanie przestrzeni też pewnie nie sprzyja harmonijnemu metabolizmowi. Pamiętasz Włóczęgę? Ten potężny mózg, który nie wiadomo czemu zapragnął wcielić się w postać figlarnego smoka?

- Mam nadzieje, że dobrze się miewa?

- Żyje, ale za smoczycami już od dawna się nie ugania. Jego intelekt zresztą na tym nie ucierpiał. Opuściliśmy pokład „Oriona” i wylądowaliśmy na planecie. Nie opisuje naszej podróży do Układu

Perseusza, bo wrażenia z tego rejsu nie mają żadnego znaczenia dla przyszłych wydarzeń. Wspomnę jedynie, że Oleg zatrzymał się na Ziemi, żeby skompletować załogę wyprawy i zamierzał przybyć na Trzecią Planetę następnym rejsem. Nie będę również opisywał wszystkich spotkań na tym globie, gdyż były one interesujące jedynie dla Mary i dla mnie. Zrelacjonuje tylko jedno wrażenie spośród tych, które nie wywarły wpływu na dalszy bieg wydarzeń. Mówię o wrażeniu, jakie sprawia obecny krajobraz Trzeciej Planety.

Lecieliśmy z Mary nad jej powierzchnią w zwyczajnej awionetce, takiej samej, jakiej używamy powszechnie na Ziemi. Zapamiętaliśmy na zawsze straszliwy obraz groźnej kosmicznej twierdzy Niszczycieli: nagą ołowianą powierzchnie z rozrzuconymi po niej złotymi głazami. Teraz nie było ołowiu ani złota i wszędzie jak okiem sieknąć rozpościerały się błękitnawe lasy, połyskiwały jeziorka i rzeki.

- Chciałabym tu wylądować - Mary wskazała samotny wzgórek, którego nagi szczyt na razie oparł sie zwycięskiemu pochodowi roślinności.

Wysiedliśmy z awionetki i po raz pierwszy poczuliśmy, że znajdujemy się na dawnej planecie. Ekrany grawitacyjne pojazdu osłaniały nas przed jej straszliwym ciążeniem, które zresztą w okolicach Stacji niewiele różniło się od ziemskiego, ale tutaj dosłownie przycisnęło nas do gruntu. W głowie mi zaszumiało, zachwiałem się i byłbym upadł, gdyby nie podtrzymała mnie Mary, która łatwiej poradziła sobie z przeciążeniem.

- Teraz już nie zdołałbym odbyć drogi od miejsca lądowania do Stacji - wyznałem, próbując sie uśmiechnąć.

- Poznajesz to miejsce, Eli?

- Nie.

- U podnóża tego pagórka umarł nasz syn...

Przeszłość ożyła w mojej pamięci. Popatrzyłem z obawą na żonę. Uśmiechnęła się do mnie. Zdumiał mnie ten uśmiech, tak wiele w nim było spokojnej radości. Powiedziałem ostrożnie:

- Tak, to było właśnie tutaj... Ale czy nie powinniśmy stąd odejść?

- Tak wiele razy widziałam w myślach to złote wzgórze i martwą pustynie wokół niego - powiedziała. - I zawsze wspominałam, jak Aster bardzo marzył o tym, żeby ta metalowa martwota zapulsowała życiem. Pamiętasz, jak nazywał się siewcą życia? Na niklowej planecie ten siew nie był trudny, gdyż panuje tam niska grawitacja, ale i tutaj-udało się metalowi zaszczepić życie. Chciałam zobaczyć, jak czują się tutaj nasze nowe rośliny wyhodowane umyślnie dla światów o wysokim ciążeniu.

- Tb właśnie te rośliny, nad którymi pracowaliście w Instytucie Astrobotaniki?

- Nad którymi pracowałam wyłącznie ja, Eli! Wyhodowałam je specjalnie dla Trzeciej Planety. To jest mój pomnik wystawiony synowi. Aster byłby zadowolony, że jego marzenie się spełniło. A teraz wróćmy na Stacje.

Dwa inne wydarzenia, o których wspomnę, są bezpośrednio związane z losami wypraw.

Wśród witających nie było Włóczęgi, więc Lusin natychmiast pobiegł go szukać. Nic dziwnego, gdyż to właśnie Lusin był w jakiejś mierze twórcą tej niecodziennej istoty i pysznił się nią bardziej niż którymkolwiek ze swych tworów. Włóczęga jak się okazało niedomagał i żadne leki już nie skutkowały. Lusin po powrocie od niego powiedział ze smutkiem, że Włóczęga przy całej swej nieczłowieczej postaci jest zbyt ludzki, aby można było mu zaszczepić nieśmiertelność lub chociażby prawdziwą tężyznę.

- Chce bardzo zobaczyć. Ciebie - dodał swym telegraficznym stylem, wiec następnego ranka poszliśmy odwiedzić smoka.

Włóczęga na oko niemal się nie zmienił. Latające smoki nie chudną i nie tyją, nie odbarwiają się, nie siwieją ani niedołężnieją. Włóczęga był wiec niemal taki sam, jak w chwili naszego rozstania - jaskrawo ubarwiony, potężny i skrzydlaty. Ale już nie latał. Na nasz widok wysunął się ze swej jamy i z wysiłkiem popełznął naprzeciw. Smok z latającego przekształcił się w pełzającego. Ponadto prawie już nie zionął ogniem. To nie ironia, tylko smutne stwierdzenie faktu.

- Witam przybysza! - usłyszałem niemal zapomniany, sepleniący głos. - Cieszę się, że cie widzę, admirale!

Usiądź mi na grzbiecie, Eli.

Przysiadłem mu na łapie i żartobliwie trąciłem nogą pancerny bok:

- Jeszcze jesteś mocny, Włóczęgo, chociaż pewnie już młodej smoczycy nie dopędzisz.

- Nalatałem się już, nabiegałem i naszalałem, ale niczego nie żałuje, Eli. Pożyłem jak król i zaznałem wszystkich rozkoszy, jakie dać może istnienie w żywym ciele. Ale tak już jest, że im większa radość tym krócej trwa. Niedługo umrę, ale możesz być pewien, że nie zadrżę, kiedy nadejdzie czas pożegnać się z życiem.

- Daj spokój! - przerwałem mu, huśtając się. na jego muskularnej łapie. - Na Ziemi opracowano nowe metody stymulowania organizmu. Wypróbujemy je na tobie i z pewnością jeszcze sobie pohulasz nad tą planetką ze mną na grzbiecie. Tylko obiecaj, że nie zrzucisz mnie na ziemie, jak raz ci się już zdarzyło!

Popatrzył na mnie ironicznie swymi wypukłymi, bursztynowymi ślepiami i nic nie odpowiedział. Wróciłem do siebie zdenerwowany, smutny i pełen poczucia winy. Włóczęga w swoim poprzednim wcieleniu jako marzycielski mózg mógł co najmniej dziesięciokrotnie przeżyć nas wszystkich. Ja obdarzyłem go ciałem, ale radości cielesnego bytu są przelotne i kończą się nieuchronną śmiercią. Dlatego też po niewczasie zacząłem się zastanawiać, czy słusznie postąpiłem.

A drugim ważnym wydarzeniem było spotkanie z Ellonem.

Odwiedziliśmy jego pracownie w szóstkę: Mary, Olga, Irena, Andre, Orlan i ja. Przed laty niejednokrotnie schodziłem do wnętrza planety, zanurzałem się w gąszcz jej tytanicznych mechanizmów, ale nigdy nie zapuszczałem się tak głęboko. Andre mówił, że trzeba pokonać windą zaledwie trzysta kilometrów, ale mógłbym przysiąc, że opadaliśmy co najmniej tysiąc. W ogromnej i jasnej, jakby rozsłonecznionej sali powitał nas Ellon.

Powinienem go opisać takim, jaki jeszcze w tej chwili zdaje się stać przede mną, ale nie potrafię. Powiem zatem tylko jedno: jeśli kiedykolwiek w życiu zetknąłem się z istotą w pełnym tego słowa znaczeniu niezwykłą, to istota ta nosiła imię Ellon!

- Ellonie, ludzie przyszli zapoznać się z twymi dokonaniami - powiedział Orlan tonem dziwnie nieśmiałym i niepewnym, zupełnie nie licującym z osobą nieulekłego wojownika, jakim go znałem. Mam nadzieje, że nasze odwiedziny nie zakłócą toku twoich myśli?

- Patrzcie i podziwiajcie! - odparł Ellon w nienagannej ziemszczyźnie i zatoczył szeroki łuk długą i giętką, bezkostną ręką. Jego niebieskawa twarz poróżowiała, chyba z zadowolenia.

Nie było jednak czego podziwiać. Dokoła były mechanizmy, na oko dokładnie takie same, jakie wypełniały całe wnętrze planety. Orlan zauważył moje niezadowolenie i powiedział nadal tym samym nieśmiałym tonem:

- Czy nie byłoby lepiej, gdybyś sam nam wszystko wyjaśnił?

Ellon bez słowa ruszył wzdłuż ściany sali i wskazując ręką kolejne maszyny wyjaśniał ich przeznaczenie i opisywał konstrukcje. Szedł przodem, ale głowę miał obróconą w naszym kierunku. Wszyscy Demiurgowie mają bardzo giętkie szyje, ale nikt poza Ellonem nie potrafił obrócić głowy o pełne sto osiemdziesiąt stopni. Słuchałem wiec jego wyjaśnień i patrzyłem tylko na niego, na jego twarz, starając sie zrozumieć nie tyle sens jego slow, ile ich ton. Im bardziej wpatrywałem się w Ellona, tym silniej utwierdzałem się w przekonaniu o jego niezwykłości. Po zakończeniu obchodu sali Ellon powiedział (tylko to zapamiętałem z długiego wykładu):

- Ani ludzie, ani Demiurgowie, ani tym bardziej Galaktowie jeszcze nigdy nie mieli równie doskonale uzbrojonych statków. Gdybyśmy w trakcie ataku ziemskich eskadr mieli w Perseuszu chociaż jeden taki statek, wydarzenia potoczyłyby się zupełnie inaczej.

- Martwi cie to, Ellonie? - zapytałem sucho. Zachichotał, opanował się i powiedział:

- Nie martwi i nie cieszy. Po prostu stwierdzam fakt, nic więcej.

Wtrąciła się Olga i zaczeka wypytywać Ellona o jakieś szczegóły, po czym do dyskusji na tematy techniczne włączyła się Irena. Odciągnąłem Andre na bok:

- Stworzone przez Demiurgów urządzenia są bez wątpienia znakomite - powiedziałem. - Ale kto będzie nimi naprawdę dysponował?

Andre przerwał mi bezceremonialnie. Nadal jak widać potrafił łowić myśl rozmówcy w pół słowa i nadal dobre wychowanie nie było jego najsilniejszą stroną.

- Możesz się nie obawiać! - wykrzyknął. - Ellon konstruuje instalacje, ale ja nimi dowodzę. Ich pola rozruchowe sprzężone są bezpośrednio z promieniowaniem mojego mózgu. A kiedy eskadra wyruszy w Kosmos, przekaże nadzór nad nimi Olegowi i dowódcom poszczególnych statków.

Wyjechaliśmy na powierzchnie. W windzie Irena wykrzyknęła z zachwytem:

- Demiurg Ellon jest doprawdy niezwykły! Całkiem niepodobny do innych! - Przyciszyła głos, żeby Orlan jej nie usłyszał. - Oni wszyscy wydają mi się potwornie brzydcy, a Ellon jest przystojny! I cóż za doskonałe rozwiązania konstrukcyjne!... Eli, pozwoli mi pan na statku pracować w grupie Ellona?

- Wybór miejsca pracy zależy wyłącznie od ciebie - odparłem i pomyślałem przy tym, że jeśli o mnie chodzi, to właśnie Ellon wydał mi się najbrzydszy ze wszystkich znanych Demiurgów.

- Nie mam prawa wtrącać się do decyzji kierownictwa naukowego wyprawy - powiedziała do mnie Mary w hotelu - ale mogę wyrazić opinie o postępowaniu męża. Eli, jestem z ciebie niezadowolona!

- Dlaczego? Znów się nietaktownie zachowałem? Obraziłem kogoś?

- Niepokoi mnie Ellon - odparła z westchnieniem. -Jest tak potworny, że wręcz piękny w swej brzydocie, tu się mogę z Ireną zgodzić. Ale pozwolić, żeby ktoś taki kręcił się na co dzień po statku?... A widziałeś, jak Irena na niego patrzyła? Gdyby tak patrzyła na mężczyznę, powiedziałabym, że dziewczyna się bez pamięci zakochała.

- A cóż w tym nagannego? - zapytałem beztrosko. - Doskonale pamiętasz, że i mnie samemu zdarzyło zakochać się kiedyś w nieziemiance Fioli. Taki afekt jest nieszkodliwy już z tego chociażby powodu, że absolutnie pozbawiony perspektyw. A Ellona musimy wziąć ze sobą, bo to przecież uznany geniusz inżynieryjny. Obawiam się, że przemawia przez ciebie zwyczajny ludzki szowinizm, a w naszej epoce braterstwa gwiezdnego musimy zwalczać wszelkie przejawy szowinizmu. Mam nadzieje, że to cie przekonuje?

- Przekonałeś mnie swoją beztroską - odparła Mary ze smutnym uśmiechem. - Nie zwracaj uwagi na moje nastroje i obawy. Wynikają one nie z rozumowej analizy, jak u ciebie lub Olgi, lecz z idiotycznych przeczuć...

Często później wspominałem te rozmowę z żoną w hotelu na groźnej Trzeciej planecie!

5.

Nie sporządzam przeznaczonego dla potomków raportu z naszej wyprawy. Mówiłem już, iż nie jestem pewien, czy moje notatki trafią w ogóle na Ziemie i dlatego po prostu staram się zwyczajnie zrealizować dla siebie samego sens i przebieg wydarzeń. Wciąż od nowa zadaje sobie inkwizytorskie pytania, podchodzę do martwego ciała zdrajcy zawieszonego nieruchomo w polu siłowym i po raz setny powtarzam w duchu: „Eli, tu coś nie jest w porządku, coś jest inaczej niż myślisz i dlatego musisz, za wszelką cenę musisz rozwikłać te zagadkę!”. Ale nie potrafię, bo jestem na to zbyt rozsądny. Może to paradoksalne, ale jedna z nowych prawd, która tak długo i z takimi oporami docierała do naszej świadomości, brzmi następująco: im wywód jest logiczniejszy, tym wniosek dalszy od prawdy. Świat, w którym dziś wędrujemy, podporządkowany jest prawom fizyki, ale rządzi się logiką odmienną od naszej. Zbyt późno ten świat zrozumieliśmy i właściwie nie jestem pewien, czy i dziś pojmujemy go do końca.

Nie będę opisywał przygotowań do wyprawy i samego jej startu, bo na Ziemi wszyscy znają to z najdrobniejszymi szczegółami. Wiedzą, że ograniczyliśmy skład eskadry do piętnastu gwiazdolotów (jedenastu bezzałogowych gigantycznych magazynów sterowanych przez automaty oraz czterech z załogami dowodzonymi przez Osime, Olgę, Kamagina i Petriego), że pozwoliłem zaokrętować na pokład flagowego „Koziorożca” Włóczęgę, chociaż Oleg był przeciwny zabieraniu w podróż starego smoka, i że na tymże „Koziorożcu” zainstalowaliśmy laboratorium inżynieryjne Ellona. Wiedzą też jak ruszyliśmy do gwiazdozbioru Strzelca przez obłoki pyłowe zasłaniające przed naszym wzrokiem jądro Galaktyki, jak przez trzy lata pędziliśmy w jego kierunku z tysiąckrotną prędkością światła, podtrzymując łączność z Ziemią na falach przestrzeni za pośrednictwem przekaźnika na Trzeciej Planecie, gdzie pozostał Andre, jak wreszcie w czwartym roku podróży łączność nadświetlna urwała się bezpowrotnie...

Właśnie od tego momentu rozpocznę swoją relacje o naszych przygodach w jądrze Galaktyki.

Nagle wszystkie generatory fal przestrzennych całkowicie odmówiły posłuszeństwa: nie mogliśmy już odbierać żadnych wiadomości z Trzeciej Planety i wysyłać na nią własnych depesz. Urządzenia były sprawne, zmieniła się sama przestrzeń. Kosmos był taki sam, nadal z równą energią pochłanialiśmy go gardzielami anihilatorów, przekształcając go w obłoki pyłów i gazów, wszystko zatem dokoła było takie samo, a jednak niezrozumiale się zmieniło: impulsy generatorów nie przenikały na zewnątrz, anteny nie odbierały żadnych sygnałów.

Wyprawa nagle jakby oniemiała i straciła słuch.

Nie straciła jednak wzroku. Przyrządy pokładowe wykryły w dużej odległości drapieżną planetę, dokładnie taką samą, jaka napadła na eskadrę Allana. Z tym, że Allan w momencie napadu utrzymał łączność z bazą w Perseuszu, a my byliśmy takiej możliwości pozbawieni. Wówczas z niedowierzaniem przyjęliśmy wiadomość od Allana, że ściga ich nie martwy bolid, a nawet nie ogromny statek kosmiczny, niepomiernie większy od każdego z naszych gwiazdolotów, lecz zagadkowa istota kosmiczna najwyraźniej zamierzająca dopaść i połknąć całą eskadrę. Wyobrażenie o niesłychanej wielkości gwiazdolocie było jednak bliższe naszemu ówczesnemu pojmowaniu świata.

Ale bez względu na to czy był to gwiazdolot, czy też istota kosmiczna, wszyscy odczuliśmy głęboki niepokój, kiedy analizatory wykryły w oddali zagadkowy glob i zameldowały beznamiętnie, że ciało to podąża za nami. Szliśmy wówczas skrajem ciemnych obłoków pyłowych osłaniających jądro. Słowo „skraj” jest pojęciem umownym, bo na wiele miliardów kilometrów dokoła rozpościerała się mgławica gazowa - zimna, półprzezroczysta, mętna i niezmiernie przygnębiająca. Gwiazdy ledwie tliły się w jej purpurowym półmroku. Mary powiedziała do mnie z westchnieniem: „Nieźle nadymili w tym zakątku Wszechświata!”. Drapieżna planeta ukazała się jako pomarańczowa plamka w krwistej mgle i szybko sie powiększała. Szliśmy w obszarze ponadświetlnym, ona zaś pędziła w przestrzeni Einsteinowskiej. Za nami ciągnął się ogon przekształconej w pył pustki. Kosmos za planetą był czysty. My niszczyliśmy przestrzeń, a planeta pędziła w niej z taką potworną prędkością, że dopędzała nas i sprawiała, że prawa fizyki przestawały obowiązywać. Tak się nam przynajmniej wydawało. Dopiero teraz zaczynamy niejasno pojmować, jak skąpa jest nasza wiedza o prawach natury.

Tak wiec planeta nas dopędzała. Była ogromna jak Ziemia, a nawet chyba od niej większa. Tysiące naszych gwiazdolotów mogły pomieścić się na jej powierzchni, dziesiątki tysię-

cy zapaść w jej wnętrzu. Tor jej lotu zmieniał się nieustannie, zdradzając niewątpliwy cel - naszą eskadrę. Podobnie jak Allan moglibyśmy mówić o wolnej woli kierującej lotem drapieżnika, ale nadal uważaliśmy, że ściga nas nie żywa istota, lecz statek kierowany przez istoty rozumne, ukryte we wnętrzu globu, przy pulpitach sterowniczych nieznanych nam, groźnych urządzeń. Istoty te nie odpowiadały na nasze sygnały, chociaż niepotrzebny był zbyt wyrafinowany intelekt, aby je rozszyfrować. To było zadanie dla ucznia szkoły podstawowej, a nie dla inżyniera kosmicznego. Ale planeta milczała, milczała i nieubłaganie nas dopędzała, w sposób wręcz ponadnaturalny, z prędkością nadświetlna w zwykłej przestrzeni podświetlnej.

Oleg przemówił do załóg wszystkich gwiazdolotów.

- Allan uratował się przed atakiem drapieżnej planety w ten sposób - powiedział - że gwałtownie zanihilował substancje aktywną. - Ścigający nie zdołał pokonać bariery wytworzonej w ten sposób nowej pustki. Ale eskadra straciła trzy czwarte zasobów i później nie miała już środków na pokonanie dalszych trudności. Czy mamy powtórzyć manewr Allana?

Wszyscy jednogłośnie opowiedzieli się przeciwko takiemu rozwiązaniu. Byliśmy uzbrojeni o wiele lepiej niż eskadra Allana, mogliśmy zatem dopuścić dziwnego prześladowcę bliżej. Ponadto trzeba było ponad wszelką wątpliwość ustalić czy to istotnie jest atak, czy też jakaś nowa forma kontaktu. A na to pytanie mógł odpowiedzieć jedynie eksperyment.

Jeśli nasze stereofilmy kiedykolwiek dotrą na Ziemie, ludzie na własne oczy zobaczą wynik tego eksperymentu. Oddzieliliśmy od eskadry jeden z automatycznych gwiazdolotów opróżniony uprzednio z wszystkich ładunków. Planeta rzuciła się na statek jak jastrząb na przepiórkę. Ujrzeliśmy wybuch, rozbłysk płomienia, a potem chmurę szybko ciemniejącego pyłu. I planetę czółenkowym ruchem przeszywającą te chmurę i chciwie, całą powierzchnią wchłaniającą resztki eksplozji. Pył osiadał i kondensował sie na globie i natychmiast zapadał pod jego powierzchnie. Przestrzeń oczyściła się i po chwili pozostał w niej tylko gigantyczny odkurzacz.

- Obrzydliwa kosmiczna paszczęka! - wykrzyknęła z oburzeniem Mary.

Siedzieliśmy w sali obserwacyjnej, przypatrując się zagładzie podrzuconej drapieżnikowi przynęty.

- Raczej kosmiczny asenizator, droga Mary - powiedział Romero i dodał z westchnieniem: - Przykre jest tylko to, że ten galaktyczny śmieciarz nie wiedzieć czemu i nas uważa za niepotrzebny strzępek papieru.

Słuszność uwagi Romera oceniliśmy znacznie później, kiedy stało się oczywiste, że drapieżna planeta nie pędziła zupełnie bez celu przez mgławice, do której wtargnęła nasza eskadra, lecz przy okazji pochłaniała otaczający ją gaz, likwidując w ten sposób samą mgławice, jednak w tamtym momencie rozważania o funkcji kosmicznego asenizatora wydawały się nam zbyt akademickie. Oleg wezwał mnie i Romera, a ponadto Orlana i Gracjusza. Oleg zaprosił na stanowisko dowodzenia również Ellona, który jednak wymówił się pilnymi zajęciami w laboratorium. Demiurgowie w przeciwieństwie do Galaktów nie przepadają za naradami, które uważają za niepotrzebną stratę czasu.

Olega interesowało tylko jedno: uciekać czy odeprzeć atak?

- Uciekać, oczywiście uciekać! - powiedział skwapliwie Gracjusz.

Już dawno zauważyłem, że jeśli istniała najmniejsza bodaj możliwość uniknięcia walki, to nieśmiertelni Galaktowie zawsze starali się z niej skorzystać. Zresztą, akurat w rym wypadku wszyscy zgodnie poparli Gracjusza.

Natomiast sposób ucieczki wywołał gorące spory. Ja uważałem, że możemy sobie pozwolić na wykorzystanie substancji aktywnej, której mamy o wiele więcej niż Allan. Tym bardziej, że był to sposób o wypróbowanej już skuteczności. Ale nie zgodzono się ze mną.

- Tylko ślimak grawitacyjny! - oświadczył bezapelacyjnym tonem Orlan. - Mamy przecież instalacje zmieniające skutecznie metrykę przestrzeni, co pozwoli nam łatwo zgubić kosmicznego rozbójnika. Jakie jest twoje zdanie w tej sprawie, Ellonie? - zapytał, nie czekając na naszą decyzje.

Ellon, którego twarz ukazała się na ekranie, potwierdził, że zastosowanie ślimaka grawitacyjnego jest rozwiązaniem najprostszym i dodał, że eskadra nie musi uciekać, bo łatwiej jest wpędzić drapieżniki do tunelu grawitacyjnego.

- Planeta wystrzeli z niego, jak z armat}'. I będzie miała szczęście, jeśli wyjdzie z tej przygody bez szwanku! - wykrzyknął. Najwidoczniej w przeciwieństwie do Gracjusza cieszyła go perspektywa starcia.

Zjechałem do laboratorium Ellona, który krzątał się już przy urządzeniach sterujących, podskakując przy tym jak wszyscy Demiurgowie. Przy pulpicie przypominającym klawiaturę starożytnego fortepianu siedziała Irena wodząc oczyma za Ellonem. Pod przeciwległą ścianą rozłożył się Włóczęga, zajmując niemal trzy czwarte wolnej przestrzeni. Na mój widok przyjaźnie wypuścił z nozdrzy dwa kłęby dymu i rozjarzył koronę powitalnymi błyskawicami, o ile jednak słabszymi i bledszymi od tych, jakie miotał w latach bujnej młodości.

W milczeniu skinąłem mu głową i stanąłem za plecami Ireny.

- Włącz pierwsze zakrzywienie - rozkazał Ellon i Irena przebiegła palcami po klawiszach.

Do tego czasu wszystkie gwiazdoloty eskadry zgrupowały się tak blisko „Koziorożca”, że poczułem sie zaniepokojony. Nic na to nie mogę poradzić, że zbliżenie statków na odległość kontaktu wizualnego zawsze wywołuje we mnie lek. Ale bez maksymalnej koncentracji floty nie dałoby się jej otoczyć barierą nieeuklidesową, którą Irena właśnie włączyła kilkoma ruchami palców. Przez chwile nic się nie działo, a potem Ellon ze śmiechem pokazał na ekranie, jak planeta czy też dosiadające ją istoty rozbija sobie o zaporę głupi łeb. Nie wiem, czy planeta może mieć łeb, ale wpadła na zakrzywioną przestrzeń z niesłychaną prędkością i równie gwałtownie odskoczyła. Powtórzyło się to kilka razy. Atak i odskok, atak i odskok. Ellon był zachwycony, cały pochłonięty bitewnym zapałem i nie mógł oderwać wzroku od uparcie atakującej i wciąż od nowa odrzucanej do tyłu planety. Ja jednak wolałbym, żeby Ellon zbyt długo nie kusił losu. Musiał to wyczuć, bo rozkazał:

- Włącz tunel odlotowy!

Irena znów nacisnęła kilka klawiszy i zaraz przekonaliśmy się jak potężne są nasze generatory metryki. Planeta została wyrzucona w jakąś otchłań i to nie bezwładnym ślizgiem w zakrzywionej przestrzeni, z którym tak rozpaczliwie walczyliśmy podczas naszej pierwszej bytności w Perseuszu, lecz energicznym „kopniakiem” pola. Powiedziałem coś do Ellona, który nie zareagował, zwijając się w pełnym samozachwytu bezdźwięcznym chichocie, zwróciłem się wiec do smoka:

- To nie jest zwyczajna zmiana metryki. Wiesz o tym, Włóczęgo?... Smok pląsał nie gorzej od Ellona, sypiąc blade iskry ze swej korony.

- Naturalnie! Kiedy byłem jeszcze Głównym Mózgiem zawsze marzyłem o tym, żeby nie trzeba było ograniczać się do biernego zakrzywiania przestrzeni, żeby nadać wyrzucanemu z układu gwiazdolotowi dodatkowy impuls skierowany na zewnątrz. Ellonowi udało się, zrealizować to moje stare marzenie. Skuteczny środek, nieprawdaż?

Zgodziłem się., że środek istotnie jest niezwykle skuteczny i pospiesznie odszedłem na drugi koniec sali, bo rozentuzjazmowany Włóczęga wyrzucił z siebie kłąb duszącego dymu.

- Eli, Eli! - powiedziała Irena głosem, jakiego jeszcze u niej nie słyszałem. - Cóż to za człowiek! Cóż to za zdumiewający człowiek!

Mógłbym zaoponować, powiedzieć, że zdumiewająca niecodzienność Ellona polega akurat na tym, że nie jest on człowiekiem, ale milczałem. Odchodząc popatrzyłem na pozostawianą w laboratorium trójkę. Od tej chwili minęło mnóstwo czasu, być może rok albo wiele milionów lat przemknęło w realnym świecie obok naszej dzisiejszej pozaczasowości, ale ten obraz widzę tak dokładnie, jakbym go oglądał dopiero przed chwilą. Na podłodze pod ścianą rozciągał się dymiący triumfalnie smok, przed ekranami pląsał rozgorączkowany Ellon, a Irena, z ręką przyciśniętą do piersi i pobladłą twarzą patrzyła na niego w niemym zachwycie...

6.

Tak oto wdarliśmy się do mgławicy zasłaniającej jądro. Najpierw odmówiły posłuszeństwa generatory fal przestrzennych, pozbawiając nas łączności z bazą na Trzeciej Planecie, a następnie zaatakował nas drapieżny glob, którego Ellon pozbył się tak skutecznie, że jak wykazały analizatory w ogóle zniknął z naszego świata. Teraz sądzę, że po prostu wypadł z naszego czasu...

A na ekranach dzień po dniu widzieliśmy ten sam ponury obraz: mglisty tuman, a w tej mgle pojawiające się z rzadka zjawy gwiazd. Przez wiele miesięcy mknęliśmy w mglistym mroku nie zmieniając kursu prowadzącego do jądra galaktyki i tylko od czasu do czasu wymijając napotykane po drodze gwiazdy. I dopiero gdy analizatory wykryły krążącą wokół jednej z nich samotną planetę, na której mogło istnieć życie, eskadra zmieniła kurs i wynurzyła się w przestrzeni Einsteinowskiej. Wszystkie

napotykane dotychczas gwiazdy pozbawione były satelitów, a wiec pierwsza na naszej drodze planeta musiała nas zainteresować.

Gwiazdę nazwaliśmy Czerwoną, choć tak wyglądała tylko z daleka. W miarę zbliżania się przybierała stopniowo barwę błękitną. To była młoda, energiczna, życiodajna gwiazda, prawdziwy dar losu dla krążącej wokół niej planety. Nasze analizatory wykryły na niej życie, chociaż na żaden sygnał planeta nie odpowiadała. Nawet kiedy gwiazdoloty zawisły nad jej powierzchnią, hipotetyczni mieszkańcy globu nie zareagowali.

Oleg rozkazał głównej grupie eksploracyjnej wylądować na planecie. Na każdym statku jest własna grupa eksploracyjna, a grupą główną kieruje ja. Na członków grupy wyznaczono Truba i Giga - latających zwiadowców i wojowników, Romera - historyka i znawcę obcych cywilizacji, Mary - astrobotanika, Lusina - astrozoologa, Irenę ze wspomagającymi ją robotami oraz Orlana i Gracjusza. Z własnej inicjatywy włączyłem do grupy Włóczęgę. Wprawdzie Oleg uważał, że starzejący się smok będzie zawadą w poszukiwaniach, ja jednak uparłem się, bo na stosunkowo jednak ciasnym statku staruszek nie mógł nawet porządnie rozprostować swoich gigantycznych kości.

Wylądowaliśmy.

Planeta wyglądała zwyczajnie jedynie z daleka, z Kosmosu, ale po wylądowaniu zaparło nam dech w piersiach ze zdziwienia. Ten świat znał tylko dwa kolory - czerwony i czarny. Po czerwonej ziemi płynęły czerwone rzeki, połyskiwały niewielkie czerwone jeziorka, z czerwonych skał spadały czerwone siklawy. A na tle tej wszechobecnej czerwieni czerniały lasy i pola - czarne drzewa, krzewy i trawy. Nad czarnymi lasami polatywały czarne ptaki, w czarnych zaroślach przemykały się czarne zwierzęta, w czerwonej wodzie pływały czarne ryby. I nad tym wszystkim unosiły się chmury, których czerń na krawędziach przechodziła w krwistą czerwień.

- To wygląda na przedsionek piekieł, nie uważasz, Eli? - mruknął Trub, tarmosząc pazurami bokobrody.

- Co anioł może wiedzieć o piekle? - spróbowałem zażartować.

- Zaraz się wszystkiego dowie - odparł i wzbił się w powietrze.

- Wydaje mi się, że cała materia nieożywiona jest tu zabarwiona na czerwono, zaś formy żywe wyróżniają się czernią - zauważyła Mary.

Gracjusz majestatycznie skinął głową, bo doszedł do tego samego wniosku, ale Trub niebawem wyprowadził ich oboje z błędu. Popędził za ptakiem przypominającym ziemską gęś, tylko co najmniej trzy razy od niej większym. Czarna gęś nie zdołała umknąć szybko dopędzającemu ją aniołowi, złożyła wiec skrzydła i zaczęła spadać zmieniając się w oczach z czarnej w ogniście czerwoną. Na czerwoną ziemie opadła czerwona bryła. Trub wylądował przy niej i zawołał nas. Na ziemi leżał niewielki głaz, martwy, zimny i czerwony jak wszystko dokoła.

- To on, to on! Ptak zamienił się w kamień! - wykrzykiwał Trub i z irytacją podważał czerwoną bryłę to nogą, to znów skrzydłem, ale w żaden sposób nie mógł ruszyć jej z miejsca. Kamień wrósł w ziemie tak, jakby przeleżał na tym miejscu co najmniej kilka tysiącleci.

- Tu nawet dźwięki są czarne!

- powiedziała Mary z obrzydzeniem.

Istotnie, wszystko brzmiało tu głucho i niewyraźnie. Dodałbym do tego, że i zapachy były na tej planecie czarne: czerwona woda i czarne rośliny pachniały jednakowo, a właściwie nie pachniały wcale. Kopnąłem nogą czerwony kamień, który wedle Truba miał być przeistoczonym ptakiem, Romero stuknął swoją metalową laseczką w metalową pokrywę deszyfratora i nic: usłyszeliśmy jedynie głuchy szelest, jakby otarły się o siebie dwa kłęby waty.

Trubowi zachciało się polatać nad lasem, nad którym wypatrzył inne ptaki, ale po chwili żadnych ptaków już nie było, a i sam las zaczął znikać, gdy tylko anioł zbliżył się do niego... Drzewa kurczyły się, opadały na ziemie, czerwieniały i po chwili leżała przed nami już tylko naga, martwa, krwistoczerwona pustynia.

- Gig - zwróciłem się do zwierzchnika niewidzialnych. - Twojemu przyjacielowi zwiad się nie powiódł. Czy nie mógłbyś mu pomóc?

- Już zakładam mundur, admirale! - wykrzyknął dziarskim tonem Gig i popędził za aniołem. Zniknął nam z oczu już w powietrzu.

Zdezorientowany Trub szybował nad byłym lasem, zataczając coraz to szersze kręgi. Widzieliśmy go doskonale. Gig oczywiście był niewidzialny, ale kreta linia czerwieni przecinająca stojący jeszcze las zdradzała trasę jego lotu.

- Ekrany optyczne tu nie działają - powiedział zdziwiony Orlan. - A byliśmy przekonani, że są niezawodne!

Irena potwierdziła ten fakt. Powiedziała, że jeśli obserwuje nas jakaś istota rozumna, to widzi Giga równie wyraźnie jak nie uznającego ekranów Truba.

- Odległość reakcji wynosi dwieście metrów - wyjaśniła. - Po przekroczeniu tej granicy rozpoczyna sie coraz szybszy proces martwienia. Wielkością krytyczną jest sto metrów. W kole o takim promieniu możemy się natknąć wyłącznie na martwy, skamieniały grunt.

Wyjaśnienie Ireny niczego nie wyjaśniało poza stwierdzeniem faktu. A tymczasem zetknęliśmy się z nową zagadką. Rozwścieczony niepowodzeniem Gig rzucił się na rzekę, w której dostrzegł kilka czarnych ryb. Rzeka skoczyła w bok, gwałtownie zmieniając koryto i jak szalona popędziła po kamieniach. Trafiła po drodze na dosyć strome urwisko i trysnęła z niego w dół szerokim łukiem. To była żywa istota, szybka, zwinna i śmiertelnie przerażona - takie to przynajmniej sprawiało wrażenie. A kiedy niewidzialny jednak jej dopadł, rzeka w jednej chwili zniknęła. Było poprzednie koryto, były ślady szamotania się żywej wody, ale nie było już rzeki. Nie spłynęła pod ziemie, nie zniknęła nawet jak zjawa, tylko po prostu skamieniała.

Gig wyłączył ekran i wylądował koło nas.

- Admirale! - wykrzyknął. -Jestem szczerze oburzony! Nigdy jeszcze nie zetknąłem się z istotami tak tchórzliwymi, jak tutejsze drzewa. No i ta woda! Orlanie, mógłbyś mi wytłumaczyć, dlaczego ta zwariowana rzeczka uciekła przede mną?

Orlan wiedział dokładnie tyle, co i ja, a ja niczego nie rozumiałem. Nie uzyskawszy odpowiedzi Gig tym razem bez ekranu, dołączył do Truba, który nadal krążył nad zmartwiałym lasem. Podszedłem do Włóczęgi.

Smok próbował trochę sobie polatać, ale uniósłszy się na jakieś dziesięć metrów w górę zrezygnował i opadł ciężko na ziemie. Zacząłem żałować, że zabrałem go na taką ryzykowną wyprawę, ale zmieniłem zdanie, gdy spojrzałem w jego roziskrzone ironią oczy. Włóczęga miał piekielnie inteligentny wzrok.

- Zabawna planetka - powiedziałem. - Nie wydaje ci się, Włóczęgo, że mamy tu do czynienia z mnóstwem zagadek?

- Tylko z jedną - powiedział.

- Jedną? A ja tu widzę co najmniej trzy: żywe rzeki i drzewa, ich lek przed nami i wTeszcie momentalna przemiana w martwą ziemie. Nie mówiąc już o tym, że tutaj nawet ptaki zamieniają się w kamienie!

- Tylko z jedną - powtórzył Włóczęga. - Mam wrażenie, jakbym spotkał się z samym sobą, z dawnym sobą... Wyczuwam obecność myślącego mózgu, ale nie mogę nawiązać z nim kontaktu...

Na rozłożonym skrzydle smoka siedział Lusin. Zwróciłem się z kolei do niego:

- A co ty o tym sądzisz?

- Dziwna planeta - odparł po chwili namysłu. Pomyślał jeszcze i dodał z głębokim przekonaniem: Bardzo dziwna, bardzo!

7.

Ja nie mogłem sobie pozwolić na dłuższy namysł: Trub czekał na wskazówki, Gig na rozkazy, a wszyscy pozostali na wyjaśnienia.

- Niewiele warte są przyrządy - powiedziałem opryskliwie do Ireny - które nie potrafią odróżnić tego co żywe od martwego.

Popatrzyła na mnie wyzywająco i odpowiedziała krnąbrnie, czego Olga nie zdołała jej oduczyć w dzieciństwie:

- To nie wina moich przyrządów, tylko pańskich wyobrażeń o tym co jest zwykłe, a co niezwykłe na tej planecie - Zreflektowała się pod moim wzrokiem i zapytała oficjalnym tonem: - Czy mogę polecieć na „Koziorożca” po skafandry? Ellon opracował nowy model zapewniający lepsze ekranowanie.

- Dla niewidzialnych czy dla nas?

- Dla każdego, kto zechce stać się niewidzialnym.

- Nie! - odpowiedziałem ostro. - Sam wrócę na „Koziorożca”, bo musze naradzić się z dowódcą wyprawy. Reszta na razie zostanie tutaj.

Paweł zerknął na mnie i lekko pokręcił głową. Zdziwiłem się:

- Jest pan niezadowolony?

- Może byłoby lepiej, gdybyśmy wszyscy wrócili na statek, drogi admirale. Szczerze mówiąc nie chciałbym spędzić nocy na tej planecie.

- Dlaczego? - Romero rozłożył ręce:

- Po prostu trawi mnie atawistyczny lek przed nieznanym.

Poradziłem mu niezbyt uprzejmie, żeby stłumił w sobie ten lek, ale zgodziłem się na powrót całej grupy eksploracyjnej (co zresztą jak się niebawem okazało było rozsądną decyzją), bo doszedłem do wniosku, że rozszyfrowywanie zagadek samotnego świata nie jest najważniejsze w świetle czekających nas zadań. Tak właśnie przedstawiłem sprawę Olegowi.

Oleg wysłuchał mnie ze swym niezmiennym, bezosobowo uprzejmym uśmiechem. Nie musiał mnie zresztą o nic wypytywać, bo każda nasza czynność i każde słowo wypowiedziane na planecie było natychmiast przekazywane na wszystkie statki. Nie musiał też uzbrajać się w ten swój odpychający uśmiech, którym utrzymywał wszystkich na dystans, w przeciwieństwie do kapitanów pozostałych gwiazdolotów, których stosunki z załogą byty o wiele serdeczniejsze. Nie podobało mi się to i postanowiłem przy okazji dać temu wyraz. Nie musiałem długo na nią czekać. Zaproponowałem zwołanie narady dowódców gwiazdolotów, aby zdecydować wspólnie czy należy kontynuować badania pierwszej odkrytej przez nas planety.

- Ale przecież ty sam uważasz, że nie należy tego robić! - zaoponował Oleg.

- Moje zdanie nie jest tu najważniejsze, a zresztą mogę się mylić. Ellon jest tu chyba bardziej kompetentny, bo zwiad instrumentalny należy do jego grupy.

- Narada jest niepotrzebna! - uciął Oleg. - Opuścimy niebawem ten rejon.

Wówczas postanowiłem wyłożyć kawę na ławę (Romero jednak zaraził mnie swoim kwiecistym jeżykiem):

- Oleg, dlaczego zachowujesz się tak oschle? Daje ci słowo, że nie tylko na mnie wywiera to przykre wrażenie!

Zawahał się.

- Nie mogę zachowywać się inaczej, Eli - powiedział wreszcie.

- Nie możesz?

Z jego twarzy opadł przyklejony do niej dotychczas maskujący uśmiech. Oleg znów stał się szczerym, prostym chłopcem, jakiego pamiętałem z Ziemi.

- Nie znoszę Ellona, Eli - wykrztusił.

- Nikt nie lubi Ellona - odparłem.

- Mylisz sie!

- Z wyjątkiem Ireny - poprawiłem się.

- Dla mnie jest to wystarczająco ważny wyjątek - wyznał ponuro Oleg. - Bardzo się ze sobą przyjaźniliśmy, zanim Irena nie zaczęła pracować z Ełlonem. To bardzo wybitny intelekt, ale dziewczyna zbytnio mu się podporządkowała. A ponadto Ellon, zwłaszcza w jej obecności, podkreśla nieustannie, że przewyższam go stanowiskiem, ale nie znaczeniem.

- Ellon wychował się w społeczeństwie Niszczycieli, w którym było silnie rozwinięte poczucie hierarchii. Tego z dnia na dzień zmienić się nie da - powiedziałem. - A ponadto mówimy o twoim stosunku do wszystkich, nie tylko do tego Demiurga!

- Nie mogę traktować Ellona inaczej niż pozostałych członków załogi, ale też nie potrafię odnosić sie do niego równie serdecznie jak do Orlana, Romera czy Gracjusza. Musze wiec być z wszystkimi jednakowo oschły...

Naszą rozmowę przerwał sygnał alarmowy. Pospieszyliśmy na stanowisko dowodzenia. Analizatory wykryły na gwieździe, wokół której krążyła Czerwona, jakieś dziwne zjawisko, na które wszystkie cztery mozgi pokładowe statków znalazły tylko jedno określenie - „atak".

Zdumieni i zaskoczeni nie mogliśmy oderwać oczu od ekranów. Z daleka, z rejonu w który prowadził nasz kurs, tryskał potężny strumień promieniowania wycelowany dokładnie w Czerwoną Gwiazdę.. Potok energii był tak intensywny, że był widoczny w przestrzeni jako blada smuga lekko przesłaniająca odległe gwiazdy.

Oleg zbladł i powiedział drżącym głosem:

- Jakie to szczęście, Eli, że zbliżyliśmy się do planety! Gdybyśmy byli teraz po przeciwległej stronie gwiazdy, cała eskadra przekształciłaby się w chmurkę plazmy!

- Co zamierzasz zrobić? - zapytałem. - Uciekać stąd jak najszybciej?

- Zbliżyć się do Czerwonej Gwiazdy. Musimy dokładnie zbadać naturę tego ataku, Eli. Oczywiście z zachowaniem najwyższej ostrożności.

Ostatnie zapisy dziennika pokładowego Allana mówiły o tym, że na eskadrę runął strumień zabójczych cząstek i że Allan wraz z Leonidem próbowali wyprowadzić statki poza jego zasięg. Bez skutku, bo promienie śmierci nieubłaganie ich ścigały na każdym kursie. Tak trwało do chwili, kiedy gwiazdoloty z martwymi załogami, które przed śmiercią zdążyły jeszcze zadać automatom kurs powrotny, wynurzyły sie w Perseuszu.

Teraz było podobnie, z tą jedynie różnicą, że celem ataku była gwiazda i że natężenie promieniowania było bez porównania wyższe od tego, które spadło na statki Allana i Leonida.

- Wojna! - powiedziałem mimo woli na głos. -Jakąż potęgą trzeba dysponować, żeby tak ostrzeliwać gwiazdy!

- Nie wiem - zaoponował Oleg. - Nie ustaliliśmy jeszcze czy jest to czyjaś świadoma działalność, czy też niecodzienne zjawisko przyrodnicze. Atak na obce statki byłby rzeczą okropną, niemoralną i zbrodniczą, ale jednak zrozumiałą.

Ale po co ktoś miałby walczyć z martwą gwiazdą?

- Nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytanie - powiedziałem bezradnie. - Wiem tylko jedno: jeśli nie zachowamy maksymalnej ostrożności, to czeka nas los o wiele gorszy od tego, jaki stał się udziałem wyprawy Allana, bo nawet nasze zwłoki nie wrócą na Ziemie!

Oleg utrzymywał eskadrę z dala od straszliwego promienia, a załogi statków nie opuszczały stanowisk bojowych. Gotowi byliśmy uruchomić wszystkie nasze środki obronne - anihilatory przestrzeni, generatory metryki, ślimaki grawitacyjne - gdyby tylko śmiercionośny promień zwrócił się w naszą stronę. Ja jednak już wówczas byłem nieomal pewien, że wszystkie te tak potężne naszym zdaniem urządzenia znaczyły równie mało jak dziecinny straszak przeciwko armacie. Ocaleliśmy tylko dlatego, że nas zignorowano. Celem ataku była gwiazda, a nie eskadra.

Gwiazda oślepiająco rozbłysła i przekształciła się w szybko gasnący kłąb płomieni. Promień zniknął. Było po wszystkim, gwiazda umarła.

Umarła też planeta, którą opuściliśmy zaledwie przed paroma godzinami. Beznamiętne analizatory zanotowały, że cała jej powierzchnia zwrócona ku gwieździe pokryta jest szklistą, rozżarzoną masą. Być może na jej przeciwległej stronie dałoby się odszukać jeszcze bodaj ślady dziwnych czarno-czerwonych istot, ale i tak szalały pożary. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że zginęlibyśmy, gdybyśmy pozostali w te straszliwą noc na planecie.

Natury promienia, który tak nagle się. pojawił i równie nagle zniknął, nie udało się nam rozszyfrować. Stwierdziliśmy wprawdzie, że zawierał fotony, neutrony, protony, rotony, neutrina i mało jeszcze dotychczas zbadane ergony z domieszką innych nieznanych mikrocząsteczek, ale niejasny pozostał mechanizm ich wzajemnego oddziaływania w promieniu, nie mówiąc już o sposobie jego emisji i przeznaczeniu. Nie sposób było wyobrazić sobie żadnego naturalnego procesu zdolnego wytworzyć generator o tak potwornej mocy. Ale jeśli to był zamierzony atak, to kto i po co ostrzeliwał gwiazdę?

Oleg zwołał naradę dowódców gwiazdolotów. Przybyli na nią Olga, Kamagin i Petri.

Przebieg narady był transmitowany na wszystkie statki. Na wstępie Oleg zwrócił się do kapitanów z najważniejszym pytaniem: co myślą o naturze katastrofy na Czerwonej Gwieździe?

- Sądzę - powiedziała Olga - że była to właśnie katastrofa kosmiczna z ogromnym wydatkiem energii. Według pobieżnych obliczeń strumień promieniowania tryskający z jądra Galaktyki niósł energie wystarczającą do stworzenia dziesięciu nowych planet. Jest mało prawdopodobne, aby gdziekolwiek dało sie zbudować broń o takiej mocy. Jestem skłonna uważać, że zetknęliśmy się z nowym procesem kosmicznym.

- W każdym razie jest to zjawisko niezwykle groźne - powiedział ostrożny Petri. - Gdyby nasza eskadra znalazła się na drodze tego promienia, nie pozostałoby po nas nawet wspomnienie... Nie chce na razie zajmować zdecydowanego stanowiska, ale niepokoi mnie celność promienia. Biegł z daleka i trafił dokładnie w gwiazdę. Wątpliwe, aby taka precyzja była wynikiem procesów naturalnych.

- Wojna kosmiczna' - wykrzyknął Kamagin. - Zapytacie, dlaczego ktoś napada na martwą gwiazdę. A czyż ludzie kiedyś nie atakowali kamiennych fortów i twierdz wroga, czyż nie niszczyli lasów i zasiewów, nie zatruwali wód, żeby pozbawić przeciwników schronienia i środków do życia? Nie znamy celów wojny, nie wiemy jaką korzyść przyniosło komuś zniszczenie Czerwonej, ale gwiazda ta została niewątpliwie zniszczona celowo, a w rezultacie uległy zagładzie unikalne formy życia.

- Jeśli to wojna - oświadczył Osima - to trzeba ustalić, po czyjej jesteśmy stronie. Co do mnie, to żal mi dziwnych istot zamieszkujących planetę. Atak był skierowany przeciwko nim, a one nie mogły zadać kontruderzenia...

W naradach kapitanów zawsze uczestniczyli Orlan i Gracjusz. Oleg ich również zapytał o zdanie. Odmówili wypowiedzenia

własnych opinii, gdyż uznali, że nie mają wystarczających informacji po temu. Sam Oleg również powstrzymał się od głosu, zwracając się na koniec do mnie.

- Interesuje nas twoje zdanie, Eli - powiedział. - Jesteś kierownikiem naukowym wyprawy, wiec twoja opinia będzie decydująca.

- Moja opinia nie może o niczym decydować - oświadczyłem - gdyż zgadzam się ze wszystkimi po trosze. Wszystkie zdania są jednakowo uzasadnione, wiec nie mogę zdecydowanie przychylić się do żadnego z nich. Najbliższa mi jest analiza Kamagina i pragnienia Osimy. Ale nie zaryzykowałbym działania według ich programu. Dlatego popieram poprzednią decyzje dowódcy, aby kontynuować badania, zaś ostateczną decyzje odłożyć do wyjaśnienia.

- Wobec tego kontynuujemy lot w kierunku jądra - podsumował Oleg. - Nie wtrącamy się do lokalnych potyczek, tylko je obserwujemy.

Po naradzie Kamagin powiedział do mnie z wyrzutem w głosie:

- Eli, dawniej był pan bardziej zdecydowany! I nie zgadzał się pan skwapliwie ze wszystkimi, lecz zawsze podejmował własne decyzje i to czasem tak szalone, że człowiek dostawał zawrotu głowy. Zestarzałeś się, admirale!

Popatrzyłem na niego z czułością. On się nie zestarzał. Choć najstarszy z nas wszystkich, wciąż był tym samym odważnym młodzieńcem, którego wypisane złotymi głoskami imię otwiera w Panteonie długą listę wielkich galaktycznych kapitanów. Serdecznym gestem położyłem mu rękę na ramieniu:

- Drogi Edwardzie, ja naprawdę zaczynam bać się własnego cienia, ale nie potrafię zapomnieć o tym, że wyruszyliśmy na poszukiwanie Ramirów, tajemniczego narodu, o którym wiemy tylko to, że jest potężniejszy od nas. A może wydarzenia, których byliśmy świadkami, są formą ich działalności w okolicach Kosmosu przylegających do jądra Galaktyki?

Kamagin słuchał mnie ze sceptyczną miną:

- Rozumna cywilizacja zajmująca się niszczeniem gwiazd, skazując w ten sposób na zagładę wszystkie formy życia w ich układzie? Rozum niweczący rozum? Czy to w ogóle możliwe?

- Nie wiem. A może Ramirowie mają konkurentów? Może okolice jądra zamieszkuje kilka wrogich sobie nawzajem potężnych cywilizacji? Mówił pan o niszczeniu zasiewów i zatruwaniu rzek przez naszych odległych przodków. Może wiec to palenie gwiazd jest jakimś ekwiwalentem burzenia pogranicznych fortów? Wedle stawu grobla...

- No dobrze, wobec tego będziemy na razie dreptali wokół naszej kałuży (ja też zaraziłem się od Romera!) i bali się każdej żaby - powiedział na pożegnanie Kamagin, uśmiechając się przyjaźnie, abym nie poczuł się zbytnio jego słowami urażony.

Olga odwiedziła Irenę, a potem przyszła do nas.

- Jesteś zadowolony z mojej córki, Eli? - zapytała.

- To raczej ją powinnaś zapytać, czy jest zadowolona ze mnie - zażartowałem. - Wprawdzie za mną nie przepada, ale jak na razie się nie kłócimy. Coś więcej o Irenie mógłby powiedzieć Oleg.

- Rozmawiałam z nim. Nie ma Irenie nic do zarzucenia, ale oświadczył mi to zbyt oficjalnym tonem. Niepokoi mnie, że coś się miedzy nimi zepsuło.

- To coś nazywa się Ellon - wtrąciła się do rozmowy Mary - prawda, Eli?

- Irena pochłonięta jest pracą w laboratorium - odparłem wymijająco - i pewnie dlatego nie może już poświęcać Olegowi tyle uwagi.

Dowódcy wrócili na swe gwiazdoloty, Oleg rozkazał uruchomić anihilatory Taniewa i eskadra ruszyła w dalszą podróż. Czerwona z jej ginącą planetą pozostała za nami.

CZĘŚĆ DRUGA
Ginące światy

1.

Oleg wezwał mnie na stanowisko dowodzenia. Gdy tam przyszedłem przy sterach siedział Osima, a Oleg rozmawiał z Ellonem. Musiało zajść coś naprawdę ważnego, jeśli Oleg zaprosił Ellona do siebie, a ten zdecydował się porzucić laboratorium.

Na ekranach dalekiego zasięgu, niewyraźne wśród nieskończonych mgławic, rysowało się jądro Galaktyki, do którego pozostało już niespełna trzy tysiące lat świetlnych. Z boku migotała plamka gromady kulistej. Ten widok nie wydał mi się niezwykły, gdyż obserwowałem go już od co najmniej tygodnia.

- Przed nami wprost na kursie mamy jamę w przestrzeni, gdyż im bliżej podlatujemy do jądra, rym bardziej się ono od nas oddala. Wniosek z tego jest jeden: zapadamy się w jakąś nieciągłość metryki.

- Czy to znaczy, że lecąc dotychczasowym kursem nie dotrzemy do jądra? - zapytałem.

- Światło jądra do nas dociera - odparł Oleg - ale to nie znaczy, że przebijemy się do niego po prostej. Może się przecież okazać, że w jamie nie ma przestrzeni fizycznej, którą można anihilować w generatorach Taniewa. Wówczas ugrzęźniemy bezpowrotnie w bezdennej otchłani.

- O ile dobrze pamiętam teorie Ngory - powiedziałem - nieciągłość metryki może również tłumaczyć spowolnienie czasu w tych okolicach.

Odpowiedział mi Demiurg:

- To byłoby jeszcze gorsze, admirale, gdyż z jamy czasowej nie ma wyjścia. Jestem zdecydowanie przeciwny kontynuowaniu dotychczasowego kursu.

- Pozostaje nam zatem jedynie droga okrężna przez gromadę kulistą! - zakonkludował Oleg.

- Dlaczego? - zdziwiłem się. - Dlaczego nie możemy wytyczyć kursu omijającego te gromadę przez czysty Kosmos? Czy coś tam nam grozi?

- Właśnie. MUK sygnalizuje, że okolice jądra obfitują w nieciągłości metryki, w takie same jamy przestrzenne, jaka rozwiera się wprost przed nami.

- Czy mogę odejść? - zapytał Demiurg. - Nie mam nic więcej do powiedzenia na ten temat.

Ellon wyszedł, a ja wraz z Olegiem wpatrywałem się w ekran dalekiego zasięgu, na którym migotała niewielka plamka roju gwiezdnego. Analizatory wykryły go przed niespełna dwoma tygodniami i przez ten czas, lecąc w obszarze nadświetlnym, zbliżyliśmy się do niego o jakieś sto lat świetlnych. MUK wiedział już o nim niemało: gromada kulista o średnicy około dwudziestu lat świetlnych i zawierająca około pięciu milionów gwiazd przeważnie starych. Oddala się od jądra prostopadle do płaszczyzny Galaktyki z prędkością 50 kilometrów na sekundę. Szybkość pozornie niewielka, ale jeśli zważyć, że gromada istniała od co najmniej dwustu milionów lat, co w skali kosmicznej jest czasem względnie krótkim, to gromada nie tyle przemieszczała się w przestrzeni, ile panicznie uciekała z Galaktyki!

MUK stwierdził jeszcze jedno: morderczy promień, który spalił Czerwoną, wystrzelił najprawdopodobniej z tej właśnie gromady, gdyż na jego trasie nie było innych ciał niebieskich, które mogłyby go wygenerować. I ta gromada była jedyną furtką do jądra!

- Nie mamy innego wyjścia? - zapytałem Olega.

- Nie mamy - przytaknął z westchnieniem. Eskadra ruszyła nowym kursem.

Wielokrotnie opisywałem gwiezdne niebo w rozproszonych gromadach Plejad i Perseusza. Teraz chciałbym, nie obawiając się powtórzeń, opowiedzieć ze szczegółami, jak wyglądał nowy dla mnie krajobraz gwiezdny. I jeśli tego nie czynie, to tylko dlatego, że prawdziwego piękna nie da się wyrazić słowami. Musze jednak zatrzymać przy jednym szczególe, który stanowi o istocie zjawiska nazywanego kulistą gromadą gwiezdną. Otóż przestrzeń wewnątrz niego jest absolutnie przezroczysta, tak przezroczysta, że puste okolice Kosmosu wydają się w porównaniu z nią mętne i zadymione. Na widok tej krystalicznej przejrzystości rozświetlonej iskrami gwiazd nawet człowiekowi najdalszemu od poezji przychodziło na myśl określenie: muzyka gwiezdnych sfer.

Wokół wielu gwiazd krążyły planety, z których każdą starannie choć z daleka badaliśmy. Na planetach panowały warunki wręcz idealne dla rozwoju życia białkowego: umiarkowane promieniowanie słoneczne, atmosfera zbliżona do ziemskiej, odpowiednie proporcje wód i lądów. Ale na żadnej z nich nie było nawet śladu rozumnej cywilizacji, nie było nawet najprymitywniejszych przejawów życia. To były niezmiernie piękne, ale całkowicie martwe światy. Mary chciała zaszczepić życie przynajmniej na jednej planecie, ale nie mieliśmy na to czasu pędząc ku bramie do innego świata. Brama zdawała sie szeroko otwarta, ale co czekało nas za nią?

Zadaniem Ellona było poszukiwanie na planetach gromady kulistej mechanizmów generujących śmiercionośne promienie, ale mimo usilnych starań nie wykrył nawet śladu superlasera. Co więcej, nie wykrył najniklejszych bodaj dowodów na istnienie potężnej cywilizacji, zdolnej do stworzenia takiej tytanicznej broni. I tak małym ciągiem anihilatorów mknęliśmy przez cudowny, pusty, niczyj świat, zapylając jego krystaliczne przestwory spopieloną w generatorach przestrzenią i bez skutku

wsłuchując sie w cichy szmer wyładowań w głośnikach. Kosmos milczał.

2.

Przemknęliśmy przez gwiezdne wrota jądra i znów znaleźliśmy się w zamglonej przestrzeni. Olga sporządziła kolejne obliczenie, z którego wynikało, że masa materii rozpylonej w przestrzeni jest o wiele wyższa od masy wszystkich tutejszych gwiazd. Rezultat obliczeń zdziwił ją i ucieszył, gdyż z niczym podobnym do tej pory się nie zetknęła. Ja nie zdziwiłem się. ani nie ucieszyłem, bo nie lubię kurzu ani na Ziemi, ani w Kosmosie. Mary wykrzyknęła z irytacją:- Nie rozumiem, dlaczego mianowano cie kierownikiem naukowym wyprawy! Przecież ciebie nie interesują żadne nowe fakty!

- Za to kocham uczonych i potrafię znieść każde ich odkrycie, a to już dużo - odparłem. - Poza tym masz racje, interesują mnie i cieszą tylko fakty pomyślne.

Gdy się tak z nią przekomarzałem w prawo od kursu pojawiło się jakieś ciało kosmiczne, prawdopodobnie gwiazdolot. W tym pustym zakątku Kosmosu mogliśmy spodziewać się wszystkiego, tylko nie obcego statku, ale analizatory twierdziły uparcie, że jest to sztuczna konstrukcja.

Poszedłem na stanowisko dowodzenia. To istotnie był gwiazdolot, a nie martwy kosmiczny włóczęga. Statek pędził w naszą stronę z nieprawdopodobną prędkością. W tym momencie Olga nadała ze swego statku jeszcze bardziej nieprawdopodobną wiadomość: jej MUK stwierdził, że obcego gwiazdolotu nie ma!

Oleg pospiesznie przeprowadził odpowiednie obliczenia i potwierdził te wiadomość.

- Bzdura! - wykrzyknąłem ze złością. - Mam serdecznie dosyć zjaw i duchów. Chyba że to znowu jakiś fantom, tym razem kosmiczny, ale nie planetarny.

- Fantomy są tworami fizycznymi, realnie istniejącymi obiektami, udającymi inne realnie istniejące obiekty - zauważył Oleg. - A tego statku po prostu nie ma, chociaż wyraźnie go widzimy.

Nasz MUK jeszcze raz sprawdził doniesienie Olgi. I znów okazało się, że przestrzeń wokół nas jest kompletnie pusta, że w naszą stronę pędzi niematerialna zjawa. Udałem się do laboratorium Ellona.

Zastałem już tam Orlana, Gracjusza i smoka jak zwykle rozciągniętego pod wolną ścianą sali. Ełlon zawzięcie perorował, lecz na mój widok umilkł.

- Ellonie - powiedziałem - na ekranach widzimy obce ciało, ale pola poszukiwawcze nie wykazują jego obecności. Czy potrafisz przystępnie wytłumaczyć mi ten paradoks?

- Przystępnie nie potrafię - odparł Demiurg z lekką pogardą.

- A nieprzystępnie?

- Obserwowany przez nas gwiazdolot nie istnieje w naszym czasie.-

Wymieniłem spojrzenia z Gracjuszem i Orlanem, potem spojrzałem na smoka. Rozumieli nie więcej niż ja. Opodal siedziała Irena i to, z jakim zapałem potakiwała każdemu słowu Ellona zdawało sie świadczyć o tym, że przynajmniej dla niej wszystko jest jasne i oczywiste.

- Nie istnieje w naszym czasie? W jakim zatem u diabła, czasie ta zjawa pędzi w naszym kierunku?!

- Dla nas pędzi ona z naszej przyszłości w naszą teraźniejszość.

- A nie z przeszłości w teraźniejszość? - zapytałem bezradnie, bo wyjaśnienie Ellona było z gatunku tych, które raczej zaciemniają sytuację.

- Z przeszłości w teraźniejszość pędzimy my. A ściślej mówiąc nieustannie odsuwamy naszą teraźniejszość ku przeszłości. Czas związany jest z nami na zasadzie reakcji: popycha nas ku przyszłości, a sam oddala się w przeszłość. Ruch obcego jest niczym strzał z przyszłości w teraźniejszość. Jego czas nie odbija się od niego, lecz pędzi wraz z nim jak gazy prochowe w lufie armaty pędzą za pociskiem.

- Strzał z przyszłości? - zastanowiłem się nad tym porównaniem. - Ale przecież widzimy obcy gwiazdolot, widzimy go w naszej teraźniejszości już od dwóch godzin, a przez ten czas ówczesna teraźniejszość stała się już przeszłością. Innymi słowy statek istnieje w teraźniejszości i przeszłości, a nie w przyszłości! - powiedziałem triumfalnie.

Demiurg jednak dobrze przemyślał swoją koncepcje.- Widzimy w teraźniejszości jego cień - powiedział - cień padający z przyszłości i poprzedzający pojawienie się realnego obiektu. Cień zmniejsza się, a zatem gwiazdolot zbliża się ku nam z przyszłości. Kiedy ów cień pokryje się z obiektem, siatek pojawi sie realnie.

- Nie przeskoczy z teraźniejszości w przeszłość?

- Sądzę, że zabraknie mu energii, aby pokonać temporalne zero zwane również „teraźniejszość”, „obecnie” lub „współczesna chwila”.

- Słyszysz, Olegu? - zapytałem przez stereofon. -Jeśli hipoteza Ellona jest słuszna, to zderzenie eskadry z obcym gwiazdolotem nie grozi żadnym niebezpieczeństwem, gdyż zetkniemy się z nim w punkcie, w którym teraz się znajdujemy, podczas gdy on sam pozostanie w naszej przyszłości. Rozumiesz to?

Oleg odparł, że postara się uniknąć kontaktu z obcym statkiem bez względu na to, w jakim czasie ten istnieje.

A niebawem nastąpiło spotkanie, i to dokładnie takie, jak przewidział Ellon.

Oleg uformował eskadrę w pierścień, ku środkowi którego pędził obcy statek. Właściwie nie pędził, tylko leciał coraz wolniej, by wreszcie zatrzymać się w pewnej odległości od płaszczyzny naszego szyku i zawisnąć nieruchomo w przestrzeni: widocznie dotarł do punktu, w którym rozpoczęła się inwersja czasu i to było akurat nasze „teraz”.

Eskadra otoczyła obcy statek i czekała aż się realnie pojawi, gdyż nadal nasze pola poszukiwawcze nie stwierdzały jego fizycznej obecności. I nagle obcy wtargnął do naszego czasu.

Wyraźnie teraz widoczny gwiazdolot przypominał ślimaka zwiniętego z potrójnych spiralnych pierścieni. Ani ludzie, ani Demiurgowie i Galaktowie nie znali podobnych konstrukcji. Aparat był całkowicie przezroczysty, jakby nie posiadał żadnej powłoki i zbudowany był wyłącznie z migotliwego gazu, zwiniętego przez nieznane siły w trzypiętrową spirale. Jedynie na ostrzu ślimaka wznosiła się ciemna narośl wielkości naszej sali zebrań, najwidoczniej pomieszczenia załogi. MUK doniósł, że znajdują się w niej jakieś nieprzejrzyste ciała.

Po raz pierwszy zobaczyłem zdumionego Ellona.

- Eli! - wykrzyknął Demiurg, zapominając o moim tradycyjnym tytule. - Eli, czy pan wie, co to jest za bryła? To dokładny odpowiednik ślimaka grawitacyjnego, przy pomocy którego wypchnąłem z naszej przestrzeni drapieżną planetę!

Smok był zdumiony nie mniej od Ellona:

- To nieprawdopodobne! - wykrzyknął. - A zatem mogą istnieć konstrukcje, które same sobie potrafią dać grawitacyjnego kopniaka!...

Gwiazdolot nie reagował na żadne sygnały i nic nie wskazywało na to, że w ogóle zostaliśmy przezeń zauważeni. Gracjusz wyraził przypuszczenie, że statek jest istotą żywą, która zginęła podczas lotu pod prąd czasu. Po spotkaniu z drapieżnymi planetami ta jego hipotezą nikogo nie zaskoczyła.

Oleg polecił wysłać planetolot w pobliże obcego statku. Dowodzący nim Osima obleciał ślimaka wokół, wysondował go polami, ale nie odnalazł żadnego włazu. Wówczas postanowił oddzielić kabinę od reszty konstrukcji. Operacja się powiodła, ale kadłub z migotliwego gazu rozpadł się, zamienił w rzadką chmurkę ciemnego pyłu.

- Planetolot przybił do kei „Koziorożca”. Dziarski Osima wykrzyknął rubasznie:

- Przywiozłem akwarium! Obcy astronauci są w środku, ale niestety martwi i to martwi od wielu milionów lat, jeśli Ellon się nie myli i mamy do czynienia nie z gwiazdolotem, lecz z maszyną czasu!

Wewnątrz kabiny leżało sześć ciał. Martwych, choć niegdyś bez wątpienia były to istoty żywe. Przezroczyste ścianki kabiny przypominały ekrany siłowe rozpięte na równie przezroczystym szkielecie.

Kabinę najlepiej będzie rozmyć - powiedziała Irena. - Zrobią to bez trudu nasze generatory pola ochronnego pracujące na biegu rewersyjnym.

- Istotnie, pompy siłowe z łatwością wchłonęły ściany kabiny i martwe ciała wypadły na zewnątrz. Nic nie wskazywało na to, aby śmiertelna dla obcych astronautów katastrofa miała zdeformować ich

ciała. Ale i tak były to bardzo dziwne istoty!

Przypominały po trosze nas wszystkich - ludzi, Demiurgów, Galaktów, anioły a nawet smoki - i był jednocześnie nieskończenie od nas inne: każda miała głowę, twarz i włosy na głowie, ale te włosy miały grubość palca i przypominały węże; miała oczy, ale tych oczu było troje... Każda z tych istot miała również okrągły otwór pełniący role ust, w tej chwili u każdej z nich półotwarty.

Niewielka głowa spoczywała na potężnym czarnym ciele pająka, opierającym się na dwunastu opatrzonych w osiem stawów nogach grubości ludzkiej ręki.

- Żywe! - wykrzyknął podniecony Lusin, rzucając się ku jed-

nej z rozpostartych na podłodze istot. Rusza sie!

Gracjusz pospiesznie chwycił go za rękę i zatrzymał. Z potężnych rąk Galakta Lusin nie mógł się wyrwać, ale coraz głośniej wykrzykiwał, że jeden z obcych żyje.

Teraz i ja zobaczyłem, że jedna z nóg pająkokształtnego poruszyła się, a potem drgnęły też weężowłosy na jego głowie. Nieznajomy spróbował unieść się z ziemi i znowu upadł. Dwoje jego dolnych oczu otwarło się z wysiłkiem, popatrzyło na nas nieprzytomnie i znów się zamknęło. Po czyrrrastronautu znów stracił przytomność.

- Pozostała piątka jest martwa, ale tego da się chyba jeszcze ocucić - powiedział Oleg. - Gdzie go umieścimy?

Ellon poprosił, żeby pozwolono mu zabrać przybysza do siebie. Wprawdzie jego laboratorium jest dość ciasne, ale dla takiej niecodziennej istoty miejsce zawsze się znajdzie. A ponadto reanimacja pająkokształtnego może wymagać urządzeń technicznych, których nie ma gdzie indziej na statku.

Oleg zgodził się z argumentacją Demiurga, zaś Romero zwrócił się do obecnych:

- Szanowni przyjaciele, czy pozwolicie, że naszym nowym dwunastonogim znajomym nadam nazwę Aranów?

Zapytaliśmy go, dlaczego wybrał właśnie te nazwę, na co Romero wyjaśnił, że słowo „aran" w starożytnych jeżykach ziemskich kojarzy się w jakiś sposób z wizerunkiem pająka, a obcy bez wątpienia przypominają pająki.

- Przypominają również Altairczyków - zauważyłem - tyle że tamci są znacznie sympatyczniejsi.

- Sympatyczniejsi, bardziej przyjaźni i niewątpliwie o wiele niżej rozwinięci od Aranów zakonkludował Paweł.

Później wielokrotnie wspominałem z jaką precyzją Romero na pierwszy rzut oka określił charakter pająkokształtnych.

3.

Aran stał na dwunastu nogach z główką pochyloną na bok. Z daleka wydawało się, że jest td jego naturalna poza, że lada chwila ruszy z miejsca i pobiegnie przebierając szybko odnóżami. Ale wystarczyło lekko osłabić podtrzymujące go pole, aby pająkokształtny natychmiast się przewrócił. Był wciąć nieprzytomny czy też przebywał poza czasem, jak pół żartem utrzymywał Gracjusz, któremu podobnie jak i mnie przypadła do gustu teoria Ellona o inwersji czasu.

Dzień, w którym Aran otworzył oczy, zapamiętali wszyscy bez wyjątku. Od spotkania z obcym statkiem upłynął już ponad miesiąc, kiedy wstąpiłem do laboratorium Ellona, żeby z nim porozmawiać. W pewnym momencie usłyszeliśmy okrzyk Ireny:

- On lata! Ellonie, Eli! Aran unosi się w powietrzu.

Aran rzeczywiście latał. I nie tylko biernie unosił się w powietrzu, lecz szybko sunął w naszym kierunku. Odskoczyliśmy do tyłu. Mnie przeraziło trzecie oko pająkokształtnego, które po raz pierwszy zobaczyłem otwarte. Oko to nie patrzyło, lecz przenikliwie świeciło. Wzrok dwojga dolnych oczu był zwyczajny, mądry, nieco smutny, ale nic ponadto. Później dowiedzieliśmy się, że górne oko Aranów może oślepiać promieniem zbliżonym do laserowego.

Ellon pospiesznie wzmocnił pole ochronne, które odepchnęło Arana i rzuciło go na podłogę. Demiurg tłumaczył się potem, że obawiał się ataku potwora. Sądzę, że postąpił prawidłowo. Skutki inwersji czasu jeszcze nie przeszły, zatem mózg Arana był jeszcze daleki od zwykłej sprawności. Wspomnę przy okazji, że w normalnym stanie Aranowie nie przedstawiają niebezpieczeństwa dla Ziemian i Demiurgów, jeśli są niezbyt liczni.

Ellon osłabił pole, zaś Aran podciągnął rozpełzające się nogi i znów uniósł się w powietrze, przy czym najwyraźniej zamierzał zbliżyć się do nas.

- Włącz z łaski swojej deszyfrator - poprosiłem Irenę. - Może uda się nam znaleźć wspólny jeżyk.

Następnie zwołałem do laboratorium wszystkich eksploratorów. Przyszła Mary, Lusin, Romero, Orlan, Gracjusz, zjawił się Włóczęga, który zatrzymał się z ogonem w* korytarzu, ale Aran uniósł się wyżej i s nok wygodnie wyciągnął swą długą szyje akurat pod nim.

Irena uruchomiła deszyfrator na wszystkich zakresach, ale kontaktu nie było. Jeśli nawet Aran generował jakieś sygnały, to do nas one nie docierały. Irena powiedziała zrozpaczonym tonem:

- To niewątpliwie istota rozumna, ale nasze odbiorniki nie są w stanie go zrozumieć.

- Za to, jak mi się wydaje, on sam doskonale nas rozumie bez dodatkowych urządzeń - powiedział Orlan, którego, podobnie jak mnie, zastanowiło myślące spojrzenie dolnych oczu Arana i przenikliwy blask trzeciego.

Zirytowała mnie zabawa z deszyfratorem, wiec wstałem z miejsca. Podniosła się również Mary, podeszła do mnie i razem zbliżyliśmy się nie dalej jak na krok do pająka-kosmonauty. Najwidoczniej zmobilizowała nas do tego uwaga Orlana i oburzenie na to, że choć przybysz najwyraźniej doskonale nas rozumiał, być może nawet beznamiętnie badał, my, niczym króliki doświadczalne czekaliśmy pokornie aż eksperymentator zechce w niezmiernej swej łaskawości przemówić do nas badaj słowem. Nie wiem, czy udało mi się precyzyjnie oddać mój ówczesny nastrój, ale jestem pewien jednego: gotowałem się z wściekłości.

Przerażona Mary chwyciła mnie za rękę:

- Eli, co się z tobą dzieje?

- Daj mi spokój! - warknąłem przez zęby. - Chce pokazać temu gwiezdnemu włóczędze, że spotkał sie z siłą wyższą, a nie z głupimi zwierzakami!

Zaraz jednak zawstydziłem się, że dałem się ponieść niekontrolowanym emocjom niegodnym człowieka, a już zupełnie niewybaczalnym dla kierownika wyprawy gwiezdnej. Gotów już byłem przeprosić wszystkich za mój wybuch, gdy zauważyłem, iż górne oko Arana przygasło i nie różniło się już niczym od dwóch pozostałych. Odwróciłem się na piecie i powiedziałem, starając się na nikogo nie patrzeć:

- Pójdę już. Kontakt z pająkokształtnym niewątpliwie nastąpi, chociaż trzeba będzie chyba jeszcze nań trochę poczekać.

Nie zdążyłem jednak zrobić nawet trzech kroków w stronę drzwi, kiedy rozległ się głos przybysza. Aran mówił nienaganną ziemszczyzną

Nie, to nie była mowa w ścisłym tego słowa znaczeniu, mowa kojarząca się z drganiami powietrza nazywanymi dźwiękiem. Głos Arana rozlegał się bezpośrednio w głowie każdego z nas, wywoływał w mózgach rodzenie się właściwych słów i zdań. Jeśli uda się nam kiedykolwiek wrócić na Ziemie, specjaliści z pewnością rozszyfrują mechanizm, dzięki któremu Aran potrafi kontaktować się z każdą myślącą istotą.

- Rozumiem was - zwrócił się do każdego z obecnych w jego rodzimym jeżyku. - Teraz i wy będziecie mnie rozumieć. Jestem uciekinierem z Ginących Światów. Było nas sześciu. Chcieliśmy odwrócić nasz czas, dotrzeć do odległych czasów i pozostać w nich. Nie udało się to nam i znów spadliśmy do naszego czasu. Moi towarzysze zginęli przy pierwszym nawrocie, nie znieśli przyszłości, gdyż mogli żyć tylko w swym własnym czasie. Ja ocalałem, lecz straciłem na długo przytomność. Uratowaliście mnie. Zadawajcie pytania.

Słuchaliśmy pająkokształtnego astronauty z niezmiernym zdumieniem, które mnie osobiście mocno zaskoczyło. Przecież spotykaliśmy już istoty o jeszcze dziwaczniejszym wyglądzie, a i bezpośrednie przekazywanie myśli z mózgu do mózgu też w końcu nie było niczym nadzwyczajnym: nie inaczej w swoim czasie komunikował się ze mną Orlan. Wreszcie zrozumiałem, że to, co brałem za zdziwienie, było lekiem, poczuciem zagrożenia ze strony Arana, który wprawdzie ugiął się przed „siłą wyższą" ale wcale nie zrezygnował z walki.

Pierwszy opanował się Romero.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, admirale - powiedział - wezmę na siebie ciężar rozmowy z szanownym wędrowcem w czasie. - I zwrócił się do Arana: - A zatem, drogi gwiezdny przybyszu, jest pan uciekinierem z Ginących Światów. Czy moglibyśmy się zatem dowiedzieć co to są owe Ginące Światy?

W mózgu każdego z nas rozległa się odpowiedź:- Wkrótce je zobaczycie, gdyż wasz kurs prowadzi wprost na Ginące Światy.

- Należy pan do mieszkańców Ginących Światów?

- Zamieszkują je tacy jak ja i moi polegli towarzysze.

- Jeśli można, wrócę jeszcze później do natury waszych siedlisk, teraz jednak interesuje mnie inny problem. Ucieka pan ze swych Ginących Światów z jakichś sobie tylko znanych powodów, których nie zamierzamy dociekać. W porządku. Ale czemu wybrał pan taką niecodzienną metodę jak inwersja czasu?

- Nasze światy zostały dotknięte chorobą czasu. Nasz czas jest gąbczasty, zetlały i często się rwie. Odnajduje w waszych mózgach nazwę straszliwej choroby szalejącej niegdyś w waszych światach. A wiec nasze światy toczy rak czasu.

- Rak czasu! - wykrzyknęliśmy niemal chórem

- Tak! Ta nazwa najlepiej oddaje istotę choroby czasu w Ginących Światach. Chcieliśmy wyrwać sie z chorego czasu w jakikolwiek inny, przeszły lub przyszły, byle zdrowy. Skorzystaliśmy z tworzącego sie właśnie kolapsaru, dokonaliśmy zgodnie z zamierzeniem inwersji, ale przyszłość nas odrzuciła.

- To smutne, mój drogi... Przepraszam, jak mam się do pana

zwracać?

- Nazywajcie mnie Oanem, to imię akurat odpowiednie dla pańskiego jeżyka.

- Wracając do tematu naszej rozmowy, postanowiliście w szóstkę uciec z waszego czasu i waszego społeczeństwa?

- Z czasu, ale nie ze społeczeństwa. Byliśmy wysłańcami odsuwaczy końca.

- Odsuwaczy końca?

- Tak, dobrze mnie pan zrozumiał. Odsuwacze końca to nasi bracia, którzy wysłali nas na poszukiwanie dróg do zdrowego czasu. Naszymi wrogami są przyspieszacze końca, których zachwyca perspektywa rychłej zguby.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, to miedzy tymi dwoma grupami panuje niezgoda?

- Wojna! - zabrzmiała odpowiedź. - Odsuwacze biją się z przyspieszaczami, żeby przeszkodzić im w przyspieszaniu, ci zaś napadają na odsuwaczy, żeby nie odsuwali końca. Przyspieszaczy popiera Ojciec Akumulator.

- Ojciec Akumulator? U nas to słowo oznacza urządzenie techniczne, nie zaś istotę żywa!

- Znalazłem je w waszych mózgach. Słowo to dobrze oddaje naturę władcy, dawcy życia i tyrana realizującego groźną wole Okrutnych Bogów.

Romero popatrzył na mnie oszołomionym wzrokiem. Wiedziałem co go dręczy: nie jakieś tam spory cudacznych odsuwaczy z przyspieszaczami, lecz to w jakiej formie toczyła się sama rozmowa. Zgniewała mnie ta jego rozterka, wiec powiedziałem:

- Pawle, stara się pan być uprzejmy wobec tego pająka, wypytywać możliwie jak najdelikatniej, żeby nie urazić jego uczuć, a on śmieje się w kułak, bo zawczasu zna odpowiedzi na pytania, o których jeszcze nawet nie zdążyliśmy pomyśleć.

Mówiłem to nie odrywając wzroku od Arana, który spokojnie unosił się w powietrzu, gestykulując jedynie - słowo „gestykulacja" wydaje mi się tu najodpowiedniejsze - wężowłosami porastającymi jego głowę. Romero wspomniał mi potem, że podobne włosy miały dawno wymarłe gorgony. Sądzę, że koloryzował, gdyż chociaż dobrze znam ziemskie muzea zoologiczne w żadnym z nich nie widziałem bodaj wizerunku gorgony.

Oan doskonale wiedział, o co mi chodzi, ale ani myślał spełniać mego życzenia. Romerowi nie pozostawało wiec nic innego jak kontynuować wypytywanie:

- Mamy zatem odsuwaczy i przyspieszaczy końca, dawce życia i tyrana Ojca Akumulatora, wreszcie Okrutnych Bogów... Nie jestem pewien czy ziemskie określenie „bóg" jest odpowiednie dla realnych istot z waszego świata. Nasi bogowie są tworami fantazji nie posiadającymi rzeczywistych odpowiedników. Rozumie mnie pan, szanowny Oanie?

- Tak. Pojecie „bogowie" zaczerpnięte z pańskiego mózgu całkowicie odpowiada naturze samowładców Trzech Mglistych Słońc. Trzeba jedynie dodać epitet „okrutni" (słówko „epitet" zabrzmiało wyraź nie w moim mózgu), bowiem ci samowładcy są pozbawieni litości. Przyspieszacze są posłuszni nakazom Okrutnych Bogów, odsuwacze zbuntowali się przeciwko nim.

- Widział pan kiedykolwiek któregoś z Okrutnych Bogów?

Wnoszę bowiem, że jest ich wielu.

- Tak. Jest ich wielu i mogą przybierać każdą postać. Okrutni Bogowie wiedzą o nas wszystko, ale nie pozwalają, abyśmy wiedzieli cokolwiek o Nich. Wasze słowa „szatański spryt" dokładnie wyrażają ich stosunek do nas. Są bogami zagłady, bogami-diabłami. Byliśmy niegdyś wielkim narodem, a teraz staliśmy się nędznym plemieniem, bo taka była Ich wola.

- Rozumie pan coś z tego, Eli? - zapytał Romero.

- Tylko jedno; istnieje potężna cywilizacja, która niezbyt się patyczkuje z Aranami. Być może są to Ramirowie, których szukamy. W każdym razie wedle słów Oana cywilizacja ta nie przedstawia się w najlepszym świetle.

Romero wyczerpał swoje pytania i rozmowa stała się ogólna. Jedynie Włóczęga, Ellon i ja nie zadawaliśmy Oanowi żadnych pytań. Smok zawsze wolał słuchać i analizować, Ellon czuł się najwyraźniej urażony, że przestał być ośrodkiem powszechnego zainteresowania, co zaś do mnie, to wszystkie pytania, które mi się nasuwały, zadali już przede mną inni, dzięki czemu mogłem wytworzyć sobie obraz świata Aranów.

Pająkokształtni zamieszkiwali drugą planetę spośród dziewięciu obiegających Trzy Mgliste Słońca, najprawdopodobniej gwiazdę potrójną. Na pozostałych ośmiu planetach życie się nie rozwinęło. Zachowały się podania o tym, że niegdyś Trzy Słońca były jasne i czyste, a sami Aranowie tworzyli potężny naród. Udało się im pokonać przyciąganie planetarne i wyruszyć w przestrzeń kosmiczną. Kunszt budowy statków galaktycznych został już dawno temu utracony i jeden tylko pojazd zachował się w grotach Ojca Akumulatora. Ten właśnie aparat porwali odsuwacze, kiedy postanowili spróbować ucieczki w przyszłość.

Przez wiele tysiącleci nikt nie słyszał o Okrutnych Bogach, aż pojawili się nieoczekiwanie, rozmącili Jasne Słońce, zasnuli duszącym pyłem planetę. Burze elektryczne zaczęły wysysać energie z ciał Aranów tak skutecznie, że po każdej burzy powierzchnia globu pokrywała się tysiącami ich zwłok.

Aranowie próbowali walczyć, budować statki pochłaniające pyły kosmiczne, które gromadziły rozproszoną materie, rosły i stopniowo przekształcały się w niewielkie planetki. Dwie takie sztuczne planety zbliżyły się. do Trzech Mglistych Słońc i zaczęły spychać pył na te gwiazdy. Do tego momentu Aranowie zupełnie nie interesowali potężnych przybyszów. Teraz zaczęli działać. Statki-wymiatacze zostały zniszczone w stoczniach i w kosmosie, a gwiazdoloty, które zdążyły już przekształcić się w planety wyrzucone poza granice układu. Teraz krążą gdzieś, pochłaniając napotkany po drodze pył i niszcząc niewielkie ciała kosmiczne, gdyż zostały skonstruowane w ten sposób, że jedynie stały dopływ materii utrzymuje te nibyistoty przy życiu.

- Jeden z tych kosmicznych drapieżców napadł na nas - zauważył Romero - ale go odrzuciliśmy.

- Lepiej byłoby, gdybyście go zniszczyli - powiedział Oan. - Taki statek po wyjściu spod kontroli może sprowadzić wiele nieszczęść.

Po zniszczeniu kosmicznych odkurzaczy uległy zagładzie również zwyczajne gwiazdoloty, które przed dalekimi rejsami akumulowały energie na niskiej orbicie wokół Trzech Słońc. Teraz eksplodował każdy statek, który tylko się do nich zbliżył. Kilka gwiazdolotów wyruszyło ku innym słońcom, ale wkrótce łączność z nimi się przerwała. Prawdopodobnie również zginęły.

Aranowie zrezygnowali z lotów kosmicznych, przypadli do ziemi i czekali, aż okrutni władcy, którzy tak niespodziewanie zjawili się w ich świecie, równie nagle go porzucą. Niestety, Okrutnym Bogom nie spodobał się miarowo płynący, prostoliniowy czas Aranów, zaczęli go wiec skłębiać i wyginać, strzępić i rozdzielać na włókienka. Granice czasu przebiegały czasem przez ciało Arana, które zaczynało żyć równocześnie w przeszłości i przyszłości, starzeć się i młodnieć zarazem.

Świadomość nieuchronnego końca zrodziła wśród nie zarażonych jeszcze rakiem czasu rozpaczliwy bunt przeciwko Okrutnym Bogom. Za późno. Na słabnącą, wymierającą społeczność Aranów spadły raz jeszcze nieokiełznane burze elektryczne. Dawniej pająkokształtni swobodnie pochłaniali energie elektryczną - jedyny ich pokarm, jeżyk i sposób myślenia - a teraz pokarmu było zbyt dużo, gdyż wyrzucała go z siebie nieustannie groźna Matka Błyskawic, zatapiająca wszystko strumieniami energii.

Wtedy właśnie zrodził się ruch przyspieszaczy końca. Lepszy tragiczny koniec niż tragedia nie mająca końca - takie było ich rozpaczliwe wyznanie wiary, której wyrazem stały się uroczyste samospalenia w elektrycznym ogniu czerpanym z zasobów Ojca Akumulatora, jedynego źródła energii na planecie. Dawca życia zamienił się w kata.

- Odsuwacze są w naszym świecie nieliczni - zakończył Oan. - Wierzymy jednak, że koniec można odwlec. Dlatego wykradliśmy gwiazdolot i postanowiliśmy sprawdzić czy możliwy jest powrót do przeszłości okrężną drogą przez przyszłość. Chcieliśmy zamknąć pierścień czasu, ale przyszłość nas odrzuciła. Nie wiem kim jesteście, przybysze, ale jesteście szlachetni, czytam to w komórkach waszych mózgów. Pomóżcie nieszczęśliwym, wyzwólcie spod panowania Okrutnych Bogów.

Tym dramatycznym apelem Oan zakończył swą przemowę. Później dowiedzieliśmy się, że wyczerpał swój zapas energii, którego uzupełnienie w wewnętrznym akumulatorze wymaga sporo czasu. Wówczas zaś pomyśleliśmy po prostu, że zmęczyła go nasza indagacja, wiec umieściliśmy go w izolowanym pomieszczeniu laboratorium Ellona.

Dobrze się zresztą złożyło, gdyż należało się naradzić bez jego obecności, bez obecności istoty, która swobodnie czyta najbardziej nawet ukrytą myśl.

- Ellonie - powiedziałem - czy nie można wyposażyć nas wszystkich w ekrany nieprzenikliwe dla myśli? Telepatyczne zdolności Oana trochę mnie niepokoją, rym bardziej że jego opowieść wydaje mi sie niespójna. Prymitywne zabobony jakoś mi się nie wiążą z obrazem wysokiej cywilizacji, jaka rzekomo miała panować w Układzie Trzech Mglistych Słońc. A może źle Oana zrozumiałem, może ty w swoim rodzimym jeżyku nie

usłyszałeś nic na temat Okrutnych Bogów, groźnego Ojca Akumulatora i krwiożerczej Matki Błyskawic?

- Nie sądzę, żeby taki ekran się udał, admirale - pokręcił głową Demiurg - a poza tym uważam, że laboratorium nie powinno się zajmować podobnymi głupstwami, kiedy nie ukończyliśmy jeszcze prac nad instalacjami obronnymi przeciwko niespodziewanemu atakowi fotonowemu i rotonowemu, kiedy mechanizmy ślimaka grawitacyjnego też wymagają pewnych udoskonaleń. Mnie też Aran niezbyt sie podoba, ale mogę poradzić tylko jedno: proszę, kontrolować swoje myśli! To, co nie przeniknie do mózgu, tego kosmiczny pająk nie zdoła odczytać. To przecież takie łatwe, admirale!

To wcale nie było takie łatwe dla człowieka, jak to sobie Ellon wyobrażał. Nie wdawałem się jednak z nim w dyskusje, bo Demiurgowie w ogóle są uparci, a Ellon nawet wśród nich wyróżniał się uporem. Po prostu nie potrafiłby zrobić tego, czego zrobić nie chciał, bo wydawało mu się niepotrzebne. Wstałem.

- Chwileczkę, admirale - powiedział Ellon. - Zadawałeś mi pytania, teraz wiec ja cie o coś zapytam. Gwiezdny pająk poprosił o pomoc. Czy mu jej udzielimy?

- Czyżbyś był temu przeciwny, Ellonie?

- Przeciwny nie jestem, ale mam wątpliwości. Nie jestem pewien czy należy okazywać pomoc każdemu, kto o nią poprosi. Ja osobiście najpierw bym sprawdził czy ten ktoś na pomoc zasługuje.

- Obawiam się, że załogi statków nie podzielą twoich wątpliwości - odparłem sucho. - Mówię w pierwszym rzędzie o ludziach, ale nie tylko o nich. Uważamy za swój święty obowiązek pomagać tym, którzy proszą o pomoc. Dziwi cie takie stanowisko ludzi?

- Dziwi. Jesteście niesłychanie elastyczni jeśli chodzi o podporządkowanie sobie sił natury. Jesteście bardzo wszechstronni jako inżynierowie i konstruktorzy ale sztywniejecie natychmiast, gdy tylko bodaj muśnięcie jakąkolwiek sprawę posiadającą aspekt moralny. Wasza moralność jest prostolinijna i nie uznająca jakichkolwiek odstępstw i kompromisów. Dlatego sami sobie komplikujecie stosunki z innymi cywilizacjami.

- Chlubimy się tym, że nie szukamy łatwych dróg, Ellonie! Powiadasz, że jesteśmy sztywni i prostolinijni w kwestiach moralności. Masz racje, ale my jesteśmy z tego dumni.

Poszedłem do siebie i tam dowiedziałem się, że Oleg postanowił .zwołać ogólne zebranie wszystkich załóg gwiazdolotów, aby przedyskutować z nimi informacje uzyskane od Oana. Oczywiście chodziło o zebranie stereowizyjne. Zagaił je następująco:

- Naturalnie nikt z nas zapewne nie wierzy w istnienie jakichś sił nadprzyrodzonych, gdyż nawet pogwałcenie praw natury okazuje się w rezultacie działaniem praw natury wyższego rzędu. Zatem określenie „OKrutni Bogowie" musi być jedynie symbolem oznaczającym, że w światku Trzech Mglistych Słońc zagnieździły się istoty potężne, lecz wyzute z dobroci. Potęga ich jest wielka, ale nie przewyższy potęgi natury, która jak na razie sprzyja nam. Aranowie błagają o pomoc. Jestem zdania, że należy jej udzielić. I jeśli przyjdzie zetrzeć się z nieznaną złą cywilizacją, nie będziemy tego starcia unikać. Sądzę, że wyjdziemy z niego zwycięsko, bowiem słuszność jest po naszej stronie!

Dziś, kiedy nikt nie wie, czy zdołamy się uratować, postępowanie moje może wydać się lekkomyślne, gdyż całym sercem poparłem Olega, a w rozpętanej również i przeze mnie wojnie ponosimy jak dotąd same kieski. Tłumaczy nas jedynie to, że nie mieliśmy pojęcia, na jaką potege się porywamy. Ale nawet teraz, znając przebieg dalszych wydarzeń, nie żałuje decyzji, którą na tej naradzie jednomyślnie podjęliśmy. Proszono nas o pomoc, wiec nie mogliśmy jej odmówić. Jeśli moje słowa dotrą kiedykolwiek na Ziemie, niechaj ludzie się dowiedzą, że - powtarzam to raz jeszcze! - niczego nie żałujemy. Po prostu okazaliśmy się niedostatecznie uzbrojeni. Ręce nasze są słabe, ale dusze czyste. Przestrzeń ma trzy wymiary, ale moralność tylko jeden. Oto mój testament: raczej śmierć niż zgoda na podłość!

4.

Romero nazwał planetę pająkokształtnych Aranią. W przeciwieństwie do naszego historiografa słowotwórstwo mnie nie pasjonowało, interesowało mnie raczej czego Aranowie konkretnie potrzebują i jak im pomóc. Jak postąpić? Zjawić się otwarcie czy też raczej działać z ukrycia? Oan rozwiał moje wątpliwości.

- Nie możecie wylądować jako jawni dobroczyńcy, bo naród Aranów jest rozdarty wewnętrznie. Przyjaciele odsuwaczy staną się wrogami przyspieszaczy. Musicie się zatem zamaskować. Przybierzcie postać Aranów. Okrutni Bogowie zstępują do nas w naszej cielesnej powłoce. Weźcie wiec przykład z nich.

Ja jednak nie byłem pewien, że nasze możliwości sięgają aż tak daleko, ale Ellon uspokoił mnie, że wystarczą tu odpowiednie skafandry, które bez trudu sporządzi. Jedynie smok będzie musiał zrezygnować z wyprawy jako zbyt wielki.

- Zresztą - dodał Demiurg - jeśli komuś nie odpowiada postać pająka, zawsze może stać się niewidzialny, bo ostatnie modele ekranów są prawie niezawodne. Inna rzecz, iż ludzie mogą bez szkody dla zdrowia pozostawać w niewidzialności stosunkowo krótko.

Żaden z nas nie miał ochoty na to rozwiązanie, zwłaszcza że Ellon niezbyt dokładnie orientował się, co może być dla człowieka bezpieczne, a co szkodliwe.

Eskadra gwiazdolotów weszła do Ginących Światów.

Lecieliśmy ku dużej gwieździe, rozbłyskującej i przygasającej na przemian. To właśnie były Trzy Mgliste Słońca. Oleg rozkazał eskadrze utworzyć ciasny szyk i wyhamować. Teraz przezornie zachowując dość wysoką orbitę, staliśmy się grupowym satelitą planety, z której uciekł Oan. Nie wiem jak Okrutni Bogowie, ale nieszczęśni Aranowie nie mogli z pewnością wykryć nas z takiej odległości nawet przy pomocy silnych przyrządów optycznych.

Przed lądowaniem zaszedłem do Włóczęgi, który mieszkał w przestronnym pomieszczeniu, które i tak dla niego było zbyt ciasne - w specjalnie zaprojektowanej stajni dla pegazów. Pegazów, mimo usilnych nalegań Lusina, na wyprawę nie zabraliśmy i dzięki temu smok miał na statku własny kąt.

U Włóczęgi siedział Lusin z Mizarem. Mizar piękny owczarek, owczarz, jak z czułością nazywał go Lusin (Romero wielokrotnie zwracał mu uwagę, że owczarzem nazywano niegdyś nie psa, lecz człowieka zajmującego się hodowlą owiec, na co Lusin replikował, że każdy starożytny owczarz ustępował znacznie Mizarowi pod względem intelektualnym), był jedynym zwierzęciem, jakie zabraliśmy ze sobą, jeśli słowo „zwierze" w ogóle dawało się zastosować do tej mądrej istoty, dla której arytmetyka nie miała tajemnic, a studiowanie fizyki i chemii było ulubioną rozrywką.

Przysiadłem na smoczej łapie i pogładziłem wspaniałego psa.

Owczarek był ogromny, wyższy ode mnie gdy stawał na tylnych łapach, tak potężnych, że jednym ciosem mógł powalić każdego człowieka. Nigdy oczywiście tego nie robił, ale Demiurgowie woleli omijać go z daleka, bo nie przepadał za byłymi Niszczycielami i z żadnym z nich się nie przyjaźnił.

Mizar nosił na szyi elegancką pomarańczową opaskę, jego indywidualny deszyfrator był tak doskonale zestrojony przez Lusina, że psia mowa brzmiała w naszych mózgach zupełnie jak ludzka, Mizar zresztą doskonale rozumiał ludzi nawet bez deszyfratora.

- Włóczęgo, będziesz musiał pozostać na statku, bo na pająkokształtnego nie dasz się przerobić. Mizara też nie weźmiemy.

- Niesłusznie, admirale Eli - warknął Mizar, który podobnie jak wszystkie psy doskonale orientował sie w ludzkich rangach. - Nie jestem pewien czy mechanizmy potrafią obronić pana tak skutecznie, jak bym to mógł zrobić ja.

- Postaramy się unikać niebezpiecznych sytuacji, Mizarze. A propos, rozmawialiście z Trubem i Gigiem?

- Skafandry - odparł Lusin z westchnieniem. - Nie podobają się. Są obrażeni. Obaj.

- A jak twój skafander?

- Znakomity. Druga skóra.

- Porozmawiam z aniołem i Demiurgiem, a jeśli moje argumenty nie poskutkują, będę musiał ich obu zostawić na statku.

Zbiórkę eksploratorów wyznaczyłem w śluzie lądowiska, gdzie na każdego już czekał skafander maskujący. Moj był tak znakomity, że po jego włożeniu poczułem się tak, jakbym dostał nowe ciało. Reszta skafandrów była nie gorsza, ale mimo moich nalegań Trub i Gig kategorycznie odmówili ich użycia.

- Anioły gardzą pająkami - wykrzyknął Trub, dumnie krzyżując na piersi nieco już wyleniałe skrzydła - i żaden z nich nigdy nie upodobni się do jakiegoś tam owada!

Dziarski Gig też za nic na świecie nie chciał rozstać się ze swoim mundurem. Zresztą doskonale ich obu rozumiałem i po chwili wahania pozwoliłem im lecieć.

Wylądowaliśmy na szczycie wzgórza. Z pewnej odległości Arania wydawała się pokryta w całości oceanem cieczy jedynie odrobinę lżejszej, jak się potem okazało, od rtęci. Po jej powierzchni ślizgały sie jakieś migotliwe ciała. Oan poradził nam trzymać się z dala od oceanu, wielkiego drapieżnika zamieszkanego w dodatku przez pomniejszych drapieżców, atakujących pospołu nieliczne lądy i wszystko co na nich żyło.

- Wasze skafandry sporządzone są z substancji nieznanych na mojej planecie, a zatem prawie na pewno nie grozi wam napad morskich drapieżników - pocieszył nas na koniec Aran.

Wybraliśmy na miejsce lądowanie nocną stronę globu. Opodal leżało główne miasto planety. Oan pierwszy wyszedł na zewnątrz i zawołał nas.

Dokoła panował mrok, zupełnie nie przypominający naszych nocnych ciemności. Ziemia blado świeciła, niedaleki ocean lśnił, niewielki lasek fosforyzował bladym fioletem, zewsząd tryskały niebieskawe iskierki, a każdemu naszemu krokowi towarzyszyły pomarańczowe wyładowania miedzy stopami pajęczych nóg skafandrów a powierzchnią gruntu. Wszystko tu było przesycone elektrycznością, wszystko świeciło się, lśniło, błyszczało i jarzyło. My też zaświeciliśmy się zaraz po zejściu na grunt planety. Romero żartował potem, że nasze indywidualne barwy zależały nie od konstrukcji skafandra, lecz od rangi jego posiadacza: ja lśniłem admiralskim błękitem, Orlan i Gracjusz szlachetnym oranżem, Irena i Mary pokornym fioletem, Lusin uniżoną żółcią, Romero ostrożną zielenią i wreszcie Oan groźną purpurą.

Nie świeciło tylko niebo. Tam panowała prawdziwa ciemność, której nie zakłócały nawet rzadkie gwiazdy tlące się czerwonawo wśród gęstych kłębów kosmicznego pyłu.

Oan ruszył ostrożnie w stronę fioletowego lasku, my równie ostrożnie ruszyliśmy za nim. W zaroślach Oan się zatrzymał.

- Eli - powiedział - czuje wyładowania Iao, odsuwacza, który dziś pełni dyżur ostrzegawczy. Ustaliliśmy takie dyżury, żeby uniknąć niespodziewanego ataku przyspieszaczy. Powiem mu, że jesteście odsuwaczami z drugiej strony planety, nową grupą naszych zwolenników.

Spotkanie nastąpiło po niespełna trzech minutach. Jeszcze na „Koziorożcu” umówiłem się z Oanem, że będzie mi telepatycznie przekazywał swoje rozmowy ze współbraćmi. Dotrzymał słowa. W moim mózgu zabrzmiał ostry, bulgocący głos:

- Zatrzymaj się ty, który się skradasz! Wymień swoje imię i powiedz jak mnie zwą!

- Jestem Oan, a ty jesteś Iao - usłyszeliśmy odpowiedź.

- Jestem Iao, masz racje Oanie. Cieszę się, że nie zginąłeś. Rozświetl się, żebym mógł cie zobaczyć. Tak, jesteś Oanem. Rad jestem widzieć cie żywym, wielki Oanie, bliski przyjacielu wielkiego Oora. Ale gdzie są twoi towarzysze? Coś uczynił ze swymi wielkimi współbraćmi w ucieczce do innego czasu, Oanie?

- Wszyscy zginęli, Iao.

Zamelduje o tym Oorowi i wspólnocie, a teraz mnie przepuść.

- Nie jesteś sam? Co to znaczy, Oanie?

- Są ze mną nowi wyznawcy odsuwania, nasi przyjaciele z drugiej strony planety. Przywiodłem ich, aby dostąpili zaszczytu wysłuchania nauk wielkiego Oora, bo niczego tak nie prugną, jak walki z przyspieszaczami.

- Dostąpią szczęścia obcowania z wielkim Oorem. Dane też im będzie walczyć z obmierzłymi przyspieszaczami, umożliwimy im to, Oanie! Niechaj się rozświetlą. Dzielne chłopy! Dobrze zrobiłeś, Oanie, że ich tu przywiodłeś. Już jutro będą mogli czynem dowieść swojego zapału!

- Stało się coś ważnego?

- Przyspieszacze znowu chwytali wszystkich, którzy się im nawinęli w porze Ciemnych Słońc. Samospalenie wyznaczyli na jutrzejszy wieczór. Postaramy się odbić nieszczęśników. Idź, Oanie. Zazdroszczę tobie i twoim przyjaciołom, albowiem usłyszycie natchnione słowa Oora, największego z wielkich. Idź śmiało, bo nie ma tu przyspieszaczy.

Oan ruszył nieco szybciej, my zaś poszliśmy za jego przykładem. Wkrótce dotarliśmy do obszernej rozświetlonej blaskiem ścian jaskini, w której mrowili się Aranowie. Było ich tak wielu, że tworzyli jakby jedno migotliwe ciało pokrywające szczelnie całą posadzkę groty. Wcisnęliśmy się w to ciało, staliśmy się jego częścią, roztopiliśmy się w nim. Nikt na nas nie zwrócił najmniejszej uwagi, nikogo nie zainteresowaliśmy, gdyż byliśmy tacy sami jak wszyscy, stanowiliśmy komórki tego samego organizmu pulsującego w jednym rytmie.

- Oorze! - powiedział dobitnie Oan. - Żaden z Aranów nie zareagował, gdyż głos Oana dotarł tylko do nas.

Pośrodku jaskini jeden z pająkokształtnych upadł na plecy i wyciągnął do góry wyprężone nogi. Na ten dwunastonogi piedestał wgramolił się inny Aran, zachybotał się, znieruchomiał i rozjarzył się zmiennymi barwami. Przemawiał, a jego słowa tłumaczone przez Oana wyraźnie rozbrzmiewały w naszych mózgach. To był Oor, Naczelny Odsuwacz Końca.

- Eli,to potworne! Te pająki potępiają zgubę, gdyż ideałem ich jest wegetacja! Bezmyślna, ale beztroska wegetacja - szepnął zdumiony Lusin. Szepnął oczywiście w myśli, gdyż na głos nie zdołałby wypowiedzieć takiego składnego zdania nawet przez miesiąc.

- Pająkokształtny kosmiczny Eklezjasta! - wykrzyknął niezrozumiale Rornero.

Z początku Oor apelował o uratowanie tych, którzy mieli jutro zginąć i nienawiścią atakował przyspieszaczy końca jako bezmyślnych wrogów wszystkiego co żywe, potem zaś zaczął górnolotnie sławić bytowanie na planecie. Filozofia nie jest moją najmocniejszą stroną, ale zgodziłem się z Lusinem, że światopogląd odsuwaczy sprowadzał się do pochwały istnienia w imię samego istnienia, byle jakiego, nędznego, pełnego cierpień i pozbawionego wyższych radości, ale istnienia.

- Najważniejsze w życiu jest samo życie! - wieszczył Oor. - A zatem żyjcie, istniejcie nawet w pohańbieniu! Żyjcie wbrew woli Okrutnych Bogów! Odrzućcie mrzonki o życiu godziwym za cenę niepotrzebnych ofiar! Bytujcie wbrew wszystkiemu! Matko Błyskawic, smagaj nas swymi ognistymi biczami! Siecz i katuj! Wytrzymamy i to, albowiem byt fizyczny to wszystko!

- Jakaż to straszliwa filozofia, Eli! - znów szepnął Lusin.

- Oor mówi zupełnie coś innego niż ty nam opowiedziałeś o odsuwaczach końca - zwróciłem się w myśli do Oana.

- Naczelny Odsuwacz - odparł mi Oan z mózgu do mózgu - przekonuje swoich zwolenników o bezsensie rychłego końca. To najpilniejsze z naszych zadań. Kolejnym jest znalezienie rozumnego wyjścia z dzisiejszej beznadziejności. Zauważ, że Oor ani razu nie powiedział, że upodlająca wegetacja ma trwać wiecznie. Twierdził tylko, że jest ona jedynym wyjściem dla obecnego pokolenia. Wielu z Aranów to rozumie, ale nie wszyscy dostąpili wyższego wtajemniczenia.

Odpowiedź była dość mętna, ale zrezygnowałem z dalszych indagacji, bo w jaskini zaczęła się rozgrywać nowa scena. Po zakończeniu swej oracji, którą tłum skwitował gromkim „Istnieć! Bytować!”, Oor powiedział uroczyście:

- A teraz o najnędzniejsi z nędznych, teraz bracia moi przystąpimy do nawracania na prawdziwą wiarę naszego jeńca, żałosnego i zbrodniczego samopaleńca!

- Ukarać! - zawył tłum. - Poniżyć przez wywyższenie! Ukarać!

W powietrze wzleciał jeden z Aranów, przerzucany jak piłka z kąta w kąt jaskini, aż w końcu umieszczony obok Oora na jeszcze jednym żywym piedestale. Jeniec drżał na całym ciele i w rytm tych drgawek rozjarzał się pulsującym światłem.

Oor rozpoczął uroczyste przesłuchanie przyspieszacza:

- Uulu, zamyślałeś?

- Tak, wielki Oorze, zamyślałem.

- Samospalenie?

- Tak, wielki Oorze, samospalenie.

- Publiczne?

- Tak, wielki Oorze, publiczne.

- Jutro, w porze Ciemnych Słońc?

- Jutro, w porze Mglistych Słońc.

- Ciemnych czy Mglistych? Mów prawdę godzien pogardy Uulu.

- Mglistych Słońc, wielki Oorze, Mglistych! Nie odważyłbym się okłamywać Ciebie, wielki Oorze!

- Zdolny jesteś, przebrzydły przyspieszaczu końca, zataić dokładny termin, abyśmy nie zjawili się na wasze wstrętne bachanalie (znaczenie tego słowa wytłumaczył mi później Rornero).

- Rad jestem podać dokładny czas, abyś i ty, wielki Oorze, mógł przybyć na naszą cudowną uroczystość.

- Ilu nieszczęśników zamierzacie jutro okrutnie ukarać?

- Stu trzech wybrańców losu dostąpi jutro najwyższej radości.

- Stu trzech oddanych na pastwę zniszczenia?

Nie kłamiesz, godzien najwyższej pogardy potworze?

- Stu trzech pragnących zachwycającej śmierci, stu trzech rozkoszujących się myślą o rychłym końcu! Nie kłamie, o największy z wielkich!

- Ale ty, najgorszy z najgorszych, nie zamierzałeś znaleźć się w gronie triumfujących skazańców? Odmówiłeś sobie rozkoszy niebytu? Czy nie dlatego, wstrętny Uulu, że zrozumiałeś marność rzekomej rozkoszy unicestwienia?

- Nie, szacowny Oorze, ja najsilniej z wszystkich wierze w radość samozagłady, ale na razie mi jej odmówiono. Jeszcze nie zasłużyłem na nagrodę. Muszę przedtem zaprowadzić na cudowny stos trzydziestu wybrańców, aby dana mi była łaska własnej śmierci. Mam stopień łapacza drugiego stopnia, mądry

Oorze, ulubiony synu Ojca Akumulatora i Matki Błyskawic!
Teraz Oor zwrócił się do obecnych:
- Co uczynić z tym godnym pogardy zbrodniarzem, którego pojmaliśmy, gdy po zbójecku oplątywał swymi wstrętnymi włosami naszego brata, biednego Iaala, aby zawlec go do ciemnicy skazańców?
- Ukarać! Ukarać! Ukarać!!! - zawył tłum.
Gdy wrzaski nieco ucichły, Najwyższy Odsuwacz Końca ogłosił surowy werdykt:
- Pragniesz śmierci, a zatem otrzymasz życie. Odprowadźcie Uula do lochu, gdzie nie dociera blask Trzech Mglistych Słońc, nie przenikają ładunki Ojca Akumulatora i gdzie nie słychać gromowego głosu Matki Błyskawic. Niechaj stanie się najniższym z niskich, najnędzniejszym z nędznych, najgodniejszym z głodnych i najgłupszym z głupich. I kiedy uraduje się ze swej niewoli, kiedy zachwyci go męka bytu, dopiero wówczas wynieście go na zewnątrz.
Jeńca wyprowadzono, Oor zeskoczył ze swego żywego piedestału, a tłum ruszył ławą ku wyjściu.
- Wracajmy do planetolotu - powiedziałem do Oana.
Zapytał mnie czy nie pragniemy stanąć przed obliczem Naczelnego Odsuwacza Końca, aby przedstawić się i wyjaśnić, w jaki sposób możemy pomóc jego zwolennikom, ale ja nie miałem najmniejszej ochoty na znajomość z Oorem, a tym bardziej nie zamierzałem mu pomagać.

5.

Gdy przepychaliśmy się przez tunel zatłoczony spieszącymi na zewnątrz pająkokształtnymi, Lusin szepnął do mnie w myśli:
- Cóż to za nieszczęsne istoty, Eli! Przy czym obie sekty są jednakowo nieszczęśliwe. Płakałem słuchając Oora i Uula. Jakież musieli znosić cierpienia, żeby wytworzyć taki potworny światopogląd!
- Oni wszyscy są szaleni! - powiedział Romero. - Trudne warunki bytowania zezwierzęciły ich, przekształciły w bestie. Nie wiem nawet, która z sekt, że użyje celnego określenia Lusina, jest bardziej bestialska.
- Dwa końce tego samego kija - zauważyłem. - Naturalnie trzeba im pomóc, ale całemu narodowi, a nie którejś z sekt. Odsuwacze nie są wcale lepsi od przyspieszaczy. Nie dotknąłem cie tym stwierdzeniem, Oanie?
- Pomoc jest nam potrzebna jak energia Ojca Akumulatora - odparł Aran. - Jeśli potraficie pomóc nam wszystkim, pomóżcie.
W planetolocie połączyliśmy się z eskadrą, której załoga była poinformowana o sytuacji na Aranii, gdyż Irena nieustannie przekazywała na statki wszystko co widzieliśmy i co tłumaczył Oan. Wszyscy byli zgodni ze mną: Aranom należy pomóc, ale bez wplątywania się w walkę po stronie jednej z sekt.
- Proszę pamiętać, Eli - powiedział na koniec Oleg - że prawie nic nie wiemy o naturze Ojca Akumulatora i Matki Błyskawic, a wygląda na to, iż odgrywają oni w całej tej sprawie niezwykle ważną role. Uważamy, że w pierwszym rzędzie należy wyzwolić jutrzejsze ofiary i nie dopuścić do samospalenia.
- To rozkaz? - zapytałem.
- Nie, rada.
Zamyśliłem się. Dopiero przed chwilą postanowiliśmy nie popierać żadnej ze stron w konflikcie, lecz starać się ulżyć losowi całego narodu, a teraz mamy udzielić bezpośredniej pomocy odsuwaczom. Jak to ze sobą pogodzić?
- Oanie - zapytałem po dłuższej chwili - twoi współwyznawcy zamierzają jutro uratować skazańców... Czy im się to uda?
- Nie - odparł Aran. -Już wielokrotnie podejmowaliśmy takie akcje, które jednak zawsze kończyły sie niepowodzeniem. Jutrzejszy atak jest po prostu aktem rozpaczy.
Znów się zamyśliłem, choć takie wyjaśnienie każdego człowieka musiało zmobilizować do natychmiastowego działania. Mary powiedziała ze zdziwieniem:
- Eli, czyżbyś stchórzył? To przecież do ciebie zupełnie niepodobne!
- Brak zdecydowania też nigdy nie należał do cech pańskiego charakteru, drogi admirale! - dodał Romera.
- Będziemy działać zgodnie z sytuacją - zdecydowałem, jeśli to można było w ogóle nazwać decyzją. W każdym razie nie pozwolimy, aby na naszych oczach ginęły niewinne istoty.
Dobiegł mnie głos przysłuchującego się rozmowie Kamagina:
- Nasze statki zawsze gotowe są pospieszyć wam z pomocą. Jeśli dowódca pozwoli, podprowadzę swojego „Węża" na bezpośrednią odległość do planety.
Oleg pozwolił mu wyprowadzić gwiazdolot z szyku eskadry.
- Ciesz się - powiedziałem do Lusina. - Wszystko będzie tak, jak pragnąłeś.
- Będę się cieszył jutro, kiedy własnymi rekami uwolnię skazanych z szafotu! - wykrzyknął Lusin z niezwykłą u niego elokwencją.
Gdybyż wiedział, co jutro mu przyniesie!
Rozeszliśmy się do kabin, gdzie zdjęliśmy maskujące skafandry, tylko Oan pozostał na zewnątrz. Był u siebie.
Noc minęła, nastąpił mętny ranek. W ciemności Arania była tajemnicza i może nawet na swój sposób piękna. W świetle dnia ujrzeliśmy natomiast tylko ponure, brzydkie rumowiska kamieni i ocean wypluwający na poszarpany brzeg zwały przetrawionego przez siebie mułu. Założyliśmy skafandry, automaty zaryglowały włazy planetołotu i otoczyły go ochronnym polem siłowym, my zaś zwartą grupą pobiegliśmy przez lasek w kierunku miasta.
Miasta właściwie nie było. Był tylko łańcuch pagórków ze zboczami podziurawionymi wejściami do jaskiń, w których gnieździli się Aranowie. Pod ziemią mieściły się również fabryki czy warsztaty i rozlegle sale pełniące role placów publicznych, na których odbywały się nocne wiece. Miedzy wzgórzami wiły się gruntowe drogi, tak jednak ubite i wygładzone, że stały się twardsze od najlepszych ziemskich asfaltowych szos starożytności. Z wylotów jaskiń wypełzali niezliczeni pająkokształtni i żwawe pędzili do rozległej doliny miedzy czterema miejskimi wzgórzami - na rynek stołecznego miasta Aranii. Dołączyliśmy do tego potoku.
Na rynku wznosił się szafot do złudzenia przypominający starożytne ziemskie piece elektryczne.
- Za chwile pojawi się grupa idących ku końcowi - nadał Oan, kiedy zatrzymaliśmy się opodal szafotu. - Przyjdzie pod konwojem strażników końca, zwyczajnych przyspieszaczy, tyle że silniej naładowanych energią elektryczną. Przyspieszacze obsadzili każde dojście do Ojca Akumulatora i dlatego ich strażnicy są lepiej uzbrojeni od naszych odsuwaczy, a co za tym idzie nigdy nie udaje się nam ich zwyciężyć. Kto cieszy się łaską Ojca Akumulatora, ten włada.
Skazańcy nie pokazywali się, a tymczasem naszą uwagę zwrócił Aran wznoszący się nad pozostałym tłumem na dwupiętrowym żywym piedestale utworzonym z czterech pająkokształtnych.
- Uoch, Naczelny Przyspieszacz Końca, Wielki Realizator - powiedział ze wstrętem Oan. - Gdybyście usunęli tego pajaca, którego wielbią wszyscy przyspieszacze, walka z nimi stałaby się o wiele łatwiejsza.
Uoch, rozparty wygodnie na swym piedestale, wykrzyknął zgrzytliwie:
- Chwała niechaj będzie Okrutnym Bogom! Czyńmy Koniec!
W odpowiedzi rozległ się ogłuszający ryk:
- Czyńmy! Niechaj Okrutni Bogowie będą pochwaleni!
Z jaskini znajdującej się pod szczytem wzgórza za plecami Naczelnego Przyspieszacza wyłoniła sie kolumna Czyniących Koniec. Skazańcy szli czwórkami w asyście uwijających się po bokach konwojentów. Głowa każdego ze strażników przypominała płonące ognisko tryskające iskrami, tak bardzo ich ciała były przeładowane elektrycznością. Tłum zatrząsł się z entuzjazmu. Rozległy się gromkie, chóralne krzyki:
- Czyńmy Koniec! Czyńmy Koniec!
Kiedy kolumna skazanych znalazła się już na poziomie dna kotliny, z jaskiń pobliskiego wzgórza wytrysnął nagle snop iskier i oddział odsuwaczy runął na konwój. Strażnicy wściekle odpierali ataki, tłum ruszył na pomoc swoim. Wkrótce było po wszystkim. Kolumna skazanych, znacznie teraz liczniejsza, bo znaleźli się w niej pokonani odsuwacze, znów ruszyła w stronę szafotu. Zresztą wielu odsuwaczy uciekło.
Naczelny Przyspieszacz znów zakrzyknął:
- Czyńmy Koniec na chwałę Okrutnych Bogów!
Patrzyłem na to wszystko jak sparaliżowany i nie potrafiłem podjąć żadnej decyzji, a tymczasem tłum szalał:
- Czyńmy Koniec! Czyńmy Koniec!
- Na chwałę Ojca! Dla przebłagania Matki! Niechaj uśmierzy swój gniew!
- Niechaj się zmiłuje!
Uoch uniósł swe włosy i splótł je nad głową. Strażnicy chwycili jednego ze skazanych i wrzucili go do pieca.
Teraz już wiemy, że czyniąc Koniec zwarł swym ciałem dwie elektrody pod wysokim napięciem. A wówczas usłyszeliśmy odgłos eksplozji i ujrzeliśmy błysk wyładowania. Nad placem

przetoczył się ciężki grzmot, który utonął w ryku tłumu. Posypał się na nas gorący popiół, miałki jak mąka proch spopielonej istoty!

- On był żywy, Eli! On przecież był żywy! - jęknął Lusin.

Uoch powtórnie splótł włosy nad głową i druga ofiara zniknęła w gardzieli pieca. Wówczas już Lusinowi nerwy odmówiły posłuszeństwa.

- Eli, czynisz nas wspólnikami zbrodni! Jeśli się nie wtrącisz, zrobię to sam. Sam jeden. Zbuntuje się, Eli!

Zdecydowałem się błyskawicznie. Trzeba zniszczyć szafot, żeby już nie było dalszych ofiar, ale zanim zdołałem wydać rozkaz, Oan wykrzyknął z przerażeniem:

- Nie rób tego! Kiedy zniszczysz szafot, wówczas wszyscy Aranowie zginą!

- Unieszkodliwić straż! - krzyknąłem, nie pytając nawet, dlaczego nie wolno niszczyć pieca, i rzuciłem się ku Naczelnemu Przyspieszaczowi Końca.

Lusin pomknął z taką szybkością, że wyprzedził mnie o dobre dziesięć skoków. Staranował żywy piedestał i Uoch poleciał w dół. Lusin zadał mu taki cios, że Naczelny Przyspieszacz z przenikliwym piskiem znów uniósł się w powietrze. Na Lusina rzucił się dobry tuzin strażników. Setki błyskawic wbiły sie w jego ciało, otaczając je płomienistą aureolą.

- Pole! - krzyknąłem.

- Pole! - zawtórował mi Romero i Lusin, którego zaskoczył wściekły atak Aranów, dopiero teraz wywołał pole ochronne.

Reszta rozegrała się w ułamku sekundy. Nasi inżynierowie zbyt dobrze znali się na swoim fachu, by sporządzone przez nich skafandry nie miały się oprzeć słabym w gruncie rzeczy wężowłosom Aranów. Ale Lusin miał jeszcze w pamięci zaciekłe walki z głowookami i ponaglany przez nas uruchomił z maksymalną mocą swe pole ochronne. Gdy jednak zobaczył, jakie spustoszenie wywołało ono wśród goryli Uocha, zdjęło go przerażenie. Nie zastanawiał się, nie tracił czasu na powolne osłabienie pola, tylko gwałtownie je wyłączył. I natychmiast, niestety, padł ofiarą swego humanitaryzmu.

Jeden ze strażników, który jakimś cudem przeżył uderzenie pola, szarpnął swoje wężowłosy zaplątane w skafander Lusina, stracił równowagę i pociągając za sobą naszego biednego przyjaciela i zwalił sie w dół. Stali obaj na krawędzi szafotu i spadli teraz w gardziel pieca pomiędzy dwie śmiercionośne elektrody. Znów buchnął płomień, zgaszony jednak natychmiast powracającym automatycznie polem ochronnym. My również, Romero, ja oraz biegnący tuż za nami Demiurg i Galakt zogniskowaliśmy tam nasze pola, ale było już za późno. Wśród poskręcanych eksplozją siłową odłamków piekielnego elektrycznego szafotu leżał rozłupany skafander, a w nim martwe ciało Lusina!

- Planeta zginęła! - krzyknął przerażony Oan.

Zachwiałem się, lecz szybko odzyskałem przytomność, bo musiałem walczyć, zabijać, zetrzeć na pył wszystkich miotających się po placu pająkokształtnych. Do dziś nie rozumiem, w jaki sposób udało mi sie stłumić rozpacz i nie dać ujścia wszechogarniającej wściekłości.

- Okrutni Bogowie! Okrutni Bogowie zstąpili z nieba! - wrzeszczeli Aranowie uciekając co sił w nogach.

Zrzuciłem skafander, Irena i Mary również pozbyły się wstrętnego nam teraz odzienia. Usiłowały ożywić Lusina, a Romero pomagał im, chociaż wiedział, że najgorsze już się stało, że jest ono nieodwracalne. Ja zaś opadłem bez sił na ziemie i nie mogłem nawet wydać z siebie głosu, żeby wezwać pole sanitarne.

Zbliżyli się do mnie Gracjusz z Orlanem, którzy nie zdjęli dotąd maskujących skafandrów.

- To okropne nieszczęście! - powiedział Gracjusz. - Szczerze ci współczuje, Eli, ale może wydarzyć sie coś jeszcze gorszego. Proszę cie, wysłuchaj Oana!

Dopiero teraz zorientowałem się, że Oan coś do mnie mówił.

- Czego chcesz? - zapytałem. - Czego ty jeszcze ode mnie chcesz?

- Matka Błyskawic wpadła w gniew - dobiegł mnie jakby z oddali przerażony głos Oana. - Uciekajcie! Teraz wszyscy Aranowie zginą i wy zginiecie wraz z nami, jeśli nie uciekniecie!

Jego splecione ze sobą, wyprężone sztywno wężowłosy wskazywały na wschód, skąd nadchodziła noc, pędziły ogniste chmury, kłęby migotliwego płomienia i snopy iskier. Nadchodziła burza elektryczna o takiej sile, jakiej nie sposób sobie było wyobrazić.

- Włączyć indywidualne pola ochronne! - krzyknąłem i wywołałem Kamagina. Błogosławiłem los, że Oleg pozwolił mu zbliżyć się do planety. - Widzi pan, co się tutaj dzieje, Edwardzie?

- To potworne, Eli! - odpowiedział znękanym głosem Kamagin. - Widzieliśmy wszystko, ale niestety nie mogliśmy pomóc. Co mam teraz zrobić, admirale?

- Edwardzie, nad planetą rozszaleje się wkrótce elektryczny huragan. Podejrzewam, że groźna Matka Błyskawic, jak Aranowie nazywają swoją władczynie, zamierza rozszarpać swój naród na strzępy. Jej gniew wywołany jest chyba zniszczeniem elektrycznego szafotu. Trzeba jej pokazać, że ludzie są potężniejsi od Okrutnych Bogów!

- Zapewniam cie, admirale, że bez trudu uśmierzymy gniew groźnej mamusi! - zapewnił mnie Kamagin. - Dzisiaj zamiast tępieniem swoich synów zajmie się uzupełnieniem naszych zapasów substancji aktywnej.

Burza runęła na nas w jakieś trzy minuty po tej rozmowie: Nasze ziemskie burze, to zwały chmur, podający z nich deszcz i trochę słabych wyładowań atmosferycznych. Burza na Aranii, to potoki ognia spływającego na ziemie, gejzery błyskawic tryskających z ziemi ku chmurom, palisada błyskawic na szczytach wzgórz i dżungla wyładowań w dolinach. Gdybyśmy nie otoczyli się polami ochronnymi, w mgnieniu oka pozostałaby z nas jedynie garstka popiołu. Romero osłonił swoim polem Oana, ale Aran nie znał jego wytrzymałości i dygotał z przerażenia oczekując nieuchronnej jego zdaniem zguby.

A potem wszystko zmieniło się jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Kamagin potrzebował czterech minut na otwarcie zaworów ssących w zbiornikach substancji aktywnej i kiedy tego dokonał błyskawice, jeszcze przed minutą bijące w ziemie, trysnęły w górę grzęznąc w trzewiach statku.

Na planecie zrobiło się zdumiewająco cicho. Po kwadransie chmury zaczęły rzednąć, rozpadać się na Strzępy, gasnąć. I choć błyskawice już z nich nie tryskały, Kamagin nie zatrzymał pomp ssących, gdyż chciał maksymalnie napełnić zbiorniki substancji aktywnej.

- Teraz podmiotę trochę samą planetę - powiedział Kamagin, kiedy rozładował do końca chmury. Jest tak przesycona energią elektryczną, że nikt nie poniesie szkody, jeśli jeszcze trochę jej uszczkniemy. Uważam zresztą, że wyjdzie to Aranom na korzyść, bo ich pobudliwość i fanatyzm wynika prawdopodobnie z nadmiaru elektryczności.

- Jesteś zadowolony, Oanie? - zapytałem, kiedy Kamagin zamknął zawory ssące zbiorników.

- Pokonaliście straszliwą Matkę! - wykrzyknął Aran z bogobojnym podziwem. - Ach, jak wspaniale pokonaliście Matkę Błyskawic! Nasza straszliwa rodzicielka została pokonana!

6.

Ciało Lusina umieściliśmy w konserwatorze, który zachowa je na wsze czasy w nienaruszonym stanie. Siedzę tu teraz, kiedy zwłoki naszego biednego przyjaciela są już jednymi z wielu, a być może i my, nieliczni pozostali przy życiu, też tu niebawem spoczniemy. Lusin zamknięty w przezroczystym sarkofagu wygląda jakby spał, gdyż Mary udało się przywrócić mu dawny wygląd. Ale nie patrzę na niego, tylko na tego, który leży naprzeciw. I rozmawiam głośno z tym drugim, bo nie mam nic do powiedzenia poległemu przyjacielowi, natomiast wiele martwemu wrogowi. Wrócę jednak do wydarzeń na Aranii.

Gdy wróciliśmy na pokład gwiazdolotu Trub, roztrącając ludzi, rzucił się na ciało Lusina i wykrzyknął rozpaczliwie:

- Mogłem pójść z wami i obronić swego przyjaciela! Nigdy sobie nie wybaczę, że nie poszedłem! Gig powiedział do mnie z pełnym smutku wyrzutem:

- Admirale, ludzie nie mogą obyć się bez niewidzialnych. Zapewniam cie, że gdybyś nie zmuszał nas do zakładania tych idiotycznych skafandrów, osłoniłbym Lusina skuteczniej niż pole siłowe.

Pod naszą nieobecność odbyła się w eskadrze narada. Gig i Ellon byli zdania, że śmierć Lusina nie może pozostać bezkarna. Ale kogo karać? Aranów? Za co? Ostatecznie zdecydowano raz jeszcze, że nie powinniśmy wtrącać się do sporów przyspieszaczy z odsuwaczami, że należy po prostu oczyścić Układ Trzech Mętnych czy Mglistych Słońc (czasami używaliśmy tej pierwszej nazwy) z pyłu kosmicznego, co będzie stanowiło najlepszą pomoc dla wszystkich pająkokształtnych. Wprawdzie Arania oddali się wówczas nieco od gwiazdy potrójnej, lecz ta większa odległość zostanie skompensowana większą również przezroczystością przestrzeni kosmicznej, co sprawi, że ilość promieniowania docierającego na planetę się nie zmieni. Należy jednak uprzednio sprawdzić, jakie zjawiska czy istoty kryją się pod nazwami Ojca Akumulatora i Matki Błyskawic.

Zaczęliśmy przygotowywać się do powtórnej wyprawy na

Aranie, gdy Oan nagle zaczął protestować przeciwko naszemu zamiarowi odwiedzenia Ojca Akumulatora. Zapytany o przyczyny, zamiast odpowiedzi wyemitował do mojego mózgu uczucie panicznego strachu. Ale ponieważ był to tylko jego strach, nadal wypytywałem go o powody tego leku.

- Spokój Ojca jest dla Aranów święty - odparł niechętnie Oan.

- To znaczy, że Ojciec Akumulator karze każdego, kto ten spokój ośmieli się zakłócić?

- Nie. Ojciec źle się czuje, gdy ktoś odważy się przerwać jego święte odosobnienie.

- Rozregulowuje się? Przestaje działać?... A kto strzeże jego spokoju? Wasi Okrutni Bogowie?

- Okrutni Bogowie nie wtrącają się do spraw Ojca i Matki. Ojca ochrania gwardia strażników, z których każdy wybierany jest przez samego Uocha.

- Z najbardziej doborową gwardią poradzimy sobie bez trudu - zapewniłem go. - A teraz powiedz mi, czym jest Matka Błyskawic.

- Straszliwa Matka strzeże spokoju Ojca. - I to było wszystko czego zdołaliśmy dowiedzieć się od Oana.

Wylądowaliśmy na starym miejscu w środku dnia. Dokoła kręcili się Aranowie, ale żaden z nich nie zwracał na nas najmniejszej uwagi. Na miejskim rynku krzątała się grupa pająkokształtnych, odbudowujących pospiesznie zniszczony przez nasze pola ochronne szafot elektryczny. Nie przeszkadzaliśmy im w tym zajęciu, bo przyczyna zła tkwiła gdzie indziej.

Oan wspiął się na szczyt wzgórza i zatrzymał się przed wlotem do jaskini, nie różniącym się niczym od sąsiednich.

- To tutaj - powiedział. - Ale pierwszy do środka nie wejdę!

- Idź w środku grupy - postanowiłem.

Na strażników natknęliśmy się już po paru krokach. To były rosłe pająki, nieulękłe i zdeterminowane, ale nawet ci wybrani z wybranych zmykali po chwili z taką szybkością, iż nie mogliśmy żadnego z nich dopędzić. Rzecz była nie tylko w tym, że Aranowie nie mogli się oprzeć naporowi naszych pól ochronnych. Ważniejsze było to, że nie znali ich natury. Nic wiec dziwnego, że odepchnięci niewidzialną siłą co sił w nogach rzucili się do ucieczki, wrzeszcząc jak niedawno tłum na rynku:

- Okrutni Bogowie! Okrutni Bogowie zstąpili z nieba!

Wewnętrzny rzut straży nie uwierzył widać w paniczne informacje pierwszej grupy, gdyż w jaskini przez którą wiodła dalsza droga rzuciła się na nas cała armia. Tu już musieliśmy skoncentrować nasze pola i po zakończonej potyczce na ziemi zostały ciała kilku szczególnie zaciekłych fanatyków.

Jaskinia miała cztery wejścia. Przez jedno wkroczyliśmy my, w dwa boczne umknęli pokonani strażnicy, a czwarte, na wprost nas, pozostało wolne. Wskazałem na nie jedną ze swoich licznych rąk:

- Tedy, Oanie?

- Tedy. Nikogo już nie napotkamy po drodze do komnat Ojca. Ten tunel jest dla wszystkich tabu. Zakazana droga była długa. Biegła niskim korytarzem przechodzącym w łańcuch obszernych jaskiń i

kończyła się w ogromnej grocie, tak wysokiej, że nawet promień silnego reflektora nie sięgał stropu. Całą grotę zajmowało jezioro gęstego płynu pokrytego twardą skorupą. Powierzchnia jeziora nieustannie falowała, a spod pękającej w rożnych miejscach skorupy tryskały słupy płomieni rozpraszających sie po chwili w zielonkawej, fosforyzującej martwo mgle. Czasami ku niewidzialnemu stropowi strzelały błyskawice, aby za moment powrócić w dół. Tak to przynajmniej wyglądało, chociaż te odbite błyskawice były po prostu przeciwbieżnymi wyładowaniami o odwrotnym znaku.

- Ojciec Akumulator zabija każdego, kto się doń zbliży - wyszeptał ze strachem Oan.

- Swoisty mechanizm wytwarzający energie elektryczną albo, jak mawiali starożytni, elektrownia stwierdził Romero.

- Elektrownia tak - zauważył Gracjusz - ale nie mechaniczna. To jest żywy organizm. Przypomina mi naszą broń biologiczną, tyle że nie jest to gigantyczna kolonia bakterii jak u nas, lecz bez wątpienia istota rozumna.

Na wszelki wypadek poleciłem wzmocnić pola ochronne, chociaż nie sądziłem, aby to było potrzebne. Odniosłem nagle wrażenie, że jesteśmy przez kogoś życzliwie obserwowani. Oan utrzymywał, że Ojciec Akumulator śledzi każdy nasz ruch, słyszy każde słowo, odbiera każdą myśl. Być może miał rację.

- Ojciec was nie zabija! - wykrzyknął zdumiony Aran, gdy Irena pobrała próbkę substancji jeziora do analizy.

- Niech by tylko spróbował! - mruknąłem. - Postaraj się nawiązać z nim kontakt - zwróciłem się do Ireny, a Oana zapytałem: - Ile lat liczy sobie to stworzenie?

Pająkokształtny na temat wieku jeziora nie potrafił powiedzieć niczego konkretnego. Wiedział jedynie, że było już, kiedy na planecie pojawili się Aranowie. Ojciec stworzył życie, kiedy samotność zbytnio mu już dokuczyła. Stworzył najpierw Matkę, a potem już oboje dali życie roślinom i Aranom. Drapieżny ocean też jest tworem Ojca.

- Ocean jest zapewne odpadem produkcyjnym tej żywej elektrowni - zauważył Romero. - Elektrowni zaopatrującej w energetyczny pokarm wszystkich mieszkańców tej planety.

- Musimy zatem zdecydować - zakonkludowałem - czy zniszczymy Ojca jako twór torturujący Aranow, czy też zachowamy go przy życiu. W pierwszym wypadku musimy zbudować na Aranii automatyczną elektrownię, żeby jej mieszkańcy nie pomarli z głodu, w drugim zaś trzeba się zastanowić nad sposobami okresowego rozładowywania przesyconego energią Ojca bez udziału nieokiełznanej Matki.

- Zniszczenie jest równoznaczne z morderstwem - powiedział pospiesznie Galakt.

- Co zaś do groźnej Matki - wtrącił Romero - to jej funkcja sprowadza się jedynie do likwidowania nadmiaru elektryczności. Oanie, czy ktoś widział Matkę Błyskawic?

- Jej nie można zobaczyć, gdyż istnieje tylko w zrodzonych przez siebie burzach.

- Inaczej mówiąc jest po prostu naturalnym wyładowaniem nadmiaru energii - stwierdziłem. - W porządku, Oanie. Nikt już więcej na tej planecie nie usłyszy o groźnej Matce, bo jej funkcje przejmie odbudowany szafot.

Opuściliśmy grotę. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że Ojciec Akumulator uśmiechnął się do nas na pożegnanie. Brzmi to dziwnie w odniesieniu do rozpłomienionego błyskawicami jeziora, ale... Poza tym kontaktu nie było: Ojciec Akumulator nie reagował na sygnały, którymi zarzucała go Irena.

Po wyjściu na powierzchnie wezwałem mechaników z „Koziorożca”, którzy w ciągu niespełna dwóch godzin przekonstruowali szafot w ten sposób, aby nadmiar energii wyładowywał się automatycznie na iskrownikach. Wystraszeni Aranowie pokrywali się w jaskiniach i nie przeszkadzali im w pracy.

- Admirale, znalazłem sposób na to, aby pająkokształtni nie zniszczyli naszego iskrownika! - pochwalił się Ellon.

- Odchyliłem jego ostrza w ten sposób, aby przy każdym wyładowaniu tryskał z niego płomienisty słup, który musi przerazić każdego Arana.

- I położyłeś w ten sposób podwaliny nowej religii, Ellonie - zakonkludowałem ze smutkiem. - Minie teraz niejeden wiek, zanim jakiś genialny pająk zrozumie, że iskrownik nie jest istotą nadprzyrodzoną, lecz prymitywnym urządzeniem technicznym. A przecież ich przodkowie budowali gwiazdoloty! Ale trudno, to jest mniejsze zło niż ofiarny stos. Zresztą nie przestaje mnie dziwić przenikliwość fanatycznych przyspieszaczy, którzy tak celnie odgadli przyczyny „gniewu Ojca” i skuteczność, z jaką im zapobiegali... Żeby jednak nie zapragnęli powrócić do starych metod, na wszelki wypadek zainstalujmy wokół „szafotu” barierę ze słabego pola ochronnego, żeby nikt nie mógł się nawet zbliżyć do niego.

Przed zachodem Trzech Mglistych Słońc głuchy grzmot obwieścił, że likwidacji nadmiaru energii nie muszą towarzyszyć okrutne egzekucje lub niszczycielskie burze. Ponad szczyty wzgórz wzniósł się słup krwawych płomieni.

Dziwnie nieśmiałym krokiem zbliżył się do mnie Oan:

- Opuszczacie nas, Eli? - zapytał. - Uratowaliście mnie i staliście się dobroczyńcami całego naszego narodu? Będzie mi bez was źle, admirale.

Popatrzyłem na niego bez słowa. Tkwiła w nim jakaś zagadka. Zagadka tkwiła w całym narodzie Aranów. Nie potrafiłem zapomnieć, że przodkowie tych ciemnych, fanatycznych, zabobonnych istot stworzyli potężną cywilizacje kosmiczną, która oto zniknęła bez śladu. Tego nie można było złożyć na karb degradacji spowodowanej niesprzyjającymi warunkami, bo degradacji w potocznym tego słowa znaczeniu nie było, czego najlepszym dowodem stał się dla mnie sam Oan. Był taki sam jak wszyscy Aranowie i pod wieloma względami nas przewyższał! Czyż nie znaleźliśmy go na pokładzie statku posuwającego się pod prąd czasu? Czyż nie czytał z zadziwiającą swobodą każdej naszej myśli? Czyż istniała dla niego bariera językowa, niepokonalna dla nas bez skomplikowanych urządzeń technicznych? Było jeszcze wiele takich „czyż” stawiających go wysoko ponad nami!

- Oanie - powiedziałem wreszcie. - Potrafisz pilotować gwiaz-

doloty. Wiesz o naturze zakrzywionego czasu więcej niż my. A twoi bracia Aranowie są ciemnymi fanatykami. Skąd czerpiesz swoją wiedze? Dlaczego różnisz się od innych?

- O nie, admirale - odparł Aran z rozbrajającą szczerością. - Takich, którzy w zalewie dzisiejszej ciemnoty zachowali starożytną wiedze jest wśród nas jeszcze wielu. Gdybyście pozostali na planecie, poznalibyście większość z nich.

Niestety, nie mogliśmy sobie na to pozwolić.

- Weźcie mnie z sobą - poprosił Oan, gdy mu to powiedziałem. - Wiele wiem o paradoksach czasu. Nasi przodkowie badali linie temporalne w gromadach gwiezdnych i dobrze je poznali. Nie potrafiliśmy wykorzystać tej wiedzy, ale nic z niej nie uroniliśmy. Wam ta wiedza się przyda.

- A twoi przyjaciele, Oanie? Czy nie będzie im ciebie brakować?

- To jest również prośba moich przyjaciół, którzy poradzili

- Wsiadaj do planetolotu, Oanie. Powiedziałem niemal bez zastanowienia. - Polecisz ze mną na „Koziorożcu”.

7.

Wszystko z początku wydawało się proste. Potrafiliśmy w razie potrzeby rozbijać planety, wiec odkurzenie arańskiego nieba tym bardziej nie stanowiło dla nas problemu. Mogliśmy użyć do tego celu pojedynczego gwiazdolotu lub całej naszej eskadry, na co nalegał Kamagin, jako zwolennik rozwiązań szybkich i radykalnych. Ogół postanowił inaczej. Zdecydowaliśmy się zaprogramować na czyszczenie układu jeden ze statków transportowych i ruszać w dalszą drogę. Jeśli będziemy wracać tą samą trasą, wtedy zabierzemy pozostawioną kosmiczną ciężarówkę.

Plan był dobry, jestem tego jeszcze i dziś pewien, i zawalił się nie z naszej winy.

Kosmiczny odkurzacz nosił nazwę „Taran”. Już sama jego nazwa zdawała się stanowić gwarancje powodzenia akcji. Kamagin z Ellonem sprawdzili wszystkie urządzenia statku i przekonali się, że działają bez zarzutu. MUK „Tarana”, działający podobnie jak pozostałe komputery pokładowe w czasie rzeczywistym, został odpowiednio poinstruowany i przeegzaminowany. Automatyczny mózg zmodelował wszystkie teoretycznie możliwe warianty zakłóceń, uszkodzeń i awarii i znakomicie sobie z nimi poradził. Niestety, nikomu nie przyszło do głowy symulowanie wariantów teoretycznie niemożliwych. Zresztą nie mieliśmy czasu na takie głupstwa.

Nie należy sądzić, że w swym zadufaniu w ogóle nie liczyliśmy się z niespodziankami. W Ginących Światach zetknęliśmy się już z tyloma niezwykłymi zjawiskami, że właściwie nic już nie mogło nas zaskoczyć. Przygotowaliśmy się wiec na najgorsze. Nasz błąd polegał jedynie na przekonaniu, że wszelkie wrogie działanie groźnych sił panoszących się w Układzie Trzech Mglistych Słońc, działanie owych arańskich Okrutnych Bogów, będzie oparte na prawach natury, a zatem mieścić się będzie w ramach logiki, ludzkiej logiki.

Pozwoliłem sobie na te dygresje, aby lepiej uzmysłowić to, co wydarzyło się gdy „Taran” przekształci5 sie w satelitę gwiazdy potrójnej. Wszystko przebiegało zgodnie z programem. Statek zbliżył się do centrum układu po zwężającej się spirali, a potem MUK uruchomił anihilatory masy. Zataczał teraz wyciągnięte elipsy, a za nim ciągnęła się smuga czystej przestrzeni, w której czerwonawy blask Trzech Mglistych Słońc przybierał swą właściwą barwę srebrzystego błękitu. Nie upłynie nawet ziemskie półwiecze i przynajmniej jeden z Ginących Światów przekształci się w Świat Odrodzony!

Zszedłem do pegazowych stajni. U Włóczęgi był Romero, przy którego nogach rozciągnął się Mizar. Mądry pies nie przyszedł jeszcze do siebie po tragicznej śmierci Lusina. Unikał nas, gdyż najwidoczniej uważał, że nie zrobiliśmy wszystkiego co możliwe, żeby uratować jego przyjaciela i nauczyciela. Nigdy tego nie powiedział, nie pozwolił sobie na najmniejszą aluzje, na najcichsze warkniecie, ale odwiedzał tylko smoka. Włóczęga przecież nie był na powierzchni Aranii, a zatem nie miał nic wspólnego z tragedią.

- Wszystko idzie dobrze, Włóczęgo - powiedziałem.

- Zbyt dobrze, aby było naprawdę dobrze - odparł smok.

- Nie rozumiem, co masz na myśli. A ty, Mizarze - pogładziłem psa - co myślisz o pesymizmie Włóczęgi?



- Nie potrafię już myśleć o niczym i nikim poza Lusinem - odwarknął ze smutkiem pies. - Oduczyłem sie myśleć po waszemu.

Romero powiedział:

- Drogi admirale! Niesłusznie moim zdaniem oskarża pan naszego przyjaciela Włóczęgę o czarnowidztwo. W jego paradoksalnej uwadze tkwi głębsza myśl. Nasz mądry przyjaciel zapewne postawił sie na miejscu Okrutnych Bogów, których zresztą może w ogóle nie być, i zastanowił się, jak by wówczas działał. I doszedł do wniosku, że w tym wypadku działaniem najskuteczniejszym było zaniechanie wszelkiego działania, przynajmniej z początku. Włóczęga, będąc Okrutnym Bogiem, najpierw starannie zbadałby cele i możliwości fizyczne naszego kosmicznego odkurzacza, a dopiero potem postarał się go unieszkodliwić.

- Wprawdzie zastrzegł się pan, że nie bardzo wierzy w real-

ne istnienie Okrutnych Bogów, ale mówi o ich hipotetycznych działaniach jak o czymś oczywistym! - zaoponowałem. - Tymczasem groźni władcy Układu Trzech Mglistych Słońc mogą być po prostu takim samym płodem fantazji Aranów, takim samym upostaciowaniem banalnych zjawisk fizycznych, jakim okazała się. śmiercionośna Matka Błyskawic.

To zdanie kończyłem już w drodze na stanowisko dowodzenia, gdzie Oleg pilnie wezwał nas obu. Z „Taranem" coś się stało. Jego anihilatory przestały nagle wygarniać pył kosmiczny, a sam statek po wyłączeniu napędu wszedł na niesterowaną keplerowską orbitę. Nie reagował na żadne sygnały, ale jego MUK nie przestał funkcjonować, bo generował słabe impulsy, tak jednak niezborne, że nie sposób ich było rozszyfrować.

- Musimy wysłać holownik - powiedział chmurnie Oleg - Ale jak dostać się do wnętrza statku? Wprawdzie „Taran" nie wydaje się być uszkodzony, ale przy niesprawnym mózgu pokładowym włazy nie dadzą się otworzyć. Trzeba chyba będzie wyciąć otwór w kadłubie.

Najbliżej unieruchomionego statku znajdował się gwiazdolot dowodzony przez Petriego, więc Oleg rozkazał mu przyprowadzić „Tarana". Wkrótce oba statki znalazły się przy burcie „Koziorożca". Petri jeszcze w drodze polecił przy pomocy komory remontowej wyciąć otwór w pancerzu kosmicznego odkurzacza i wymontować MUK. Sam go następnie dostarczył na pokład flagowca. Mózg wyglądał na całkowicie sprawny - żadnego uszkodzenia mechanicznego, najmniejszego nawet zadrapania na obudowie, żadnych przerw w obwodach elektrycznych - jego sterujący kryształ nadal lśnił cudownym zielonkawym blaskiem, jakim poszczycić się może tylko neptunian najczystszej wody, ale MUK zachowywał się jak szalony i plótł niesamowite, całkowicie niezborne bzdury.

Umieszczono go na stanowisku testującym i Ellon z Ireną przystąpili do badania chorej maszyny. Stanąłem opodal, żeby im nie przeszkadzać. Wspominałem już zapewne, że Ellona niełatwo jest zadziwić, ale tym razem nawet nie starał się ukryć zdumienia.

- Admirale - powiedział. -Jestem wstrząśnięty. Pola ochronne mózgu nie zostały przebite, zdeformowane lub chociażby osłabione. MUK rozregulował się sam. Sam, admirale, gdyż kategorycznie wykluczam tu działanie sił zewnętrznych. Ale wewnętrznych uszkodzeń układu elektrycznego też nie stwierdziliśmy. Z niczym podobnym do tej pory się nie zetknąłem! Pozostała tylko jedna możliwość: samoczynna degradacja jednego z podzespołów. Musze to sprawdzić, ale zajmie mi to co najmniej parę godzin...

- No cóż - powiedziałem - zaczekamy na wynik. - Po czym zwróciłem się do Włóczęgi. Smok, któremu nadal towarzyszył Mizar, czekał z niecierpliwością na najświeższe wiadomości.

- Włóczęgo - powiedziałem. - Najlepiej z nas wszystkich znasz naturę przestrzeni, wiec może potrafisz rozwikłać zagadkę „Tarana". Posłuchaj uważnie. Jego MUK przestał działać, chociaż nie miały na to wpływu żadne siły zewnętrzne ani wewnętrzne. Inaczej mówiąc, w przestrzeni, przez którą mknął mózg wraz ze statkiem nic się nie wydarzyło. Rozumiesz mnie, Włóczęgo? Chodzi mi o to, czy na MUK nie mogła zgubnie podziałać sama przestrzeń. Czy przestrzeń, będąc w warunkach normalnych jedynie biernym nośnikiem pól, fal i cząstek materii, nie mogła się nagle uaktywnić?

- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie - wyznał smok. - Miałem do czynienia jedynie z pasywną przestrzenią, którą umiałem niemal dowolnie kształtować. Wiem, że potrafi wytwarzać własne fale, które wy nazywacie falami przestrzennymi, że można ją przekształcić w materię, z której znów da sie wytworzyć przestrzeń. To wszystko prawda, ale według mojej wiedzy przestrzeń nie może oddziaływać na ciała materialne inaczej niż za pośrednictwem działających w niej sił.

- Ja też tak sądzę. Zapytajmy jeszcze jednak o zdanie Oana, który lepiej od nas poznał tajemnice tutejszego świata.

Dwunastonogi myśliciel zjawił się wraz z Orlanem i Gracjuszem, którzy też byli ciekawi opinii Arami-

Nie zdążyłem jeszcze zadać swoich pytań, gdy do stajni smoka wszedł Oleg z Ellonem, który przyniósł graficzny wynik badań testowych.

- Admirale! - wykrzyknął impulsywnie Ellon. - Zaręczam, że nigdy o czymś podobnym nie słyszałeś. MUK „Tarana" myli skutki z przyczynami! I to wszystko, powtarzam, bez śladu jakiegokolwiek uszkodzenia!... To prawdziwy cud, że zwariowana maszyna nie wysadziła całego statku w powietrze, a przy okazji nie spopieliła przynajmniej jednego z Trzech Mętnych Słońc.

- Rozumiesz coś z tego? - zapytałem Oana. - Możesz wyjaśnić to piekielne zjawisko?

- Nie ma w nim nic piekielnego - odparł bez wahania Aran. - Wasza maszyna zapadła na raka czasu. Czas eksplodował w jej wnętrzu, rozerwał jej łańcuchy logiczne i rozsypał ich ogniwa po przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Dlatego niezdolna jest do zrealizowania jakiegokolwiek programu. Rak czasu jest najcięższą chorobą naszego świata.

- Czy i my możemy się nią zarazie? - zapytał Orlan, którego głowa z przerażenia tak głęboko zapadła sie w ramiona, że na zewnątrz wystawały jedynie oczy.

- Jeśli tylko Okrutni Bogowie tego zapragną! Właśnie dlatego starałem się wyrwać do innego czasu. Jesteście potężni, wiec wam może się to udać. Jeśli jednak nie chcecie chronić się w pozaczasie, to lepiej uciekajcie z tego miejsca. Okrutni Bogowie nie zauważali was dotychczas, ale teraz spostrzegli. To jest zły znak.

Mówił o tym, że Okrutni Bogowie raczyli wreszcie popatrzeć na nas niedobrym okiem, a ja po raz któryś z rzędu przypatrywałem się uważnie jemu samemu. Wydało mi się nagle, że widzę go po raz pierwszy. Dwoje jego dolnych oczu patrzyło na nas, zwyczajnie patrzyło. A trzecie oko umieszczone nad nimi świdrowało przenikliwym blaskiem, promieniowało, wbijało do naszych głów jego myśli, obce dla nas i groźne. Przebiegł mnie mimowolny dreszcz. Oan też miał niedobre oko...

8.

Gdybym miał jednym zdaniem wyrazić natrętne pragnienie, które nas wszystkich opanowało, powiedziałbym tylko: „Spłachetek czystego nieba!". Nieznani przeciwnicy zabronili nam oczyszczać przestrzeń kosmiczną, ale gotowi byliśmy zetrzeć się z każdym przeciwnikiem. Nieoczekiwana przeszkoda sprawiła, że zagrała w nas krew wojowniczych przodków, którzy stawiali czoła nawet bogom. Nie chcieliśmy być od nich gorsi.

Oleg wezwał na odprawę dowódców statków, a przed ich przybyciem przyszedł się ze mną naradzić.

- Eli - powiedział - jednym z najwspanialszych wyczynów twojej pierwszej wyprawy do Perseusza było zniszczenie Złotej Planety, w sposób tak zdecydowany i mistrzowski dokonane przez Olgę Trondicke. Zamierzam zaproponować załogom przeprowadzenie podobnej akcji.

Poprosiłem o wyjaśnienia i Oleg sprecyzował swoją myśl. Olga wysadziwszy wówczas Złotą Planetę stworzyła ogromny obszar nowej przestrzeni i wyprowadziła przez nią uwięziony w pułapce gwiazdolot. Niszczyciele wiele musieli się natrudzić, aby włączyć ów nowy przestwór do swojego świata. W gromadzie gwiezdnej Ginących Światów panują istoty najwidoczniej od Niszczycieli potężniejsze, które dla jakichś swoich celów zapylają gwiazdy i zdecydowanie przeciwstawiają się oczyszczaniu przestrzeni. Ale możemy ich zaskoczyć przez zanihilowanie większej masy i przynajmniej na kilka pokoleń dać Aranom obiecany skrawek czystego nieba.

- Zasadniczą trudnością twojego planu - powiedziałem - jest konieczność zachowania go do czasu w tajemnicy przed Ramirami, bo na razie wszystko wskazuje na to, że to oni właśnie są owymi Okrutnymi Bogami pająkokształtnych. Poza tym nie mam żadnych uwag.

Plan spodobał się wszystkim dowódcom gwiazdolotów, tym bardziej że jego realizacja wydawała sie względnie łatwa. Nasze anihilatory były znacznie potężniejsze od zainstalowanych kiedyś na „Pożeraczu przestrzeni", a i z wyborem obiektu zniszczenia nie było większego kłopotu, bo wokół Trzech Mglistych Słońc krążyło przecież kilka martwych planet. Dyskusje wywołała jedynie sprawa zamaskowania operacji.

- Ramirowie, jeśli to istotnie oni są Okrutnymi Bogami - powiedziała Olga - mogą z łatwością zapobiec zniszczeniu planety w momencie, kiedy skierujemy w jej stronę statek z uruchomionymi anihilatorami bojowymi. Najlepiej zatem - kontynuowała - będzie przeprowadzić akcje w dwóch etapach. Rozpylenie pojedynczego gwiazdolotu nie powinno zwrócić uwagi Ramirów, a my uzyskamy nieco nowej przestrzeni wyłączonej do czasu spod ich władzy, którą możemy wykorzystać jako tunel dolotowy dla statku zadającego główne uderzenie.

Kamagin poprosił, żeby to jemu pozwolono przeprowadzić anihilacje maskującą, ale Oleg wolał powierzyć mu ochronę gwiazdolotu rozpylającego planetę, jako że nikt inny nie nadawał się lepiej od niego do wykonania zadań wymagających nie tyle ostrożności i zimnej kalkulacji, ile szybkiej reakcji i zdecydowanego działania.

- Anihilacje maskującą przeprowadzi pański „Cielec" - zwrócił się Oleg do flegmatycznego Petriego. - A uderzyć na planetę

zechce Olga, gdyż tylko ona jedna spośród nas ma doświadczenie w rozpylaniu dużych obiektów kosmicznych.

- Zgadzam się wykonać rozkaz dowódcy eskadry - powiedziała Olga - ale pod jednym warunkiem. Eli - zwróciła się do mnie - w chwili ataku na Złotą Planetę siedziałeś obok mnie na stanowisku dowodzenia. Twoja obecność dodała mi ducha. Chciałabym, abyś na czas operacji przeniósł się na mój statek.

- Zgoda, jeśli widok człowieka śmiertelnie przerażonego dodaje ci odwagi! - odparłem ze śmiechem i spojrzałem pytająco na Mary: - Pozwolisz Oldze porwać mnie za parę dni?

- Będę cierpiała męki zazdrości, ale czegóż nie robi się dla dobra sprawy - westchnęła ciężko Mary, ale nie zdołała utrzymać powagi i też parsknęła śmiechem.

Odpowiednią planetkę znaleźliśmy bez trudu. Jedyny kłopot polegał na tym, że jej orbita leżała za orbitą Aranii, my zaś chcieliśmy dokonać anihilacji miedzy planetą pająkokształtnych a Trzema Mglistymi Słońcami. Za to Gracjusz ustalił ponad wszelką wątpliwość, iż życia na przeznaczonym do zagłady globie nigdy nie było i że jego powstanie w przyszłości również jest absolutnie wykluczone.

Nieznane wrogie siły nie reagowały, gdy trzy towarowe gwiazdoloty wzięły planetkę na hol i pociągnęły ją w stronę Trzech Mglistych Słońc.

W czasie gdy dokonywała się roszada orbit planetarnych, Olga przygotowywała się już do drugiego etapu operacji. Siedziałem obok niej na stanowisku dowodzenia i wpatrywałem się w Kosmos, w którym panował zupełny spokój, co zarazem cieszyło i napawało niepokojem. „Wąż”, „Cielec” i „Koziorożec” zostały w tyle i ich światła pozycyjne ledwie tliły się na ekranie powielacza optycznego. Było to zgodne z planem, który przewidywał, że statki załogowe winny się trzymać na uboczu, aby nie narazić sie na niebezpieczeństwo niespodziewanego ataku ze strony Ramirów.

- Planetka weszła ha optymalną orbitę, Eli - powiedziała Olga - Petri zbliża się do niej na odległość skutecznej anihilacji. Wkrótce nadejdzie nasza kolej.

Nasza kolej nie nadeszła, bo do akcji wkroczyły obce, wrogie siły. Do końca życia nie zapomnę tego, co rozegrało się na moich oczach.

Planetka znajdowała się dokładnie pośrodku miedzy Aranią a Trzema Mglistymi Słońcami. Mknęła swobodnie po swej nowej orbicie, poprzedzana zwartą grupką trzech holujących ją dotychczas gwiazdolotów. Za nią, również w szyku zwartym, pędziły pozostałe ciężarówki kosmiczne, a jedna z nich, skazana na anihilacje, krążyła wokół globu po niskiej elipsie. Nasz gwiazdolot ustawił się na linii łączącej Aranie z Trzema Słońcami. Z boku pojawił się „Cielec”, aby błyskawicznie ostrzelać skazany na zagładę gwiazdolot i równie błyskawicznie wyłączywszy anihilatory odlecieć do tyłu na fali nowej przestrzeni. My zaś mieliśmy wtargnąć w samo oko kosmicznego cyklonu i zadać decydujący cios. Taki był plan. Nic wiec dziwnego, że widząc w powielaczu zbliżającego się „Cielca” widziałem jednocześnie oczami duszy samego Petriego, jak lekko pochylony do przodu wpatruje się w rosnący na ekranie gwiazdolot i unosi rękę, by za chwile opuścić ją z okrzykiem: „Pal!”. Ale to nie on wypalił...

Trysnął promień, ten sam przeklęty promień, który spopielił Czerwoną Gwiazdę! Tym razem był cieńszy i nie jarzył się tak długo. Wystrzelił z zamglonej dali i momentalnie zgasł, jak zdmuchnięty. Promień trwał przez mgnienie oka, ale to wystarczyło, aby w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się potężny statek wyposażony w groźną broń, gwiazdolot na którego pokładzie znajdowali sie ludzie i Demiurgowie, żeby w tym miejscu buchnął kłąb płomieni. Nie było już gwiazdolotu, nie było nawet ich zwłok. Był tylko szybko gasnący ogień, a potem rozpełzający się. w przestrzeni miałki, srebrzysty pył.

Zobaczyłem też, jak pozostałe gwiazdoloty schodzą z precyzyjnie obliczonych trajektorii, zderzają się i giną kolejno w takich samych kłębach ognia, w jakich spłonęli nasi przyjaciele z „Cielca”. Przylgnąłem twarzą do ekranu powielacza, bo przez Kosmos wprost w rozszalałe ognisko pędził bezwładnie „Koziorożec”. Gryzłem palce do krwi, ryczałem z wściekłości i bólu, ale musiałem zobaczyć co się dzieje. Żeby zrozumieć i straszliwie zemścić się na sprawcach katastrofy, jeśli sam ją przeżyje!

„Koziorożec” jakimś cudem wyminął nagle dogasające pogorzelisko gwiazdolotów i pomknął w mętny tuman zapylonej przestrzeni, a „Wąż” jeszcze wcześniej zdołał wykonać zwrot i teraz odsuwał się po łagodnej krzywej od epicentrum katastrofy.

Opadłem bez sił na fotel i dopiero po dłuższej chwili zorientowałem się, że Olga rozpaczliwie szarpie mnie za rękaw kombinezonu.

- Eli! Ocknij sie! - wołała. - Nasz MUK odmówił posłuszeństwa. Nie mogę przekazać żadnego rozkazu do maszynowni, statek jest niesterowny i coraz szybciej spadamy na płonące ciężarówki!

Nie wiem, jak długo mnie wołała, ale gdy tylko jej głos dotarł do mojej świadomości, gdy tylko uświadomiłem sobie grozę naszej sytuacji nie wahałem się ani przez chwile.

- Bez paniki! - krzyknąłem. - Przechodzimy na ręczne sterowanie!

Ale nie było na co przechodzić, bo ręczne stery, podobnie jak wszystkie urządzenia zautomatyzowane, również nie działały. Wszystkie niezliczone klawisze i przyciski na pulpicie sterowniczym zostały zablokowane, wszystkie lampki sygnalizacyjne jarzyły się purpurową barwą alarmu! I nagle przypomniałem sobie, że istnieje jeden jedyny obwód, którego nie można wyłączyć ani zablokować rozkazem myślowym, który daje się uruchomić tylko przy pomocy staroświeckiego klucza. Sam ten obwód jeszcze kiedyś w szkole zaprojektowałem, sam obliczyłem niezbędną ilość i siłę ładunków wybuchowych niszczących statek od środka. To był obwód rozpaczy, ostatnia deska ratunku w warunkach najwyższego zagrożenia.

- Klucz!- ryknąłem. - Klucz od komór wybuchowych! Olga zbielała z przerażenia.

- Eli! - powiedziała błagalnie. - Może jeszcze nie trzeba?... Ja jeszcze nie straciłam nadziei... Gotów byłem ją udusić. Nadziei nie było.

- Uspokój się, idiotko! - wrzasnąłem. - Nie zamierzam popełniać zbiorowego samobójstwa. Natychmiast dawaj klucz!

Olga trzęsącymi się ze zdenerwowania rękami rozpięła bluzkę i wyciągnęła spod niej zawieszony na szyi łańcuszek z kluczem. Nie czekając aż odepnie go zesztywniałymi palcami, szarpnąłem klucz i popędziłem w kąt sterówki, gdzie znajdował się skomplikowany zamek w zapieczętowanej kasecie. Zerwałem pieczęć, wsunąłem klucz do dziurki i ostrożnie, napominając się w duchu, żebym nie popełnił fatalnego błędu, przekręciłem go o jedną trzecią obrotu.

Ciężki wybuch wstrząsnął statkiem. Prawa strona rufy, gdzie były zamontowane nasze groźne anihilatory, przestała istnieć... Przestała istnieć zda się niezwyciężona gwiezdna twierdza zdolna do rozpylania planet i rozproszenia nieprzyjacielskich flot, Ale statek został, przeżył, bo straszliwa eksplozja rzuciła go w lewo, zepchnęła z kursu prowadzącego wprost ku zagładzie. W ostatniej chwili, bo za sekundę byłoby już za późno.

Olga rozpłakała się i padła na fotel. Przez kilka minut nie odzywaliśmy się ani słowem i trwaliśmy tak w kompletnej ciszy, bo do stanowiska dowodzenia nie docierały żadne dźwięki. A przecież po korytarzach statku miotali się teraz ludzie i ich gwiezdni przyjaciele, przerażeni i zdezorientowani. Nie wiem nawet, co silniej zszarpało ich nerwy: oczekiwanie na niechybną śmierć czy nieoczekiwany ratunek. Wreszcie Olga powiedziała słabym głosem:

- Eli, jak to się mogło stać? Przecież nasz MUK jest szczelnie otoczony polem ochronnym! Jaka siła mogła go przebić? Dlaczego milczysz? Boje się, odezwij się do mnie!

- Milczę, bo wszystko zrozumiałem - odparłem, starając się zachować spokój. - Ramirowie wypowiedzieli nam wojnę. Zniszczyli eskadrę Allana i twojego męża, Olgo. Teraz przyszła kolej na nas.

Patrzyła na mnie okrągłymi, szalonymi ze strachu oczami.

- Przywykłam ci wierzyć, Eli - powiedziała. - Zawsze wierzyłam w każde twoje słowo... Ale przecież oni nie mogli wiedzieć, że to właśnie Petri ma zacząć operacje. Nie ja, nie Kamagin, nie Osima, tylko Petri! O tym wiedziały tylko nasze załogi, a Ramirowie zaatakowali Petriego!

- Nam też nieźle się dostało, my też o mało nie zginęliśmy - zaoponowałem ponuro. - A co się tyczy pytania, w jaki sposób Ramirowie poznali plan operacji, to odpowiedź może być tylko jedna: na któryś z naszych statków przedostał się ich szpieg!

- Szpieg?

- Nie podoba ci się to słowo? Wobec tego konfident, zwiadowca, kapuś, tajny agent, zdrajca, co wolisz... I ten zdrajca znajduje się na statku flagowym eskadry, na „Koziorożcu”, Olgo!



Człowiek publiczny

Andrzej Tuziak

Wyróżnienie w konkursie „Fantastyki”

1.

Podpisałem ten kontrakt na rok. Oferta była dość nęcąca ze względów finansowych, ale pociągała za sobą dużo wyrzeczeń. Miałem spędzić dwanaście miesięcy jako tak zwany Człowiek Ogólnie Dostępny. Zamieszkałem w specjalnie przygotowanym miejscu. Było to spreparowane mieszkanie o dwóch pomieszczeniach: salon i toaleta. Znajdowało się na parterze, a jedna ze ścian w obu pomieszczeniach była przezroczysta mieszanina syntetyków i szkła - aby było widać z ulicy wnętrza obu pomieszczeń. Miałem tam spędzić cały ten czas, będąc ciągle wystawiony na widok publiczny, co było zastrzeżone w kontrakcie, który groził zerwaniem, jeśli w jakikolwiek sposób próbowałbym ukryć się przed wzrokiem ludzi z ulicy. Zacząłem od czwartku osiemnastego kwietnia.

2.

Kobieta leżała wyczerpana, a jej partner spał. Dopiero teraz zaczynała myśleć nad tym co zrobiła. Ale nie robiła tego zbyt często z mężczyznami, którzy jej nie odpowiadali. Tym razem musiała się sprawdzić. Był to tylko test. Samiec się zbudził.
- Daj papierosa.
- Nie będziesz w moim łóżku.
- Myślałam...
- Myślenie nie jest twoją najlepszą stroną i nie po to cię tu przyprowadziłem. Co ty tu jeszcze robisz - mężczyzna ziewa - Spełniłaś swoją role i możesz iść.
- Tak jest. Już wstaję. - Kobieta posłusznie wstaje i ubiera się. Mężczyzna dłubie w nosie i obojętnie przygląda się kobiecie. Słychać szelest syntetycznych ubrań.
Kobieta jest już ubrana, jeszcze tylko przeciąga ręką po idealnie gładkiej skórze na głowie i rusza do wyjścia.
- A co to? Nie masz zamiaru mi zapłacić? Myślisz, że robiłem to dla przyjemności? Za prace się płaci. Kobieta wyciąga z kieszeni monety i rzuca w kierunku leżącego. Jeszcze jeden test przeprowadzony przez kobietę nie wypadł negatywnie. Mężczyzna zbiera monety, które wpadły miedzy jego gołe nogi, wyginając je na wszystkie strony sprawdza jakość tworzywa. Uśmiecha się. Kobieta wychodzi na ulice, gdzie mija Człowieka Ogólnie Dostępnego, który właśnie się goli.

3.

Z samego początku, jeszcze nim zgodziłem się podpisać ten kontrakt, najgorsze wydawały mi się sceny w łazience. Tam także miałem się zachowywać jak u siebie w domu, swobodnie i naturalnie. Co najmniej raz w tygodniu byłem zobowiązany się wykąpać, codziennie myć sie i golić z rana, czyścić zęby i w

ogóle dbać o swoją higienę przyborami z syntetyków. Nie wolno mi było chorować, miałem być okazem zdrowia i sił witalnych. Początkowe skrępowanie, o którym już wspomniałem, minęło bardzo szybko, a na jego miejsce przyszły całkiem odmienne uczucia, gorsze od poprzednich, bo na to nie można było reagować obojętnością i nonszalancją.

4.

SZANOWNI CZYTELNICY, MAMY NOWEGO „CZŁOWIEKA OGÓLNIE DOSTĘPNEGO". OGLĄDAJCIE JEGO ŻYCIE. PAMIĘTAJCIE: JEGO ŻYCIE TO WASZE ŻYCIE. „CZŁOWIEK OGÓLNIE DOSTĘPNY' ŻYJE W DOSKONAŁYM ŚWIECIE SYNTETYKÓW. BIERZCIE Z NIEGO PRZYKŁAD. ŻYCIE WŚRÓD SYNTETYKÓW NASZYM DNIEM DZISIEJSZYM. POPIERAJCIE SYNTETYKI!

5.

Te nowe uczucia początkowo narastały niezauważalnie. Nie, to raczej ja nie zdawałem sobie sprawy z ich istnienia, bo było to dla mnie nowością. Nigdy się z nimi nie spotkałem i nie potrafiłem ich nazwać. Nawet do tej pory stanowią dla mnie zagadkę, mimo że mam dość wysoki iloraz inteligencji. I, co najdziwniejsze, nie odczuwam ich gdy jestem oglądany, bo gdy ktoś mnie obserwuje to wtedy staje się „kimś". Jestem aktorem, aktorem występującym bez przerwy, oczywiście jeśli tylko ktoś ma ochotę cały czas obserwować moją grę. Wtedy dopiero jestem sobą i jest mi dobrze, pochlebiają mi te ciekawskie twarze dorosłych, rozdziawione gęby przygodnych widzów, gdy zatrzymują się sami, lub zostają zatrzymani przez swe nieznośne pociechy. Wtedy odstawiam jakiś ciekawy numer jak wydzielanie moczu, czy nerwowe przerzucanie pornograficznych czasopism z miną podnieconego nastolatka.

6.

Człowiek wybiegł z zagrody. Miał przed sobą sto metrów pofałdowanej łąki ogrodzonej wysokim płotem. Biegł zakosami i był już blisko połowy dystansu, gdy padły pierwsze strzały. Strzelający stali pod zadaszonymi strzelnicami, które osłaniały ich oczy przed ostrym słońcem. Strzelał tylko jeden z dwójki szybko repetując karabin. Nawet z dość dużej odległości można było rozpoznać czerwone plamy na białej koszuli uciekającego, który wreszcie dopadł końca zielonej murawy i zniknął w zagłębieniu. Po chwili na tablicy świetlnej pojawiła się cyfra „siedem".
- No, no. Wszystkie w celu, jesteś świetny - powiedział mężczyzna bez broni.
- Ale widziałeś, że dałem mu pięćdziesiąt metrów spokoju? - zapytał drugi.
- Jasne, dlatego byłem zdziwiony wynikiem.
Ten który strzelał oddał karabin drugiemu i odliczył siedem naboi.
- Ciekawe, czy ich to boli - zapytał ładujący karabin.
- Oczywiście, trochę zawsze boli, tak jak silne uderzenie palcem, syntetyczny materiał jest cienki, szybko pąka, a krew jest ciepła od tarcia, tak że w sumie ich to więcej piecze niż. boli, ale można wytrzymać. Muszą tylko uważać na głowę, żeby nie oberwać w oko. No wypuść następnego i nie musisz mu dawać czasu na ucieczką, wal od razu.
- Wiem, że i tak będą gorszy od ciebie. Mężczyzna przyciska starter i zagrodą opuszcza następny biegacz w białym ubraniu.

7.

Chyba udało mi się odkryć pewną prawidłowość związaną z tym dziwnym uczuciem. Otóż stan ów nachodzi mnie tylko wtedy, gdy nikt mnie nie obserwuje, gdy ulice są puste, a ja plącze się bezproduktywnie po moich pomieszczeniach. Czasami też zdarza się to w nocy, kiedy na próżno staram się zmusić do snu, albo gdy zasnę i zbudzę się w samym środku nocy. Wtedy nie wiem czego mam się czepiać, wszystko mnie śmiertelnie nudzi, siedzę albo leże jak otumaniony i musze się zmuszać do



przełknięcia śliny. Wtedy mam zawsze dużo śliny w ustach. Coś mi ją produkuje w oszalałym tempie, tak że czasami nie nadążam z jej przełykaniem. Niekiedy miałem z nią takie przeprawy, że na samą o nich myśl przechodzą mnie ciarki po plecach; gromadzi mi się pewna ilość tej przeklętej śliny, najczęściej dochodzi do takich ekscesów podczas leżenia, i wtedy robie normalne ruchy w celu jej przełknięcia, to znaczy ruszam grdyką, odpowiednio manipuluje językiem i tym ruchomym podniebieniem (nie wiem jak to dokładnie się nazywa, bo z anatomii zawsze byłem w szkole słaby), i nic. Ślina zostaje mi w ustach. Ponawiam próby. Czasami przy takich wyczynach tracę oddech, serce mi wali

jak młot, zrywam się, wypluwam to świństwo i palcem badam wnętrze, czy nie ma tam zapory, czy cholera wie czego. Jestem cały mokry, dosłownie zlany potem i gdybym chorował na serce, to długo bym nie pociągnął.

8.

NIE POTRZEBA MI AFRYKI KIEDY WOKÓŁ SYNTETYKI! SYNTETYKI SĄ DLA WAS, PAMIĘTAJCIE O NICH, BO BEZ MCH NIE MA LUKSUSU. JEŚLI MEBLUJESZ MIESZKANIE TO PAMIĘTAJ, ŻE NAJLEPSZE SĄ MEBLE SYNTETYCZNE. NAJMILSZYM UPOMINKIEM DLA DZIECKA: ZABAWKI SYNTETYCZNE Z ROCZNĄ GWARANCJĄ. POPIERAJCIE SYNTETYKI!

9.

Jeszcze przed podpisaniem kontraktu zastanawiałem się, jak wytrzymam rok bez kobiety. Oni też mordowali sie nad problemem i rozwiązali go w charakterystyczny dla nich sposób. Oczywiście musze dodać, że sami o tym nie pomyśleli, lecz ktoś listownie do nich zaapelował (może nawet sama firma syntetyków) i podał im pomysł na rozwiązanie tego problemu. Przysłali mi syntetyczną kobietę.

Syntetyczna kobieta! Ale jaka kobieta! Do tej pory nie udało mi się rozszyfrować, z jakiego materiału została zrobiona, choć na syntetykach znam się bardzo dobrze. Mimo to nie widać żadnych urządzeń podgrzewających, jej skóra ma temperaturę ludzkiego ciała. Struktura materiału przypomina do złudzenia skórę ludzką, a zadbano nawet o takie szczegóły jak włosy łonowe. Idealnie gładka głowa, do jakiej normalnym kobietom z trudem udaje się dochodzić, była jeszcze jednym zaskoczeniem. Cieszyły takie drobiazgi jak sprawnie wprawione paznokcie, czy idealnie podrobione oczy, a szczególnie ten stan ekstazy widoczny od razu na twarzy Heloizy. Tak, Heloizy. Nazwałem ją w ten sposób, aby podkreślić dziwaczność naszej sytuacji, przy czym to ja byłem sprawny seksualnie, a ona raczej nie. Cóż można o niej jeszcze powiedzieć. Oczywiście miała drobne mankamenty: nie nadawała się do zbyt częstego użytku i byłą trochę sztywna. Leżała na plechach, a jej poza, z rozrzuconymi rekami oraz podkurczonymi nogami, od razu informowała o przeznaczeniu. W taki oto sposób rozwiązano problem kobiety.

10.

- Tutaj liczy się tylko obliczanie. Musisz obliczać bez żadnej pomocy, bez liczydeł, czy innych udogodnień, bez korygowania i porównywania; liczyć do końca, aż otrzymasz ostateczny wynik, a gdy nie zgadza on się z wynikiem komputerowym, to musisz zacząć jeszcze raz.

- Czy są przerwy?

- Nie ma. Obliczasz bez przerwy przez cztery godziny, a nie oszukuj udawaniem i myśleniem o pierdołach. Tego sie nie da ukryć, wyłapujemy takich i muszą zaczynać od nowa. Moim obowiązkiem jest przestrzec cie przed takimi numerami. Pracuj uczciwie, bo tylko to jest ewolucją.

- Wiem i postaram się zapamiętać. - „A gówno” pomyślał, patrząc na sale wypełnioną stołami, przy których około setka liczących zapisywała czyste kartki papieru.

11.

Sam teraz nie wiem, co rok temu podkusiło mnie, żeby podpisać ten kontrakt. Nareszcie wychodzę, jutro. Jaka ulga. Wiem dobrze, że wracam do tego waszego bagna, rozrywek wyrafinowanie atrakcyjnych, opłacanych stosunków i beznadziejnej pracy - budowy inteligencji przyszłych pokoleń. Śmiać mi się chce. Śmiać syntetycznie. Czuje się głupio i zdolny do głupstw.

12.

BUDUJCIE PRZYSZŁOŚĆ Z SYNTETYKÓW. WIERZCIE REKLAMIE: PALIWA SYNTETYCZNE SPALAJĄ SIĘ BEZ ZANIECZYSZCZEŃ. SYNTETYK TO LEPSZA I TRWALSZA RZECZYWISTOŚĆ, A CO NAJWAŻNIEJSZE - TAŃSZA. POPIERAJCIE SYNTETYKI.

Andrzej Tuziak



Aleksandra Siemieniec

● ● ●

Chciano ją ratować
Ale nie było już opatrunków
Chciano ją włożyć do trumny
Ale nie było już drzew
Chciano ją pochować
Ale nie było już ziemi
Chciano o niej pamięta
Ale nie było już nikogo

Wyróżnienie w konkursie „Fantastyki”

Koniec Wszechświata

Waldemar Kamiński

III nagroda w konkursie „Fantastyki”

Papawandowalorokomduronikolakopulowski siedział w pokoju dowodzenia i przeglądał mapy. Na jego ustach błąkał się uśmiech. Był zadowolony, wreszcie zrealizował swoje marzenia, dotarł do celu. Do pokoju wszedł nawigator i powiedział:

- Wszystko przygotowane panie komandorze.

Obaj w ciężkich skafandrach próżniowych wyszli na powierzchnie statku. Przed dziobem rakiety była jakby mglista ściana o niewidocznych krawędziach, a na niej ułożony z seledynowych gwiazd napis. Dowódca włączył radio i odczytał:

- Koniec Wszechświata.

Bariera

Jerzy Strusiński

Wyróżnienie w konkursie „Fantastyki"



To był prosty pomysł, taki prosty, że aż genialny. I chyba dlatego spotykał się z niedowierzaniem, ignorancją, a czasami wręcz wrogim przyjęciem w sferach pseudo, raczej, naukowych. Pomysłodawcą demonstrował wynalazek na każde życzenie różnych szacownych komisji, na oczach powielał przedmioty codziennego użytku, dzieła sztuki i skomplikowane urządzenia. Kopiował je w kilku minutach bez straty energii i materiałów. Czy coś może powstać z niczego? Nie może, twardo orzekali uczeni i zamykali protokoły ostatecznym „NIE". Zwrócił sie wiec wynalazca do Wszechzwiązkowej Rady Ziemi z uprzejmą prośbą o powołanie jakiejś nadzwyczajnej komisji światowej. Nie mógł przecież zabrać ze sobą w zaświaty wynalazku, który może uszczęśliwić ludzkość i pomnożyć dorobek, wypracowany w pocie czoła przez pokolenia. Poza tym kończył się już na Ziemi okres żywienia organicznego. Na zawsze znikały z oczu tłuste szynki, kiełbasy, dobrze wypieczone chleby... a naturalne środki 'spożycia zastępowano syntetycznymi. Łuskano wiec skorupę ziemską, wyciskając z jądra ohydnie śmierdzące ciecze i zamieniano je, w spożywczych kompleksach przetwórczych, na witaminizowane tabletki syntetyczne, zastępujące obfity posiłek. To prawda, że tak żywiony człowiek utrzymywał się przy życiu, ale... co to było za życie? Ludzie zapełniali szpitale, skarżąc sie nagminnie na choroby układu pokarmowego. Chirurdzy mieli wiec pełne ręce roboty przy modelowaniu żołądków wielkości kieszonki na zegarek, redukowaniu jelita grubego. Człowiek po
takich zabiegach chirurgicznych stawał się cieniem człowieka i stale mu czegoś brakowało. Zdawało się, że chirurg w czasie operacji starł tym ludziom uśmiech z twarzy zakrwawionym tamponem. Dlatego świat był szary i nijaki.

A przecież powszechne zastosowanie pomysłu mogłoby obrócić ten stan o 180°. Jeden egzemplarz w oku prostego urządzenia, tak prostego, że śmiało można go nazwać: Przedmiotem, powielał jeszcze jeden, bliźniaczo podobny egzemplarz. Wystarczyło sięgnąć po niego w głąb Przedmiotu i od razu wtopić zęby np. w krwisty befsztyk. To prawda, że Przedmiot był jednorazowego użytku i rozsypywał się w proch natychmiast po wykorzystaniu, ale można go było odtwarzać nawet w warunkach chałupniczych, przy stosunkowo małym nakładzie środków.

Wynalazca, a raczej właściwy użytkownik Przedmiotu, nie prowadził badań w zakresie jego trwałości. Nie miał na to odpowiednich funduszy. A na pewno trzeba będzie przeprowadzić takie badania, jeśli Przedmiot znajdzie się w powszechnym zastosowaniu. Odłamki, które powstają przy pęknięciu, kruszą sie w palcach już po kilku minutach i rozsypują się w proch. Wynalazca nie wie dlaczego tak się dzieje, stwierdza tylko to,

czego doświadczył podczas użytkowania Przedmiotu. Inżynier Sylwester Karpiel stanął przy barierze ruchomej estakady, oparł łokcie na grubym, przesuwającym się zwoju gumy i starał się nie myśleć. Miał dosyć służbowych, przylepionych do ust uśmieszków urzędników, liczenia much na sufitach poczekalni, argumentacji, które trafiały tylko panu Bogu w okno i stu innych, absorbujących czas trudności. „Że też mnie podkusiło mówił sobie w chwilach załamania - że też mnie podkusiło, abym z tym wyskoczył jak Filip z Konopi. Lepiej mi było w domu siedzieć i dzielić się dobrem uzyskanym z Przedmiotu z najbliższym otoczeniem". Tak mówił sobie tylko w chwilach depresji psychicznej. Wiedział, że to nieprawda, bo znał siebie. Dotąd będzie chodził, ścieżki wydeptywał, wiercił dziury w brzuchach komu trzeba i nie trzeba, aż swego dokona. Przed domem wyprostował się i zgrabnie przerzucił nogę na wysepkę dla pieszych. Estakada odpłynęła w perspektywę ulicy. Wsunął dłoń w boczną kieszeń marynarki i namacał mały krążek wideotaśmy. To była odpowiedź na odwołanie do Wszechzwiązkowej Rady Ziemi. Nie mógł się doczekać na automatyczną pocztę i dlatego wybrał się do Urzędu. Na jego interwencje automat pocztowy połączył się z Sekretariatem WRZ (Wszechzwiązkowej Rady Ziemi) via sputnik i prawie, że na oczach inż. S. Karpiela, tą samą drogą przesłano odpowiedź telepisową. Spieszył wiec do domu, aby podziwiać twarz jakiegoś tam bonzy, który miął w reku a raczej na ustach los Przedmiotu. Na moment zatrzymał sie przed bramą. Fotokomórka rozpoznała inżyniera i ciężkie drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Gdzieś z góry rozległ się melodyjny głos: „Witamy pana w domu, panie inżynierze". I tym razem oszukał się i podniósł głowę. Nikt nie wyglądał z okien. To był tylko zapis magnetofonowy, sprzężony z fotokomórką.

- Panie inżynierze, czekam na pana - z kąta sterylnie czystego podwórka wyszedł mu na spotkanie kilkuletni chłopiec i wyciągnął przed siebie dłoń: - Babcia mi dała ten baton czekoladowy chłopiec przełknął ślinę.
- To z dawnych, dobrych czasów, jak mówiła babcia. Bardzo bym prosił pana inżyniera, aby mi wyczarował jeszcze jeden taki baton. Zawsze co dwa, to nie jeden, prawda, panie inżynierze? Bardzo proszę...
- Piotrusiu, wstydź się - powiedział z uśmiechem inżynier. Przecież ci tyle razy tłumaczyłem, że nie jestem żadnym czarodziejem. Takie „sztuczki" i ty możesz wykonywać, ale pod jednym warunkiem.
- Wiem, panie inżynierze - zmarszczył czoło maluch - że musze sie pozbyć strachu, ale na razie nie mogę go zgubić. Nie wdrapałem się nawet na te garbatą wierzbę przydrożną, którą mi pan inżynier pokazywał w czasie spaceru podmiejskiego. Bałem się, że spadnę i złamie nogę...
- No, już dobrze, dobrze - inżynier pogłaskał po głowie zmartwionego malca. - Chodźmy do mnie, bo musimy coś zrobić ze smakołykiem babci. „Zawsze co dwa, to nie jeden", prawda Piotrusiu?

Inżynier postawił na stole Przedmiot odpowiedni do wielkości słodyczy, naprzeciwko niego, w polu widzenia, umieścił baton, zawinął rękaw i jednym śmiałym ruchem, bez chwili wahania, sięgnął w głąb Przedmiotu. Lekko ścisnął powielony baton miedzy kciukiem a wskazującym palcem i cofnął rękę z Przedmiotu. Ledwo to zdążył uczynić, a Przedmiot pękł i po chwili rozsypał sie w drobny mak. Chłopiec patrzył na te „operacje" z wypiekami na policzkach.

- Szkoda, że naraziłem pana na straty, panie inżynierze - poważnie zmartwił się malec. •

Inżynier machnął na to ręką i uśmiechnął się pogodnie. Zmierzwił chłopcu czupryne i odprowadził do drzwi. Gość wychodził z domu inżyniera obdarowany jak Sindbad na tajemniczej wyspie.

- Pamiętaj, Piotrusiu - powiedział jeszcze inżynier od progu - że masz ćwiczyć odwagę na każdym miejscu i o każdym czasie. Kiedy zgubisz strach na zawsze, przyjdź do mnie. Będziemy razem pracowali.

Chłopiec poważnie skinął głową, ukłonił się i stanął przed wizjerem windy. Po chwili już go nie było.

Na ekranie wideofonu najpierw pojawił się symbol WRZ; kula ziemska opleciona gałązkami oliwnymi. Patetyczny fragment piątej symfonii Beethovena dopełniał całości obrazu. Szpakowaty, służbowo uśmiechnięty, starszy mężczyzna, podniósł nieco prawą rękę od stołu i powiedział:

- W imieniu Wszechzwiązkowej Rady Ziemi serdecznie pana witam, panie inżynierze... Pański pomysł został wszechstronnie zbadany w naszych pracowniach. Na przedmiocie, jak pan nazywa urządzenie, eksperymentowali uczeni najwyższych autorytetów. Mało tego, poprosiliśmy o współprace przypadkowo wybranych ludzi. Ani jednemu z nich, co jeszcze raz mocno podkreślam zanim pokażemy panu próby eksperymentów, ani jednemu nie udało się dokonać tego, co pan sugeruje w odwołaniu - tu szpakowaty starszy mężczyzna dyskretnie starł wierzchem dłoni uśmiech z twarzy i zimno spojrzał na inżyniera, jakby chciał powiedzieć: „I po jaką cholerę zawraca pan głowę poważnym ludziom".

Nagle obraz się zmienił. Przedstawiał widną, przestronną sale, a na zbliżeniu kamerzysta pokazywał Przedmiot, który wypełniał cały ekran. Po chwili oko kamery ujęło inny obraz: Na stole, w polu widzenia Przedmiotu, pyszniło się drobne, kolorowe jabłko. Jakiś osobnik z zawiniętym rękawem wyciągnął rękę ze zwiniętą dłonią w kierunku Przedmiotu. Na ułamek sekundy zawahał się i... rozbił pieść na ekranie Przedmiotu. Skrzywił się i zgiął w pałąk, co kamera wiernie przekazała inżynierowi.

- Dlaczego mnie nie poprosiliście na tamtą stronę ekranu? krzyknął w videofon. - Funta kłaków nie warte żadne doświadczenie bez obecności pomysłodawcy. Uczeni, Światowa Rada, a
postępują jak dzieci, jak krnąbrne, nie dające się przekonać dzieci - stłumił w myślach ten nagły wybuch gniewu. Kiedy się podniósł z fotela, aby wyłączyć odbiornik, dostrzegł jeszcze na ekranie jak zwalisty facet w białym, powiewającym połami kitlu, rozkwasił sobie nos na Przedmiocie. I w tym przypadku chwilowe wahanie przed podjęciem decyzji wychwyciło doświadczone oko inżyniera. „Om się po prostu boją - pomyślał wole każdego eksperymentatora paraliżuje strach i dlatego każda próba kończy się fiaskiem. Tylko ujadać umieją, ale jak przyjdzie co do czego..."

Inżynier Sylwester Karpiel nie mógł tego puścić płazem. Czuł przez skórę, że ktoś tam i za jakieś grzechy usiłuje go strącić z obłoków. Zazdrość, że inżynier, których więcej na tym świecie niż szyszek pod sosnami, wpadł na taką genialną mysi, która nie przemknęła nawet przez sztaby złożone z naukowców? „A może traktują mnie jako jednostkowy przypadek, którego nikt i nigdy nie powtórzy, wiec po co rozgrzewać nadzieje w sercach narodów? Tak - przytaknął sobie - tu leży chyba sedno sprawy." Jeszcze tego samego dnia skontaktował się z telewizją i opowiedział im o wszystkim. Z bardzo poważnego magazynu technicznego odesłano go do redaktora, który prowadził kącik ciekawostek.

- To się da zorganizować - powiedział redaktor kącika ciekawostek.
- Rzucimy na ekran kilka zwiastunów, pokażemy to, co pan inżynier zademonstrował w studio i będziemy mieli pełny komplet widzów.
- Dobre i to - zatarł ręce inż. Sylwester Karpiel. - Opinia publiczna, w tym przypadku, przerwie chyba zmowę milczenia wokół pomysłu przez uczone komisje rożnych szczebli... Niedziela. Centralny plac osiedlowy. Dokoła podium zebrał się taki tłum ludzi, że nie było gdzie wetknąć przysłowiowej szpilki. Kamerzyści nałożyli już słuchawki na uszy i wlepili oczy w ekrany kontrolne. Redaktor prowadzący pokaz przyprowadził inżyniera do mikrofonu, przedstawił go i zostawił sam na sam z widzami. Po kilku wprowadzających słowach inżynier Karpiel podszedł do stolika, ustawionego dokładnie w polu widzenia największego Przedmiotu. Ustawił na nim stare, pamiętające lata siedemdziesiąte dwudziestego wieku radio i nie wahając się nawet przez chwile, odprężony jak zawsze, śmiało podchodzi do Przedmiotu, na oczach oniemiałych widzów przenika w głąb Przedmiotu, sięga po bliźniacze radio i wychodzi z ramy. Przedmiot rozsypuje sie, ale powielony odbiornik pyszni się na stoliku obok pierwowzoru. Tłum ludzi milczy przez chwile i taka cisza wtuliła się w plac, jakby ktoś makiem sypał. Dopiero po dłuższej chwili grzmot oklasków wstrząsa placem. Rozległy się okrzyki skandowane z różnych stron na cześć inżyniera. Kiedy fala entuzjazmu opadła trochę, pomysłodawca zademonstrował doświadczenie jeszcze na dwóch, mniejszych Przedmiotach. Powielił mianowicie lalkę i podał ją dziewczynce, która tak była zafascynowana pokazem, że trzymała palce w buzi. Piegowaty chłopiec otrzymał prawdziwy, średniowieczny rowerek na pedały i bardzo, bardzo się ucieszył z tego podarunku.

- Na tych Przedmiotach - pokazał za siebie, kiedy się zbliżył do mikrofonu - nie da się powielać jedynie żywych istot. Są w ciągłym ruchu zewnętrznym i wewnętrznym, oddalają się od siebie, a kiedy się zbliżają, nakładają na siebie jak negatyw i pozytyw... Cała sztuka, że tak powiem, polega na tym, że wykonujący te czynność musi przekroczyć barierę leku. Jeśli ją przekroczy, wydusi z siebie strach do końca, może stanąć naprzeciwko Przedmiotu, a Przedmiot ulegnie jego woli... A teraz poproszę na podium kilku śmiałych ludzi. Spróbujemy znaleźć wśród nich nieulękłych.

Niestety. Żaden z licznie zgłaszających się mężczyzn nie odpowiadał warunkom podanym przez inżyniera. To byli ludzie tchórzem podszyci. Już tak jest w życiu; wydaje się komuś, iż nie zna uczucia leku, ale w psychice każdego człowieka zakodowany jest strach, który zapobiega różnym nieszczęściom. Przezwyciężyć ten lek, to wielka sztuka, która udała się, jak dotąd, tylko inżynierowi.

Pomimo entuzjastycznych pochwał redaktora prowadzącego kącik ciekawostek, z poklepywaniem włącznie, pomysłodawca nie czuł się najlepiej po chybionych próbach najodważniejszych widzów. Czuł, że mu czegoś brakuje do dopełnienia szczęścia. Na zakończenie pokazu zwrócił się nawet do publiczności, aby widzowie indywidualnie ćwiczyli siłę woli i próbowali sięgać w głąb Przedmiotów, ale nie był przekonany, czy dobrze czyni. Po kilku dniach spotkał się z wymówkami ze strony władz miejskich. W sklepach bowiem brakowało już... luster. Panie malowały się w lśniących niklem armaturach wodociągowych lub w lustrach stojących wód. W intymnych pomieszczeniach komunalnych po zwierciadłach pozostały tylko haki. Cięte rany dłoni i twarzy były tak nagminne, że musiano korzystać z usług zamiejscowych chirurgów, bo miejscowi padali już z nóg... Zaniepokoił sie tym stanem inżynier i odwołał pospiesznie swe następne pokazy. Oświadczył przy tym, że widzowie uczestniczyli w zbiorowej hipnozie i że nie da się wykorzystać luster jako nośnika w przekazywaniu dóbr materialnych. Po tym oświadczeniu uspokoiło się trochę w okolicy, a z czasem ludzie zapomnieli o całej sprawie. Tylko Piotruś uparcie ćwiczył siłę woli pod okiem inżyniera. , Już wkrótce będzie z niego - jak mawiał nauczyciel - prestidigitator najwyższej rangi".

Jerzy Strusiński

Inspekcja

Leszek Kraskowski

III nagroda w konkursie „Fantastyki”

Kpt. Max Davidson siedział rozparty wygodnie w głębokim skórzanym fotelu. Praca, którą wykonywał od piętnastu lat była nierozerwalnie związana z tym fotelem. W Kalifornijskim Centrum Obrony uchodził za doświadczonego pracownika, posiadał przy tym ogromną intuicje tak potrzebną w jego zawodzie. Nie był jednak kimś wybitnym, ot starszy człowiek wciągnięty w tryby olbrzymiego systemu obrony, niemalże zespolony z nim w jedną całość. Z wyglądu niepozorny, niezbyt wysoki, zbliżający się do czterdziestki mężczyzna. Powszechnie lubiany, umiał stanowczością i doświadczeniem wzbudzać respekt wśród podwładnych. Po wyjeździe swojego bezpośredniego zwierzchnika majora Hopkinsa na szkolenie specjalne do Europy Zachodniej został jednomyślnie wyznaczony przez dowództwo na stanowisko pierwszego oficera obrony sektora B 30-60 Centrum. Nie spowodowało to jednak rozstania z ulubionym fotelem, nowa funkcja nie wymagała zmiany miejsca pracy. Lubił swoją prace, była ona dla niego praktycznie jedyną okazją do wyżycia się, do reprezentowania własnego „ja”. W grubych murach podziemnego kompleksu obrony, rozciągniętego na przestrzeni kilkuset km2 , czuł się bezpieczny a zarazem potrzebny. Rodziny nie posiadał i nie czuł chęci jej założenia. Wszyscy - żona i dwoje dzieci zginęli podczas drugiej wojny miedzy galaktycznej. Zadecydował ułamek sekundy - syrena alarmowa zawyła zbyt późno, nie mogli już zdążyć do schronu. Max odczuł na własnej skórze to wielkie bombardowanie z 23 września 3103 roku. Znajdował sie wtedy na Florydzie i wraz z mjr. Hopkinsem sprawdzał stan techniczny tamtejszego ośrodka obrony. Posyłał raport za raportem do Głównego Ministerstwa Obrony i Podbojów Kosmicznych wskazując na karygodne zaniedbania, ale wielkie osobistości z tego urzędu bardziej były wówczas zajęte kampanią wyborczą i na raporty Davidsona nie zwracały uwagi. Wielkie bombardowanie z 23 września zaskoczyło wszystkich. Dotychczas działania wojenne toczyły się w odległych galaktykach i nikt nie dopuszczał nawet myśli, że może nastąpić bezpośredni atak na Ziemie. Ośrodek obrony na Florydzie został całkowicie zniszczony, większość załogi zginęła, a Max ciężko ranny cudem uniknął śmierci. Długie miesiące przebywał potem w szpitalach, ale powrócił do zdrowia.

Teraz, siedząc zadumany w fotelu, przypominał sobie tamte tragiczne chwile.

Po zdobyciu nowych planet spoza Układu Słonecznego Ziemia znalazła wreszcie dogodne miejsce dla swej ekspansji kolonialnej. Był to dla Ziemi właściwie jedyny ratunek. Opętana zbrojeniami, przeludniona, stojąca w obliczu groźby samozagłady planeta Ziemia odkryła miejsce dla wyładowania swej ogromnej energii. Z chwilą wybuchu pierwszej wojny międzygalaktycznej ustały konflikty globalne. Nic bowiem tak nie jednoczy, jak wspólne poczucie zagrożenia. Położyło ono kres VII wojnie światowej, rozpętanej zresztą zupełnie przypadkowo przez źle zmontowany komputer.

Z zadumy obudził Maxa natarczywy dźwięk mikrotelefonu. Wróciło poczucie rzeczywistości.

Co się z tobą dzieje, Davidson? - dobiegi doń zaniepokojony głos szefa służby bezpieczeństwa Centrum.

- Wszystko w porządku - odpowiedział szybko Max.

- Mam meldunki od posterunków 35 i 56 z sektora B o awarii identyfikatorów. To twój rejon. Wzmocnij czujność. Niewykluczone, że ktoś niepowołany bez karty identyfikacyjnej, kreci sie po tym obszarze - wyjaśnił z oddali zachrypnięty głos.

- Dobrze. Wysyłam patrole na sprawdzenie terenu i grupę techników w celu usunięcia awarii. Razem 16 osób. Więcej nie mogę, pozostali zajęci - odpowiedział rzeczowo Max doprowadzony już do świadomości. Czynił to jedynie dla zadośćuczynienia przepisom. Osobiście uważał, iż wtargniecie jakiegoś nieproszonego gościa na teren Centrum jest niemożliwe. Kontrole, fotokomórki, identyfikatory, system kamer, pola siłowe - wszystko to stanowiło zaporę nie do przebycia. Zresztą komu zależałoby na wchodzeniu do Centrum Obrony? Na mocy dekretów paryskich z 2109 roku wszystkie państwa zostały połączone w jeden organizm państwowy o ustroju „demokratycznym”. W skład tego sztucznego państwa wchodziły okręgi, granice istniały nadal, ale były jedynie granicami okręgów. W ciągu tych kilkunastu lat Ziemia dokonała ekspansji na skalę dotychczas niespotykaną. Opanowano w sposób brutalny większość planet, co było zresztą przyczyną dwóch wojen międzygalaktycznych, ale Ziemia wyszła z nich zwycięsko. Nie zagrażało jej żadne niebezpieczeństwo, najgroźniejsza planeta - Imperium Maonah, oddalona była o dziesiątki tysięcy lat świetlnych i nie zagrażała ziemskiej strefie wpływów.

Drzwi otworzyły się z lekkim świstem. Wychodził właśnie na kontrole rutynową oddział służby bezpieczeństwa. Dziesięć osób w stalowych kombinezonach oddalało się powoli w głąb korytarza. Za nimi podążała grupa techników odzianych w jaskrawożółte uniformy.

Max zameldował szefowi służby bezpieczeństwa o wysłaniu patrolu wpatrując się jednocześnie w dziesiątki monitorów. Jego zadanie było ściśle określone - zapewnienie bezpieczeństwa w swojej części sektora B, usuwanie awarii wszelkiego rodzaju, kontrola automatów, zapewnienie nieprzerwanej łączności i informowanie o ewentualnym zagrożeniu z zewnątrz. Nagle do uszu Maxa dotarł przeciągły gwizd i w jego służbowym pokoju zrobiło się zupełnie ciemno. Zgasły wszystkie kolorowe lampki na pulpitach, ściemniały monitory, zamarły fluoryzujące wskaźniki. Max zerwał się z fotela i błyskawicznie nacisnął przycisk mikrotelefonu. Bez skutku. Próbował uruchomić zasilanie awaryjne - nic. Cisza, pusta, ciemność. Uruchomił łączność awaryjną - niezależną od centralnego zasilania.

- Halo, tu sektor B 30-60. Jak mnie słyszycie? - w jego głosie drgały nutki zdenerwowania i irytacji.

- Słyszę cie dobrze - zaskrzypiał regulaminową odpowiedź główny komputer zasilania.

- Usuń natychmiast awarie w moim sektorze - rozkazał Max.

- Wszystkie systemy działają sprawnie - zacharczało w aparacie.

- Nie ma energii w sektorze B 30-60, nic nie działa - krzyknął Max.

- Nie zaistniała żadna awaria. Wszystko funkcjonuje normalnie - odparł robot.

Bezmózgi bydlak - zaklął w duchu Max.

- Połącz mnie z szefem obrony - powiedział głośno.

- Połączenie awaryjne przez główny komputer zasilania - recytował formułkę robot - może być wykonane jedynie w przypadku awarii bezpośredniej łączności. Ponieważ taka awaria nie zaistniała, połączenie takie jest niemożliwe.

- Na szmelc się nadajesz kupo złomu, a nie do Centrum Obrony wrzasnął Max i wyłączył mikrotelefon.

Max znany był ze swoich kłótni z komputerami. Nigdy nie darzył ich sympatią i wzajemnie. Kłótniami tymi bawiło się całe Centrum, podawano sobie z ust do ust ich treść niejednokrotnie ją upiększając. Max przypłacił to utratą premii. Dowódca Centrum poczuł się bowiem urażony, gdy jego własny komputer został nazwany przez Maxa durnym pudłem skonstruowanym przez psychopatę. Wypowiadając te słowa Max nie przypuszczał nawet, iż twórcą owego nieszczęsnego „pudła” był właśnie dowódca Centrum. W pokoju Maxa znów nastała cisza, tak głęboka, że aż przerażająca. Max zdawał sobie sprawę, z grozy sytuacji. Komory powietrzne nie działają i nie dostarczają powietrza do jego ciasnego pomieszczenia.

Automatyczne pancerne drzwi są zamknięte i nie ma siły, która by je otworzyła. Całe pomieszczenie z wygodnego miejsca spokojnej pracy przemieniło się nagle w żelbetonową klatkę z miękkimi obiciami.

- Niedługo powinien wrócić któryś z wysłanych patroli - nie tracił nadziei Max.

Wtem nagły krzyk rozdarł powietrze. W tej śmiertelnej ciszy i ciemności pokojów umieszczonych 500 metrów poniżej powierzchni gruntu krzyk ten zdawał się być czymś niesamowitym i pełnym grozy.

Max zerwał się na równe nogi. Nasłuchiwał, ale znów zapanowała niezmącona niczym cisza. Jedyne połączenie, jakie miał z resztą świata, to mały nadajnik pozwalający na połączenie się z przestarzałym komputerem z magazynu części zamiennych. Max postanowił wykorzystać te szanse.

- Halo, tu sektor B 30-60. Odbiór!

- Zgłaszam awarię w sektorze B 30-60. Proszę o natychmiastowe powiadomienie dowództwa i zlikwidowanie awarii.

- Kto zgłasza awarie? - trzasnęło w mikroodbiorniku.

- Nie posiadam połączenia z dowództwem. Ten blok połączeń jest obecnie w konserwacji - odezwał się po dłuższej chwili komputer.

- To wyślij patrol robotów, do głównego dowództwa - krzyknął Max.

- Nie mam takich uprawnień!

- To rozkaz! - Max wyczerpał już swoje argumenty.

- Wysyłam oddział. Zamelduje... łączność się urwała. Ostatnie słowa komputera napawały jednak otuchą. System bezpieczeństwa sektora B jest sparaliżowany, a dowództwo o tym nie wie! Główny komputer zasilania udziela fałszywych informacji! Skandal!!! Już dawno należało oddać go do konserwacji myślał Max.

I znów ta ciemność i ta cisza. Awaryjny interkom odezwał się. jednak po krótkim czasie.

- Halo, tu UECOF-5. Odbiór.

- Max Davidson zgłasza sie!

- Oddział patrolowy robotów nie wrócił. Łączność z nim urwała sie kilka minut temu. Ostatnie sygnały wskazują na to, że uległ całkowitej dezintegracji.

- Czy nie ma innej możliwości połączenia się z dowództwem?

- Nie. Mogę jedynie wysłać do twojego sektora oddział patrolowy złożony z czterech ludzi.

- Czekam.

Max był poirytowany i zły na cały świat. Jego miejsce pracy stawało się stalową trumną. Zaczynało brakować powietrza. Max postanowił spokojnie czekać na oddział patrolowy. Nie mógł jednak usiedzieć na swoim miejscu. Chciał uruchomić system alarmowy, ale okazało się,



że od dawna nie konserwowany system po prostu nie działa. Chciał wydostać się z tego ciasnego pomieszczenia, ale na przeszkodzie stały wielkie pancerne drzwi unieruchomione w momencie awarii zasilania. Max powoli wyciągnął zza pasa swój pistolet laserowy. Długo celował. Wreszcie posłał wiązkę promieni w sam środek drzwi. Oślepiający błysk i potworny huk. Ogień rozjaśnił ciemność. Max odruchowo przypadł do podłogi. Gdy dym się już nieco rozrzedził Max ujrzał, że stalowe drzwi pozostały nietknięte, natomiast zapaliły się obicia ścian.
Cholera! - zaklął. - Mam czego chciałem. Usmażę się tu na dobre! Pokój szybko napełnił się dymem. Krztusząc się i klnąc na wszystko Max złapał za gaśnice. Po chwili strumień piany pokrył tlące się ściany pokoju, para zmieszała się z dymem. Zasyczało, zaskwierczało, ale ogień został ugaszony. Pożar spowodował jednak dalsze zmniejszenie się skromnych zapasów tlenu. Max zmuszony był do założenia maski tlenowej. Było to jednak wyjście krótkotrwałe - tlen wystarczał jedynie na 15 minut.
Wtem do świadomości Maxa dotarł daleki odgłos kroków. Chwile nasłuchiwał, następnie zdarł maskę tlenową i rzucił sie do drzwi - łomocząc w nie i kopiąc próbował zwrócić na siebie uwagę. Odniosło to widać pozytywny skutek, gdyż kroki zaczęły sie przybliżać. Po chwili odgłos był już wyraźny.
- Max Davidson - jesteś tam? - dobiegło zza drzwi.
- Tak, do jasnej cholery otwórzcie! - krztusząc się zawołał Max.
- Podaj nam kod do głównego superkomputera obrony. Inaczej te drzwi się nie otworzą. Uszkodziłeś mechanizm laserem. Max Davidson był jednym z nielicznych znających ten kod. Wiedział doskonale, że informacji o kodzie wolno mu udzielić jedynie w przypadku bezpośredniego zagrożenia Centrum. Kod ten otwierał drogę do_ głównego superkomputera, znając go można było kierować całym Centrum.
Nie miał jednak czasu na długie rozważania. Uznał, że bezpieczeństwo kompleksu obrony jest zagrożone i może zdradzić kod. Chciał tylko upewnić się, z kim ma do czynienia.
- Z jakiego oddziału jesteście? - zapytał.
- 2 Oddział Ochrony sektora B por. Brooke'a - padła odpowiedź. To uspokoiło Maxa Znał doskonale młodego porucznika i jego ludzi. Miał do nich pełne zaufanie. Mógł im podać kod, który był zresztą co miesiąc zmieniany.
- Kod brzmi: 34196-Ba-91.
- O.K. Poczekaj chwile. Zaraz otworzymy poprzez główny superkomputer.
- Pospieszcie się - Max chciał jeszcze coś powiedzieć, ale drzwi otworzyły się nagle i ujrzał automatyczne pistolety laserowe wycelowane prosto w jego pierś. W drzwiach stało trzech osobników o popielatym kolorze twarzy, ubranych w mundury załogi por. Brooke'a.
- Rączki grzecznie do góry - wycedził przez zęby osobnik ze szramą na twarzy.
- Jesteście z Mediona. Nie wolno wam podnosić reki na człowieka -

odpowiedział zaskoczony Max.
- Nie mędrkuj bracie - najmłodszy z popielatych doskoczył do Maxa i jednym sprawnym ruchem wyciągnął mu pistolet zza pasa, a wraz z nim kartę identyfikacyjną.
Po chwili Max posłusznie podniósł ręce do góry. Decydującym argumentem był pistolet przystawiony do brzucha. Napastnikami byli mieszkańcy planety Medion zajętej przez Ziemie około 20 lat temu. Planeta była słabo ufortyfikowana, zamieszkujący ją lud popielatych żył na niej w umiłowaniu pokoju i wolności. Zdobywanie jej jednak trwało przeszło pół roku - i jej mieszkańcy stawiali zacięty, wręcz bohaterski opór. Woleli ginąć, niż poddawać się. Z 50 min ludności zamieszkującej małą planetę przetrwało ziemski najazd niecałe 10 min. Cześć wymarła potem z głodu i chorób. Max wiedział o tym dobrze - jego ojciec zginął na Medionie. Prowadzili go wąskim korytarzem w kierunku głównego superkomputera Centrum. Wykorzystując kartę identyfikacyjną Maxa przechodzili bez trudu przez identyfikatory sektora A. Sektor B był bowiem nadal pogrążony w ciemnościach i żadne aparaty kontrolujące w nim nie działały. Przechodząc wąskimi korytarzami tego sektora Max potkną) się o coś miękkiego i upadł na stalową podłogę boleśnie rozbijając sobie kolana i nos. Ręce związane z tyłu nie mogły zamortyzować upadku. Gdy podniósł się z przerażeniem stwierdził, iż potknął ‘sie o ciało por. Brooke’a - szefa oddziału ochrony sektora B. Przypomniał sobie ten krzyk w ciemności. Teraz por. Brooke leżał w kałuży krwi, a jego ludzie związani siedzieli potulnie zamknięci w jednym pokoju. Sektor A był sektorem centralnym. Wszystko działało tu sprawnie - po korytarzach kręcili się ludzie, jeździły automaty. Umieszczona dyskretnie pod żebrem Maxa lufa pistoletu nie pozwalała mu jednak na czynienie jakiegokolwiek ruchu sugerującego jego sytuacje. I tak dotarli do olbrzymiego pomieszczenia głównego superkomputera. Wejścia do pomieszczenia strzegły szeregi identyfikatorów i fotokomórek. Popielaci znali jednak magiczny kod, który otwierał im drogę niczym hasło „Sezamie, otwórz sie”! Max był wściekły na siebie, że się tak dał nabrać - przekazał napastnikom kod i poczucie winy nie dawało mu spokoju. Dalsze wypadki nastąpiły szybko. Napastnicy za pomocą superkomputera ogłosili alarm czerwony, który przewidywał zgromadzenie wszystkich członków załogi Centrum w głównej hali dowodzenia. Ludzie biegli do hali nawet z najdalszych rejonów Centrum nieświadomi faktu, że pchają się w pułapkę. Nikogo alarm czerwony zbytnio nie dziwił - od czasu do czasu dowództwo urządzało takie próbne alarmy w celu podniesienia poziomu dyscypliny i wyszkolenia załogi. Z chwilą zgromadzenia wszystkich w hali głównej ich funkcje przejmowały na krótki czas roboty. Chwila ta została należycie wykorzystana przez popielatych - drzwi w hali zostały hermetycznie zamknięte, a roboty podporządkowane superkomputerowi, który był opanowany przez napastników. Hala stała się wiezieniem dla liczącej 2500 mężczyzn załogi. Zaskoczone dowództwo zostało równie obezwładnione jak i reszta.
Specjalny sektor Q zajmowany przez dowództwo został po prostu odcięty od reszty Centrum przez zablokowanie drzwi. Ponieważ istniała groźba otworzenia drzwi i uwolnienia dowództwa przez jej własny, niezależny komputer napastnicy z Mediona zalali wodą sektor Q topiąc w nim całą kadrę dowódczą i personel pomocniczy.
Wszystkie te sprawne poczynania popielatych twarzy obserwował Max. Kroplisty pot spływał mu strumyczkami po twarzy. Związany przez napastników nie mógł nic zrobić. Wkrótce jednak okazało się, że po utopieniu wszystkich oficerów z sektora Q porywacze nie mieli z kim prowadzić pertraktacji. Postanowili wiec posłużyć się Davidsonem. Max został rozwiązany i zmuszony do nawiązania kontaktu z powierzchnią planety. Wkrótce udało mu się uzyskać połączenie z główną kwaterą obrony Ziemi w Genewie.
- Jesteśmy przedstawicielami Ligi Międzyplanetarnej utworzonej z narodów planet uciemiężonych przez Ziemie - mówił do mikrofonu popielaty ze szramą na twarzy. - Opanowaliśmy główne Centrum Obrony Okręgu USA. Dowództwo Centrum zostało zlikwidowane. Jesteśmy gotowi wysadzić całe Centrum wraz z planetą, jeżeli nie nawiążecie z nami rozmów i nie spełnicie naszych żądań - chrypiał do mikrofonu.
Pełna konsternacja. Po drugiej stronie długo nikt się nie odzywał.
- Głupie żarty - zamruczał jakiś głos.
- Możecie sprawdzić. Superkomputer Centrum został nastawiony na samozniszczenie, które nastąpi za dwie godziny.
Nagły, dreszcz przeszedł po plecach Maxa. W Genewie musieli poczuć to samo.
- Sprawdziliśmy. Wasz superkomputer możemy unieruchomić w każdej chwili. Nie będziecie mogli wysadzić Centrum - mówił zastępca dowódcy obrony Ziemi gen. Markens.
Jego głos brzmiał stanowczo, zdecydowanie. Max poczuł, że jest mu lżej na duchu. Nie wiedział nawet, iż superkomputer głównego systemu obrony USA można zablokować z Genewy. Jego spokój zniszczyły jednak dalsze słowa terrorysty ze szramą. - Superkomputer nie będzie nam potrzebny. Spowodowałby jedynie zniszczenie Centrum, a my chcemy zniszczyć planetę. Wiemy doskonale, że Centrum pobiera energie z rdzenia Ziemi. Stąd do rdzenia prowadzą ogniotrwałe, żaroodporne szyby górnicze. Wystarczy, że wywołamy małą eksplozje zgromadzonych tu ładunków nuklearnych. Reakcja łańcuchowa dojdzie do rdzenia planety i spowoduje jej zniszczenie - głos popielatego brzmiał sucho i donośnie.
- Bzdury! Centrum pobiera energie z baterii słonecznych umieszczonych na powierzchni - próbował zbić z tropu terrorystów gen. Markens. Max przeczuwał jednak, że to się już Markensowi nie uda. Sam wiedział doskonale o istnieniu szybów i o tym, że racja była po stronie napastników.
- Jeżeli nie podejmie pan z nami pertraktacji, to Ziemia zostanie unicestwiona, a na planetach - koloniach zajętych przez Ziemian wybuchnie ogólnogalaktyczne powstanie - groził osobnik ze szramą, widocznie dowódca grupy.
Maxowi nie mieściło się to w głowie. Trzech podludzi (popielaci nie byli zrównani w prawach z Ziemianani - byli ludem niewolniczym) może doprowadzić do rozpadu wielkiego mocarstwa Imperium Ziemskiego
Warunki stawiane przez terrorystów były stanowcze: wycofanie Ziemian w ciągu 7 dni ze wszystkich zajętych planet, zniszczenie systemów obronnych Ziemi i flotylli kosmicznych, wyrzeczenie sie prawa do prowadzenia wojny, itp. Po pertraktacjach trwających przeszło 5 godzin gen. Markens zgodził się na wszystkie warunki stawiane przez terrorystów. Popielaci gratulowali sobie, śmiali się. Imperium Ziemskie pokonane przez 3 osoby - ta myśl nie dawała Maxowi spokoju. Jak można było do tego dopuścić? Kto za to odpowiada? Max był bliski myśli o samobójstwie. Uprzytomnił sobie, że za bezpieczeństwo sektora B, od którego to wszystko się zaczęło odpowiada on - Max Davidson. Nie wiedział jednak, że bezpieczeństwo Centrum jest tożsame z bezpieczeństwem planety Ziemi. Sztab generalny w Genewie nie ponosi przecież żadnej winy! Musiał zgodzić się z warunkami stawianymi przez terrorystów, ponieważ w przeciwnym wypadku Ziemia przestałaby w ogóle istnieć! Z Genewy nie można było przejąć kontroli nad superkomputerem Centrum, można go było jedynie zablokować, a to nic nie dawało. Terrorystów można było zgładzić jedynie razem z Centrum (2,5 tys. załogi!) A Centrum było z zewnątrz praktycznie niezniszczalne! Jego załoga była uwięziona, a dowództwo utopione! Awaria w sektorze B, z którą walczył Max, była sfingowana przez terrorystów, a wiec całe Centrum było sprawne. Kontrole nad poszczególnymi sektorami sprawowały automaty podlegające superkomputerowi, a wiec terrorystom. Wysłanie jakiegoś oddziału specjalnego komandosów w celu odbicia Centrum nie wchodziło w grę, ponieważ komandosi byliby natychmiast zauważeni przez identyfikatory, fotokomórki i kamery telewizyjne.
Co robić? - myślał Max Davidson, w którym obudziła się spóźniona chęć działania. - Przecież można by zablokować z Genewy superkomputer, który by zablokował z kolei sieć kamer, fotokomórek i innych świństw. Wtedy wprowadzono by desant i odbito Centrum - myślał Max.
Popielaci - choć uznani przez Ziemian za gatunek niższy, okazali sie jednak sprytniejsi i przewidzieli taką ewentualność. Zastrzegli od razu, że zablokowanie superkomputera potraktują jako zerwanie rokowań i wówczas spowodują łańcuchową reakcje materiałów nuklearnych i koniec istnienia Ziemi.
- Wszystko w porządku. Zadanie należy uznać za zakończone. Awans dla wszystkich pewny - odezwał się nagle dowódca terrorystów do swoich podwładnych.
- Możemy już ich wypuście? - zapytał najmłodszy z popielatych.
- Tak, dosyć się już strachu najedli. Dowództwo wypuśćcie także. Dostaną reumatyzmu w tej wodzie po kolana, a w końcu jeszcze się naprawdę potopią - odparł dowódca napastników. - Aha, usuńcie te kukłę z korytarza, bo naprawdę cholernie przypomina trupa.
Do Maxa docierały te słowa, ale nic z nich nie rozumiał. W głowie huczało mu, nie mógł pozbierać myśli.
- Tak, tak panie Davidson - odezwał się do niego dowódca terrorystów. Pora przedstawić się. Major Hubert z Grupy do Działań Specjalnych Imperium Ziemia. Ta maska jest jednak źle zrobiona/strasznie mnie uciska.
Oczy Maxa stanowiły teraz parę wyłupiastych tworów. Groźny szef terrorystów ze szramą na twarzy zdjął popielatą maskę.
- Jak pan widzi, szefie bezpieczeństwa Maxie Davidson, jestem jednak obywatelem Imperium Ziemia. Inspekcja przeprowadzona dzisiaj przeze mnie i moich ludzi na terenie pańskiej placówki wykazała karygodne uchybienia. Uchybienia te spowodują na pewno pańskie rozstanie z ulubionym fotelem. Nie sądzę, aby dowództwo Centrum tkwiące od sześciu godzin po kolana w wodzie wybaczyło to panu. Ośmielę się także przypomnieć, że mnie jako starszemu stopniem się salutuje. Tak, przedstawienie wypadło nadzwyczaj dobrze.
Major Hubert oddalił się w głąb korytarza pozostawiając ogłupiałego Maxa stojącego pośrodku pokoju z ręką mimowolnie tkwiącą u skroni.

Leszek Kraskowski

Leszek KRASKOWKI

(ur. 1967) - uczeń III klasy o profitu humanistycznym Liceum Ogólnokształcącego im. M. Fornalskiej w Lodzi. Interesuje się historią i fantastyką naukową. Wierny czytelnik naszego miesięcznika. Nadesłane na konkurs „Fantastyki” opowiadania („Inspekcja” - III miejsce, i nieco tylko mniej udana „Reglamentacja 2100”) są pierwszymi opowiadaniami SF, jakie napisał. A że pomysłów młodemu autorowi podobno nie brakuje, życzymy wszyscy Leszkowi powodzenia

(mp)

REKWIZYT w utworze fantastyczno-naukowym

Antoni Smuszkiewicz

Nadal - jak dotąd - nie ma pełnej jasności i powszechnej zgody wypowiadających się o fantastyce naukowej ca do istoty science fiction. O rozbieżnościach poglądów mogą świadczyć chociażby przeciwstawne stwierdzenia na temat roli rekwizytu w fantastyce naukowej, jakie padły w dyskusji z redaktorami „Fantastyki" w redakcji „Tu i Teraz". Jedna strona reprezentowała pogląd, że science fiction jest odmianą literatury, która stworzyła jedynie własny świat rekwizytów, co jeszcze nic nie znaczy (Leszek Żuliński), że rekwizyty są najczęściej istotą utworu SF i głównym powodem, dla którego on powstał (Zbigniew Safjan). Strona druga twierdziła natomiast, że kiedyś rzeczywiście tak było, ale obecnie - i to już od dawna - rekwizyty przestały stanowić o istocie fantastyki naukowej (Andrzej Wójcik).

Ponieważ jedna i druga strona ma sporo racji, ale też jedna i druga popada w zbędną przesadę, warto przyjrzeć się kwestii rekwizytu nieco bliżej, i to tym bardziej, że problem wcale nie jest tak marginalny, jakby się to mogło na pozór wydawać. Rekwizyt - według określenia „Słownika języka polskiego" - jest to *„przedmiot niezbędny do wykonywania określonej czynności, służący do jakiegoś określonego celu"*, zaś w węższym znaczeniu - *„przedmiot potrzebny na scenie w przedstawieniu teatralnym lub na planie w czasie filmowania, związany z akcją danej sztuki lub filmu"*[2].

Analogicznie rekwizyt może być też rozumiany jako jeden z elementów fabularnych, występujących w utworze literackim. Jest nim zatem każdy wskazany (opisany lub tylko nazwany) przedmiot towarzyszący postaciom w akcji[3]. Tak pojmowane rekwizyty odgrywają niebagatelną rolę jako niezbędne składniki świata przedstawionego, wypełniającego jego przestrzeń i pośrednio określające też w przybliżeniu jego czas. Oczywiście, rola ta jest większa lub mniejsza w zależności od usytuowania danego rekwizytu w akcji utworu, a także od jego charakteru.

Rekwizyty, podobnie jak i inne elementy świata przedstawionego, mogą być realne, tzn. stanowić naśladowcze odbicie przedmiotu faktycznie istniejącego w otaczającym świecie (np. stół, krzesło, wazon, szklanka, aparat telefoniczny); albo też fantastyczne (nierealne), tzn. nie mające żadnych odpowiedników w świecie pozaliterackim (np. vifon, blaster, dezintegrator, burzomierz, telechronopator, energobot, fotopis, infor, uniwerprodukor, astrokar).

Pierwszy rodzaj rekwizytów występuje zarówno w utworach realistycznych, jak i fantastycznych, drugi natomiast - tylko w fantastycznych typu science fiction i fantasy. W utworach realistycznych rekwizyt fantastyczny pojawia się niezwykle rzadko (np. metal lżejszy od powietrza w „Lalce" B. Prusa) i to niejako na zasadzie cytatu z innej odmiany gatunkowej. Dlatego też nie wytrąca tych utworów z obszaru literatury realistycznej, tak jak i motyw baśniowy w zakończeniu powieści J. A. Zajdla „Limes interior" nie wytrąca tegoż dzieła z obszaru science fiction.

Zasady kreowania rekwizytów w fantastyce naukowej są takie same jak i innych elementów fantastycznych. Każdy rekwizyt jest bowiem elementem, choć nie każdy element jest rekwizytem. Ten banał warto przypomnieć dlatego, ponieważ stąd biorą swój początek wszelkie nieporozumienia na temat fantastyki naukowej, która czasem - choć niezwykle rzadko - rezygnuje z posługiwania się rekwizytem, spychając go niejako na dalekie zaplecze głównego nurtu wydarzeń, lub skupia uwagę na innym elemencie fantastycznym, np. na jakimś prawie przyrody, nie znanym współczesnej nauce, ewentualnie na fantastycznej właściwości bohatera, jak w opowiadaniu J. A. Zajdla „Prognozja". Utwory tego rodzaju, pozbawione rekwizytów fantastycznych, z trudem utrzymują się w granicach science fiction tylko dzięki starannej, zachowującej pozory prawdopodobieństwa motywacji przedstawianego zjawiska. Charakter rekwizytu oraz jego funkcja w świecie przedstawionym utworu, jego usytuowanie w głównym nurcie zdarzeń, bądź też tylko w tle, wpływają w sposób znaczący na charakter całego dzieła literackiego. W związku z tym rekwizyt może być uważany za jeden z głównych czynników wyodrębniających odmiany gatunkowe z obszaru literatury fantastycznej. Inne bowiem są jego funkcje i charakter w fantastyce baśniowej, fantastyce grozy i fantastyce naukowej.

W baśni istnieją w zasadzie tylko rekwizyty realne, takie jakie można spotkać w otaczającym świecie i jakie znalazły się w utworze na zasadzie mimetycznego odwzorowania rzeczywistości, z tym wszakże, iż niektórym z nich przypisane zostały cudowne właściwości, np latający dywan, czapka-niewidka, kije-samobije, samonakrywający się stoliczek. Owe cudowne właściwości rekwizytów stanowią cechę wyodrębniającą baśń spośród innych odmian literatury fantastycznej. Tak ufantastycznione rekwizyty istnieją bowiem w świecie przedstawionym w sposób szczególny - na równych niejako prawach z realnymi. Ich istnienie nikogo nie dziwi, nie zaskakuje, należy po prostu do naturalnego porządku rzeczy owego świata[4]. Ponadto obecność rekwizytu ufantastycznionego nie wpływa w baśni na zmianę charakteru rekwizytu realnego, jak to dzieje się w fantastyce naukowej, gdzie często ta sama nazwa zdaje się oznaczać inny zgoła przedmiot. W baśni ów fakt, że jeden ze stoliczków, na przykład, ma cudowną właściwość nakrywania się na rozkaz właściciela w niczym nie zmienia charakteru innych stoliczków. Nadal są one traktowane tak samo, jak i wcześniej przed ujawnieniem cudownej właściwości jednego z nich przez postacie baśniowego świata i nada! są tak samo odbierane przez czytelnika lub słuchacza.

Z kolei w fantastyce grozy z reguły brak nawet rekwizytów ufantastycznionych, a jeśli czasem pojawiają się, to na tych samych prawach, co w baśni, choć zgoła odmienny jest wówczas ich status (np. małpia łapka w opowiadaniu W.W. Jacobsa). W nadprzyrodzoną moc tych przedmiotów mało kto początkowo wierzy aż do momentu, gdy zakłóci ona ustalony porządek rzeczy, stanie się nieoczekiwaną, niebezpieczną agresją w istniejącą rzeczywistość[5]. W większości wypadków jednak nie rekwizyty są tu najważniejsze, ale owa siła nadprzyrodzona (czasem duch, zjawa), która posługuje się nimi na ogół w sposób niezgodny z ich przeznaczeniem, co oczywiście jest źródłem przerażenia bohaterów, skoro dzieje się coś, co żadną miarą zgodnie z ich racjonalistyczno-matenalistycznym nastawieniem wobec świata dziać się nie powinno. Ten fakt powoduje również dreszcz emocji u czytelnika. Odmienny typ rekwizytu stworzyła science fiction oraz inaczej traktuje ona także rekwizyt realny, współistniejący z fantastycznym w jednej przestrzeni świata przedstawionego. To właśnie odróżnia science fiction nie tylko od literatury niefantastycznej, ale także od innych odmian fantastyki.

„O zaliczeniu utworu do science fiction pisze Ryszard Handke - *przesądzają zazwyczaj jego następujące właściwości: 1. Lokalizacja w miejscu, do którego dotarcie nie mieści się w granicach prawdopodobieństwa, przynajmniej w momencie powstania opowieści. 2. Umieszczenie przedstawionych zdarzeń w czasie, który z perspektywy narratora jest - jak normalnie w epice - przeszłością, jednak dla rzeczywistego odbiorcy stanowi przyszłość. 3. Pojawienie się przedmiotów i sytuacji, których nazwanie lub określenie przez wskazanie właściwości ujawnia ich pochodzenie spoza domeny szeroko rozumianej rzeczywistości empirycznej"*[6].

Spośród tych trzech najczęściej wymienianych właściwości, z których pierwsza dotyczy także utworów spoza science fiction (np. utopii), druga zaś tylko jednej jej odmiany o podróżach kosmicznych, jedynie trzecią - zdaniem Handkego - *„wypadnie uznać za wyróżnik całego gatunku. Nie tylko bowiem jako ich skutek towarzyszy dwom poprzednio wymienionym cechom, ale występuje także w powieści o fantastycznym wynalazku rezygnującej z przestrzenno-temporalnych niezwykłości „*[7].

Owe „przedmioty" wymienione przez Handkego w punkcie trzecim to właśnie rekwizyty fantastyczne, które w utworach

Antoni SMUSZKIEWICZ

(ur. 1938), krytyk i teoretyk literatury science fiction. autor popularnego zarysu historii polskiej fantastyki naukowej („Zaczarowana gra", Wyd. Poznańskie, 1982). ukończył studia humanistyczne na Wydziale Filologii Polskiej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Od roku 1974 pracuje w Zakładzie Metodyki Nauczania Literatury i Języka Polskiego Instytutu Filologii Polskiej UAM. W latach 1977-1983 opublikował kilkanaście artykułów t recenzji (m.in. na łamach „Nurtu" i „Polonistyki") dotyczących zagadnień literatury fantastyczno-naukowej. W roku 1980 ukazała się jego praca doktorska- „.Stereotyp fabularny fantastyki naukoej" (Wyd. Ossolineum, Poznań). (A.N.)

science fiction mają z reguły charakter fantastycznych środków technicznych. Fantastyczność ta nie jest jednak cechą bezwzględną. Na terenie science fiction ten sam rekwizyt, w zależności od kontekstu, w jakim się znajduje, raz może być odbierany jako fantastyczny, innym razem znów (w innym utworze) jako realny. Charakter rekwizytu zależy w tym wypadku od czasoprzestrzeni literackiej, w jakiej został umieszczony. Szczególnie wyraźnie uwidacznia się to wówczas, gdy rozpatrywać czas akcji utworu, pojmowany jako teraźniejszość, przeszłość lub przyszłość, w stosunku do momentu, w którym ten utwór powstał[8].

Ponieważ każda epoka wytwarza coraz to inne przedmioty, konstruuje coraz to inne wynalazki techniczne, można przedmioty te wprowadzone do utworów określić ogólnie ze względu na epokę, w której powstały, jako rekwizyty historyczne i, współczesne, tzn. takie, które wytworzone zostały w epokach minionych i które ewentualnie istnieją także we współczesności jako przedmioty zabytkowe, oraz takie, które wytworzyła epoka współczesna pisarzowi. Takimi rekwizytami posługuje się literatura niefantastyczna i niektóre odmiany literatury fantastycznej (np. baśń). Science fiction stworzyła ponadto także i takie rekwizyty, których faktycznie nie ma w otaczającym świecie, ale do których podobne w przyszłości z pewnym prawdopodobieństwem mogą się pojawić. Pierwsze dwa rodzaje to oczywiście rekwizyty realne, trzeci rodzaj natomiast to rekwizyty fantastyczne.

Związek tychże rekwizytów z czasem świata przedstawionego w utworze ukazano w załączonej tabelce, ujmującej dziewięć charakterystycznych typów utworów, z których aż sześć to typy utworów fantastycznych lub do fantastycznych zbliżone. Jest to oczywiście ujęcie modelowe i wskazane w nim odmiany w czyste) postaci nie zawsze występują.

Po przekątnej tabelki układają się odmiany najbardziej klarowne i nie budzące zastrzeżeń, tj. proza historyczna (typ A), współczesna proza realistyczna, np obyczajowa (typ E), fantastyczno-naukowa proza o przyszłości (typ I), której świat przedstawiony jest wypełniony rekwizytami fantastycznymi[9].

Jest faktem oczywistym, że w przyszłościowej scenerii świata przedstawionego występują zarówno rekwizyty przyszłościowe (fantastyczne) i one jako nowość skupiają na sobie przede wszystkim uwagę czytelnika, ale występują tu również rekwizyty współczesne, które znalazły się tam drogą naturalną - jeśli tak można powiedzieć - w wyniku swego przetrwania, tak jak w utworze o tematyce współczesnej istnieją często rekwizyty z przeszłości, będące przedmiotami zabytkowymi (zob. typ B). Jeśli jednak w tekście utworu fantastyczno-naukowego nie zostało wyraźnie podkreślone, że są to obiekty zabytkowe (jak np. w powieści Macieja Parowskiego „Twarzą ku ziemi"), wówczas ich nazwy współczesne, lub znane z przeszłości, zdają się oznaczać inne nieco przedmioty przyszłościowego świata, tak jak nazwa „aparat telefoniczny" w roku 1900 oznaczała nieco inny przedmiot niż w roku 1983. Taka sama pozostała tylko funkcja, zmienił się natomiast wygląd.

Ryszard Handke, analizując „Odruch warunkowy" Stanisława Lema stwierdza, że *„pierwszy element odebrany przez czytelnika jako ewidentnie fantastyczny i to fantastyczny, by tak rzec, scientyficznie" sprawia, że „cech naukowej fantazji nabierają zupełnie skądinąd nienacechowane składniki świata przedstawionego utworu. Kontekst raz uznany za science fiction usłużnie dopowiada to, czego w nim formalnie brak, a więc, ze statek jest zapewne kosmiczny, a skafander - próżniowy"*[10]. W fantastyce naukowej mamy więc do czynienia ze zjawiskiem, które można by nazwać literackim sprzężeniem zwrotnym. Jeden rekwizyt wprowadzony do świata przedstawionego sprawia, ze świat ów zaczynamy w całości odbierać jako fantastyczny[11], a to z kolei rekwizytom realnym tego świata nadaje pewne fantastyczno-naukowe zabarwienie. Inaczej niż w baśni, gdzie takie zjawisko nie występuje O wiele ciekawsze odmiany układają się na obrzeżach omawianej tabelki. Typ C obejmuje utwory, których akcja jest umieszczona w świecie przyszłości, zaś rekwizyty wypełniające przestrzeń tego świata należą do przeszłości, zwracając na siebie uwagę często swym prymitywizmem. Są to bowiem utwory malujące z reguły świat po wielkim kataklizmie, po którym niewiele rzeczy pozostało, a to co wytworzyli później niemal cudem ocaleni ludzie przypomina przedmioty znane właśnie z przeszłości, np. w „Chrysalids" (tytuł amerykańskiego wydania „Rebirth") J. Wyndhama, gdzie prymitywna maszyna parowa, czy strzelba skałkowa są przedmiotami budzącymi podziw i zdumienie bohaterów.

Z kolei utwory typu F to przede wszystkim antyutopie opisujące zastój cywilizacyjny. Akcja rozgrywa się co prawda w dalekiej przyszłości, ale rozwój nauki i techniki z różnych powodów zatrzymał się w czasach niewiele późniejszych niż okres powstania utworu. Przykładów tego rodzaju jest tak niewiele, że trudno nawet wskazać konkretny utwór. Można powiedzieć, że jest to pole, które nadal czeka na wypełnienie. Rola rekwizytu fantastycznego jest tu niezwykle ważna. Znaczącym faktem jest jednak nie jego pokazanie, ale właśnie brak. Jeżeli utwór nawiązuje do konwencji fantastyczno-naukowej (tu znakiem tej konwencji jest przyszłościowość), a spodziewanych rekwizytów fantastycznych nie zawiera, wówczas powstaje znacząca luka Zabrakło czegoś, co być powinno. Brak staje się znakiem dla odbiorcy. Rodzi się napięcie między oczekiwaniem a spełnieniem oraz pytanie, dlaczego tak jest?

Do tego typu można zaliczyć również utwory na temat bardzo bliskiej przyszłości, która nie zdążyła jeszcze wytworzyć nic nowego, potrafiło natomiast sprowadzić kataklizm kładący kres ziemskiej cywilizacji i ludzkiej egzystencji (np. N. Shute - „Ostatni brzeg"). Tego typu utwory zbliżone są bardzo do fantastyki naukowej, ale ze względu na brak rekwizytów fantastycznych, zwłaszcza o charakterze technicznym, nie dają się z ta odmianą w pełni utożsamiać.

Utwory typu H to przede wszystkim opowieści o niezwykłym wynalazku lub o temanp. „Telechronopator" J.A Zajdla, „inwazja" S. Lema). O teraźniejszości świadczy tu cały koloryt świata przedstawionego, zaś jedynym rekwizytem fantastycznym, zajmującym w tym wypadku centralną pozycję w akcji utworu, pozycję obiektu[12], jest niezwykły wynalazek lub przedmiot z kosmosu. Rekwizyt ten sprawia, że ta odmiana nie budzi wątpliwości co do swe; przynależności do science fiction.

Kolejna odmiana (typ G), podobnie jak typ F, występuje rzadko i - jak dotąd - obejmuje niewiele utworów. Istota jej polega na umieszczeniu w przyszłości - mniej lub bardziej odległej - rekwizytów fantastycznych, które oczywiście wówczas nie istniały, a w najlepszym razie mogłyby jedynie zaistnieć jako ewentualność, która wszakże się nie spełniła. Z reguły odmiana ta obejmuje utwory stawiające pół żartem, pół serio fantastyczne hipotezy na temat znanych faktów o nie wyjaśnionych przyczynach, np. katastrofa tunguska (W. Zegalski - „Powrót gigantów"), albo w sposób racjonalistyczny „wyjaśniające" znane wątki z mitologii (np. J. Sawaszkiewicz - „Sukcesorzy") lub Biblii (np. fragmenty powieści P. Stypowa „Goście z planety Mion").

Ostatni typ utworów (typ D) polega na umieszczeniu w przeszłości, z reguły bardzo odległej, rekwizytów współczesnych, realnie istniejących w czasie powstawania utworu. Jest to specyficzna odmiana

Czas akcji / Rodzaj rekwizytu	Przeszłość	Teraźniejszość	Przyszłość
Rekwizyt historyczny	A. Utwory historyczne odtwarzające obraz epoki minionej, np.: H. Malewska „Przemija postać świata", K. Bunsch - „Dzikowy skarb"	B. Utwory współczesne na temat poszukiwania śladów przeszłości, np : H. Popławska - „Renesansowa przygoda", E. Paukszta - „Złote korony księcia Dardanów".	C. Utwory na temat regresu cywilizacyjnego np. część pierwsza „Miasta Światłości" M: Smolarskiego, obszerne fragmenty (zwłaszcza początkowe) powieści J. Wyndhama „Chrysadcis".
Rekwizyt współczesny	D. Utwory fantastyczrto-historyczne, np.. M. Kuczyński — „Atlantyda, wyspa ognta".	E. Utwory o tematyce współczesnej, np.: M. Dąbrowska - „Gwiazda zaranna", J. Andrzejewski „Miazga".	F. Utwory na temat zastoju cywilizacyjnego tub o zda-: rżeniach., z bardzo bliskiej przyszłości, np. (do pewnego stopnia) N. Snute „Ostatni brzeg".
Rekwizyt przyszłościowy (fantastyczny)	G. Utwory o wydarzeniach z przyszłości „wyjaśniające" znane fakty w sposób fantastyczny, np W. Zegalski - „Powrót gigantów".	H. Opowieści o niezwykłym wynalazku, np J. A. Zajdel „Telechronopator", lub o tematyce inwazyjnej, np, S. Lem - „Inwazja".	I. Utwory fantastycznonaukowe o przyszłości, np. S. Lem - „Niezwyciężony".

utworów fantastycznych obywających się bez fantastycznych rekwizytów. Fantastyczność rodzi się tu ze zderzenia rekwizytów współczesnych z przeszłością, do której one ze względu na swój rodowód bynajmniej nie pasują. W izolacji rzecz rozpatrując (osobno przeszłość i osobno rekwizyt) można powiedzieć, że elementów fantastycznych tu brak. Jeśli jednak spojrzeć na utwór jako na strukturalną całość, trudno jego fantastyczności nie zauważyć. A to dlatego, ponieważ *„fantastyczność* - jak słusznie stwierdza Stanisław Lem - *nie musi być cechą pojęć izolowanych, ale może im się należeć dzięki wpasowaniu ich w pewien układ całościowy*[13].

Doskonały przykład tego typu stanowi powieść Macieja Kuczyńskiego „Atlantyda, wyspa ognia", gdzie element niefantastyczny (realnie dziś istniejący) uzyskuje fantastyczność w momencie umieszczenia go w innej czasoprzestrzeni, np. elektrownie, lunety, cement, czy gazy usypiające na Atlantydzie około dwunastu tysięcy lat temu. Z kolei sposób wprowadzenia tych rekwizytów do akcji oraz sposób prezentacji ich działania, ukazany z punktu widzenia przybysza z zewnątrz, a więc zawarty w utworze system motywacyjny nierozerwalnie wiąże tę powieść z fantastyką naukową.

Jak wynika z tych rozważań, rekwizyt nada! pełni ważną funkcję jako element składowy świata przedstawionego science fiction. Jego usytuowanie i związek z pozostałymi elementami (np. z czasem akcji) wpływa na zewnętrzne zróżnicowanie gatunku. Nie można więc roli rekwizytu w fantastyce naukowej pomniejszać, chociaż nie można też nie zauważać, że w procesie ewolucji gatunku zmienia on swoją funkcję.

Już przeszło piętnaście lat temu Ryszard Handke, formułując tezę o roli fantastycznego środka technicznego, jako czynnika odróżniającego science fiction od innych odmian prozy fantastycznej i niefantastycznej, przewidywał, że *„redukcja roli wynalazków technicznych do czysto zewnętrznego sztafażu jest w science fiction nieunikniona".* Przewidywania okazały się trafne. Od dobrych kilku lat fantastyczne zdobycze techniczne świata przedstawionego nie mają na celu zadziwiać swoją odmiennością, niezwykłością, a wręcz przeciwnie - jawią się przed oczyma czytelnika jako zwykłe elementy normalnej przyszłościowej codzienności, w której z woli autorów wypadło żyć równie pospolitym bohaterom, np. w powieści J. A. Zajdla „Limes interior". Fantastyczny środek techniczny (fantastyczny rekwizyt) z pozycji głównego obiektu zainteresowań w utworach wcześniejszych przechodzi teraz na plan dalszy i zaczyna być stosowany tak samo, jak każdy inny rekwizyt realny w literaturze niefantastycznej, a więc najczęściej do budowy tła, na którym rozgrywają się zasadnicze konflikty, często te same, odwieczne ludzkie dramaty, ale przekazywane w nowej, odmiennej perspektywie. Na tym etapie rozwoju fantastyki naukowej pisarze coraz więcej uwagi poświęcają problematyce humanistycznej, egzystencjalne!, spychając technikę (a więc i rekwizyt fantastyczny) poza kulisy właściwych wydarzeń. Minęła juz epoka opowieści o „cudownym wynalazku", fascynacji samą techniką. Nowsza fantastyka naukowa często rezygnuje z prezentacji niezwykłych urządzeń i ich zadziwiających możliwości, ale pamięć o nich zachowuje, nie rezygnuje z rekwizytu zupełnie.



Nie jest więc słuszne stwierdzenie, że science fiction to literatura o rekwizytach wypełniających znane schematy, tak jak trudno też zgodzić się ze stanowiskiem przeciwstawnym, że rekwizyt obecnie nie stanowi zupełnie o istocie fantastyki naukowej. Obecny sposób traktowania rekwizytu fantastycznego, analogicznie do rekwizytu realnego w prozie niefantastycznej, bynajmniej nie umniejsza jego roli jako czynnika wyróżniającego. Po prostu science fiction nie może się bez niego obejść. Owa „redukcja roli", o której wspomniał Handke i którą coraz częściej się obserwuje, w istocie niczego nie zmienia, jeśli chodzi o klasyfikację gatunkową. Nadal pozostaje w mocy twierdzenie o konstytutywne! roli tegoż czynnika. Mimo że schodzi on na plan dalszy, to jednak nie znika zupełnie ze świata przedstawionego utworów fantastyczno-naukowych. Jeśli zaś następuje redukcja całkowita, wówczas utwór wypada z obszaru science fiction, staje się dziełem o innym charakterze.

Antoni Smuszkiewicz

1. SF. Dyskusja z redaktorami miesięcznika „Fantastyka" Oprac. M. Piotrowski i L. Żuliński. „Tu i Teraz" 1983, nr 27, s. 1. 8-9,
2. Słownik języka polskiego. Red. W. Doroszewski. T. 7, s, 910-911,
3. Zob. B. Owczarek: Opowiadanie i semiotyka. Wrocław 1975, s. 70.
4. Zob. R. Caillois: Od baśni do science fiction. Tłum. J. Lisowski. W: R. Caillois - Odpowiedzialność i styl. Warszawa 1967, s. 33.
5. Tamże, s. 33.
6. R. Handke: „Odruch warunkowy" Stanisława Lema. W: Nowela. Opowiadanie. Gawęda. Interpretacje małych form narracyjnych. Red. K. Bartoszyński i in. Warszawa 1974, s. 308.
7. Tamże, s. 308-309. Tezę tę szerzej uzasadnia R. Handke w pracy Polska proza fantastycznonaukowa. Problemy poetyki. Wrocław 1969, s. 9-11.
8. Zob. J. Krzyżanowski: Nauka o literaturze. Wrocław 1966, s. 215.
9. O roli rekwizytu fantastycznego w tej odmianie science fiction zob. A. Smuszkiewicz: Stereotyp fabularny fantastyki naukowej. Wrocław 1980, s. 141-143.
10. R. Handke: „Odruch warunkowy"... Op. cit. s. 310.
11. Zob. W. Ostrowski: The Fantastic and the Realistic in Literature. „Zagadnienia Rodzajów Literackich" 1966. t. 9 , z. 1 (16). s. 73.
12. O roli obiektu w fabule utworu fantastycznonaukowego zob. A. Smuszkiewicz, op. cit., s. 103-104.
13. S. Lem: Fantastyka i futurologia. Kraków 1973. t. 1. s. 17.

James Graham BALLARD, Anglik z pochodzenia, urodził się w roku 1930 w Szanghaju. Wojnę spędził w obozie japońskim. W roku 1946 wyjechał do Anglii. Tu ukończył szkołę i po odbyciu służby wojskowej (był pilotem RAF-u), rozpoczął studia na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Cambridge. W roku 1956 zadebiutował na łamach „Science Fantasy" opowiadaniami: „Prima Belladonna" i „Escapement". Wkrótce dał się poznać jako jeden z czołowych pisarzy science fiction, twórca narracji psychologicznej w literaturze SF (tzw. nurt inner space w fantastyce naukowej).

Na dorobek literacki Ballarda składają się powieści: „The Wind From Nowhere" (1962), „The Drowned World" (1962), „The Drought" (1964), „The Crystal Wortd" (1966), „Craeh" (1973), „Concrete Island" (3974), „High Rise" (1975), oraz ponad 100 opowiadań zgromadzonych w zbiorach: „Vermilion Sands" (1971), „The Atrocriy Exhibition" (1970), „Low Flying Aircraft" (1976), „The Four-Dimensional Nightmare" (1963), „The Terminal Beach" (1964), „The Dissaster Area" (1967), „The Beat Science Fiction of J. O. Ballard" (1977)

Na język polski została przetłumaczona powieść „Concrete Island" („Wyspa", przei L. Jęczmyk, Czytelnik 1982) i zbiór opowiadań „Ogród czasu" (Wyd. Literackie" 1983) oraz niektóre teksty zamieszczane na łamach poznańskiego „Nurtu", „Przeglądu Technicznego", „Problemów" i antologii SF - „Kroki w nieznane" (red. L. Jęczmyk).

Wywiad z J.G. Ballardem, jaki przeprowadzili w 1976 roku dwaj zachodnioniemieccy krytycy SF. Jörg Krichbaum i Rein Zondergeld został opublikowany w czasopiśmie „Ouarber Merkur" w roku 1979 (tyt. oryg.: „Es ware ein Irrtum über die Zukunft zu schreiben", ss. 141-155). Wywiad ów przedrukowujemy z niewielkimi skrótami.

„Byłoby błędem pisać o przyszłości"

Z. J. G. Ballardem rozmawiają J. Krichbaum i R. Zondergeld

W momencie ukazania się książki J.G. Ballarda „Vermilion Sands" (1971) najbardziej zagorzali czytelnicy fantastyki naukowej poczęli sobie uświadamiać, że oto mają do czynienia z pisarzem, do którego miano zwykłego autora science fiction przestało w zasadzie pasować. Cześć z nich zaakceptowała zmiany w płaszczyznach refleksyjnych jego tekstów, dochowując mu w ten sposób wierności. Niemniej jednak wokół postaci Ballarda zaczęła narastać cisza - wydawnictwa wyciągnęły konsekwencje z faktu spadku zainteresowania pisarzem i przestały wydawać jego książki. Jeszcze raz potwierdziło się, że pisarz opuszczający teren literacki, do jakiego przywykli jego czytelnicy i on sam, i zwracający się ku nowym problemom, bądź technikom wyrazu, ryzykuje wiele.

Ale przecież - mimo to - jest Ballard niewątpliwie jednym z najwybitniejszych, najwszechstronniejszych i przede wszystkim najwrażliwszych przedstawicieli fantastyki naukowej. W przyszłości do wszystkich liczących się autorów science fiction będzie przykładać się jego miarę.

Pytanie: *- Dlaczego właściwie wybrał pan fantastykę naukową, a nie na przykład odmianę kryminalną bądź jakiś inny gatunek?*

James Graham Ballard: - Swoich sił jako pisarz próbowałem jeszcze w szkole. Wtedy właśnie powstały opowiadania, szkice kilku powieści. Tworzyłem tez w Cambridge, ale muszę przyznać, że te formy powieściowe, jakie dominowały w połowie lat pięćdziesiątych, nie satysfakcjonowały mnie. Czułem, że czegoś tu brak, a ściślej mówiąc, brakowało odbicia rzeczywistości. Całe życie zmieniało się wtedy pod wpływem nauki i techniki. Komunikacja, telewizja, prawdziwa eksplozja nowych krajobrazów. Proszę tylko pomyśleć: w roku 1957 został wystrzelony pierwszy sputnik! Rozwój komunikacji był nieprawdopodobnie raptowny. Stale rosnąca liczba połączeń lotniczych ożywiała jeszcze bardziej masową turystykę. Do tego wszystkiego dochodziło ogólne tło: zimna wojna, zagrożenie atomowe, mordercze systemy potencjału zbrojeniowego. Ale w ukazujących się wtedy powieściach nie było o tych sprawach ani słowa. W zamian za to mieliśmy takich ludzi jak Kingsley Amis, John Osborne i inni „młodzi gniewni". No cóż, oni pisali o angielskim społeczeństwie klasowym, które mnie wydało się martwe. Nikt z nich nie interesował się nauką, techniką, czy też zmieniającym się światem. Tymi sprawami . zajmowała się tylko fantastyka naukowa.

- Ale chyba nie tradycyjna SF?

- W pewnym sensie tak. Nie wszystkie utwory SF opisywały przecież statki kosmiczne i podróże międzyplanetarne. Najlepsza SF to ta, która dotyczy naszego dnia dzisiejszego - taki przynajmniej jest mój pogląd. Miałem jednak wrażenie, że młodzi autorzy SF w ogóle nie wiedzą, o czym piszą, że w pewnym sensie albo nie dostrzegają wszystkich możliwości, jakie daje im ten gatunek literacki, albo też widzą je, ale nie wykorzystują sytuacji. Fantastyka naukowa była przede wszystkim zjawiskiem komercjalnym. Dlatego też autorzy nie mieli prawa prowokować czytelników, nie próbowali też wymyślać czegoś nowego. Wydawca i tak by na to nie poszedł.

- A zatem znakomita cześć fantastyki naukowej pełniła wyłącznie funkcje rozrywkową ?

- Tak, to się zgadza. Większość utworów miała dostarczać po prostu dobrej rozrywki. Mimo to byłem zdania, że SF powinna mieć znacznie większe aspiracje. Że całą tę powagę, którą widać w powieściach z przełomu XIX i XX wieku, można wprowadzić do fantastyki naukowej. Właśnie ten cel próbowałem osiągnąć.

- Zaczęto mówić o „nowej fali", a pana nazwano jej inicjatorem.

- Tak, chyba tak właśnie było. Przez dłuższy czas tylko ja pisałem w stylu tzw. nowej fali. Miałem przez to spore kłopoty z magazynami amerykańskimi, gdyż tego typu teksty, przełamujące tamtejsze konwencje, nie zyskiwały uznania wydawców. Ale tu, w Anglii, miałem więcej szczęścia. Czasopismo „New Worlds" było otwarte na tego typu nowości. Kiedy się je teraz czyta, wydają się dosyć konwencjonalne, ale w tamtych czasach odbierano je inaczej.

- Jednakże dziś istnieje cała grupa autorów piszących, a raczej usiłujących pisać tak jak pan, mających podobny stosunek do rzeczywistości. Jest przecież Thomas Disch, jest Brian Aldiss.

- Tak, i to właśnie mnie cieszy. Jeast jeszcze Sladek - i może Moorcock.

- Mówiliśmy dotychczas o problemach literatury anglosaskiej, ale przecież tradycje SF kwitną również w krajach Europy Wschodniej. Wystarczy wymienić Lema lub Strugackich. Co pan sądzi o tych pisarzach ?

- Jeśli mam być szczery, to Lem jest dla mnie nieco ociężały. Cały jego stosunek do materii różni się zasadniczo od mojego. Widać u niego coś wybitnie naukowego i... posłanniczego. Ja podchodzę do tych spraw w sposób bardziej analityczny, podczas gdy on tworzy monstrualne systemy syntez.

- Tematyka pana wczesnych książek, takich jak „The Drought", czy „The Crystal World" jest na ogół jednolita, natomiast utwory późniejsze różnią się znacznie pod tym względem. Skąd wziął się ten przełom ? A może pan nie uważa tego za przełom?

- Owszem, jest tak, jak pan mówi. Stało się to około roku 1965, kiedy zacząłem pisać opowiadania, zebrane potem w tomie „The Atrocity Exhibition". Do tego czasu poruszałem się zawsze w obrębie tradycji SF. Akcja większości książek powstałych przed rokiem 1965 rozgrywała się stale w przyszłości, nie licząc drobnych wyjątków. Dopiero później doszedłem do przekonania, że moim powołaniem pisarskim jest sprowadzenie SF z powrotem w czas teraźniejszy. Podjąłem zatem dialog z teraźniejszością i pozostałem temu wierny również w moich kolejnych książkach.

- W odniesieniu do formy tych utworów użył pan sformułowania „condensed novels" („powieści skondensowane"). Czy autorem tego pojęcia był któryś z krytyków?

- Nie, to ja stworzyłem tę nazwę. Każdy rozdział tych książek określiłem jako „condensed novel". Były to normalne powieści, brakowało w nich tylko zbędnego spoiwa. A ja uznaję wyłącznie...

-... to, co naprawdę niezbędne.

- Zgoda, możemy to tak nazwać. Ale jest to również tendencja dominująca w innych dziedzinach sztuki. Weźmy jako przykład rzeźbę. Aby zdefiniować pojęcie „masa", rzeźbiarz nie musi mieć całego bloku skalnego. Strukturę można określić także przez zarys, czyż nie? Nie trzeba mieć do dyspozycji całej masy kamieni czy stali, aby wywołać wrażenie ogromu przestrzeni.

- Ukazywanie samych zarysów pobudza wyobraźnie...

- Właśnie, wystarczą zarysy, resztę można sobie samemu dopowiedzieć. Chciałem stworzyć taki gatunek fikcji, w której można poruszać się swobodnie. Szybkie przeobrażenia sytuacji, ustawiczna konfrontacja z owymi przemianami to - moim zdaniem kwintesencja naszego życia. Telewizja zalewa nas codziennie potokiem obrazów: najpierw wiadomości, potem prognoza pogody,

program reklamowy, film, itd, itd. Potrzebna mi była forma odpowiadająca tym nagłym metamorfozom. Powieść konwencjonalna kojarzy mi się najczęściej z pociągiem: kiedy jedzie po szynach, nie może zboczyć ani na prawo, ani na lewo

- Wróćmy do pana wcześniejszych książek. Intrygujemnietamstosunekpomiędzyliteraturą a malarstwem, zwłaszcza surrealistycznym. W jakim stopniu jedna dziedzina sztuki może oddziaływać na drugą? U pana zjawisko to występuje chyba w całej rozciągłości?

- Tak, to się zgadza. Surrealiści wywarli na mnie olbrzymi wpływ. Wydaje mi się nawet, że większy niż jakikolwiek z pisarzy. Mówiono na przykład, że wiele zawdzięczam Josephowi Conradowi, ale kiedy krytycy wyrazili tę opinię, ja nie znałem jeszcze żadnej książki Conrada. Wracając do malarstwa: najistotniejszą wartością wyobraźni surrealistycznej jest jej zdolność przekształcania zjawisk tego świata, form zewnętrznych, w wewnętrzne, duchowe. Malarz surrealistyczny nie interpretuje świata zewnętrznego, jak to robili impresjoniści, kubiści i wszyscy ci, którzy analizowali świat rzeczywisty, nie naruszając jego całości. Surrealiści przekształcają świat zewnętrzny, i to od A do Z. To właśnie była metoda potrzebna literaturze SF. Chodzi o tzw. przestrzeń psychologiczną, którą dostrzegłem w malarstwie surrealistycznym.

- Czytając pana późniejsze książki, jak np. „The Atrocity Exhibition" lub „The Four-Dimensional Nightmare", odniosłem wrażenie, że przejął pan tu i ówdzie struktury filmu. Czy może pan powiedzieć coś na ten temat?

- Ma pan rację, pod tym względem istnieje wiele powiązań. Zastosowałem w mojej pracy literackiej to, co w filmie nosi nazwę: „kadr". Używam również innych środków filmowych, jak zbliżenie, zwolnione tempo, itp. Chciałem wprowadzić do powieści ekwiwalenty takich właśnie środków. Zbliżenie w tradycyjnej powieści polega na tym, że patrzy się komuś w oczy, aby odgadnąć jego stan psychiczny, motywy działania itd. W filmie zbliżenie nie musi oznaczać niczego, co odpowiadałoby owej pogłębionej płaszczyźnie. Nieraz reżyser chce ukazać tylko skórę twarzy. Jako przykład wymienię jeden ze „spaghetti-westernów", gdzie występuje zbliżenie Charlesa Bronsona stojącego na peronie stacji kolejowej. Widz ogląda jedynie tył jego głowy, po której łazi mucha. Taki rodzaj zbliżenia nie ma na celu uzewnętrznienia osobowości człowieka: prezentuje jedynie jakiś szczegół. A ja w „The Atrocity Exhibition" stosuję zbliżenia, które ukazują na przykład rękę dziewczyny na tle samochodu.

- Tak wiec same obiekty.

- Właśnie, same obiekty. Tak jak w filmie Hitchcocka dopuszcza się zbliżenie jakiegoś obiektu na stole, np. jajecznicy na talerzu albo okularów, dla oddania szczególnego nastroju. To samo dotyczy zdjęć w zwolnionym tempie, metody niezwykle istotnej, która potrafi przekształcić nawet bardzo gwałtowną akcję, np. zderzenie dwóch samochodów, w balet pełen gracji i elegancji.

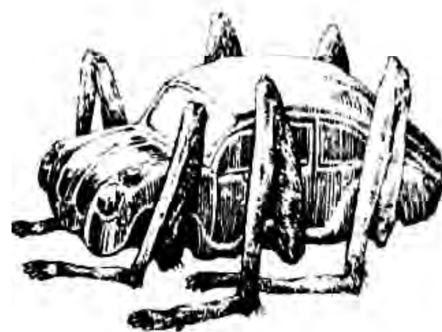
- Chodzi o zmianę wymiaru estetycznego?

- Tak, ale zmianę całkowitą. Pisarz może wykorzystać wspomniane chwyty filmowe i dzięki temu poszerzyć skalę wyrazu, jaką dysponuje.

- Czy nie odczuwa pan pokusy, aby samemu nakręcić film?

- O tak, nawet bardzo. Ale do tego brakuje' mi podstaw technicznych.





- Czy jest jakiś reżyser, z którym chciałby pan współpracować?

- Jest wielu reżyserów, których podziwiam. Na przykład Kubrick, to wielki twórca. Cenię również Antonioniego i Godarda, ale pod innym względem.

- Czy istnieje jakiś scenariusz filmowy napisany przez pana ?

- Napisałem scenariusz według własnej .powieści „Concrete Island", którą chciał sfilmować pewien reżyser francuski. Nie wiem jednak, czy film ten zostanie zrealizowany. Poza tym jestem autorem scenariusza mojej wcześniejszej powieści „The Drought". David Frost kupił go dla potrzeb telewizji, ale nie wykorzystał do tej pory...

- W pana książkach występuje mnóstwo terminów technicznych z najrozmaitszych dziedzin nauki: medycyny, fizyki, geologii, klimatologii itd. Czy nie sądzi pan, że wielu czytelnikom utrudnia to lekturę?

- Częściowo ma pan rację. Chciałbym jednak zaznaczyć, że staram się nie wprowadzać terminologii technicznej w zbyt dużych dawkach. Z drugiej strony uważam, że ludzie są dziś tak wykształceni...

- ... stwierdzenie niezwykle optymistyczne!

- Skądże znowu! Lekarze skarżą się na przykład, że ich pacjenci czytają więcej czasopism medycznych niż oni sami i dzięki temu wiedzą niezwykle dużo o medycynie. Dlatego nie sądzę, żeby moje utwory były dla czytelników niezrozumiałe..

- Czynie obawia się pan, że adresatom spodobają się te książki, ale pozostaną dla nich niejasne powody, dla których je pan pisze?

- To jest możliwe. Przecież zaliczono mnie już do autorów SF, których uważa się za pisarzy rozrywkowych. Niektórzy traktują moje książki tak, jakbym był Asimovem lub Bradburym. Tymczasem ja pracuję w zupełnie odrębnej dziedzinie. Kolejnym problemem jest mój specyficzny sposób pisania. Jedną z moich książek można sprowadzić wyłącznie do konfliktu fabularnego, ale to, o co mi naprawdę chodziło, rozgrywa się na zgoła innej płaszczyźnie. „The Drowned World" jest na przykład pozornie powieścią katastroficzną o zagładzie świata, jak u Johna Wyndhama, i wielu czytelników odbierze ją właśnie tak, powierzchownie, nie rozumiejąc, o co w niej właściwie chodzi, dlaczego bohaterowie postępują tak osobliwie, niewłaściwie, nielogicznie. I ze swojego punktu widzenia będą mieli rację. To jest istotnie problem.

- Czy jakaś książka lub film wywarły na panu szczególnie duże wrażenie lub miały wpływ na pana twórczość?

- Cóż, podziwiam Williama Burroughsa, bardzo lubię książki Geneta i starszych autorów, np. Huysmansa i jego „A rebours". Uważam za wspaniały film Kubricka „Dr Strangelove". Jest to arcydzieło. Niedawno obejrzałem powtórnie w telewizji „Słodkie życie" Felliniego. Ten obraz wywarł na mnie duże wrażenie.

- To ciekawe, że wymienia pan Geneta i Burroughsa. U nich nie ma akcji, przynajmniej w pojęciu tradycyjnym, natomiast pana książki trudno sobie wyobrazić bez sztywnych struktur literackich.

- To prawda, u mnie występują wyraźne struktury, nawet w ostatnich książkach. Fabuła jest tam bardzo wyrazista. Wprawdzie nieraz próbuję ją nieco zatuszować, ale ona musi istnieć, jak most, w przeciwnym razie wszystko mogłoby runąć.

- Gdyby jednak założyć, że rozwój potoczy się jeszcze bardziej w kierunku eksperymentalnym, to któregoś dnia może nie znaleźć pan już żadnego wydawcy. Czy nie obawia sie pan tego?

- Dotychczas miałem pod tym względem szczęście. Wprawdzie w RFN nie przetłumaczono moich ostatnich książek, ale odniosłem sukcesy w Anglii. „Crash" nie wzbudził zachwytu w Ameryce, ale stał się bestsellerem we Francji, chociaż prawdę mówiąc, spodziewałem się reakcji odwrotnych.

- Biorąc to pod uwagę, należałoby chyba przyjąć, że pewne książki nie znajdują uznania w pewnych krajach.

- Tak, ma pan rację. Psychologia narodowa to z pewnością problem trudny i zawiły.

Przełożył
Mieczysław Dutkiewicz

KOBIETY JAK LUDZIE

Jednym z mitów mojego dzieciństwa były twierdzenia o wrodzone] łagodności kobiet i ich słodkie) bierności. Późnie) fala emancypacji wyniosła kobiety na widok publiczny i pokazało się, że mówiąc skrótowo - pazury i kły rosną im nie gorsze niż chłopcom. Przyszła potem rewolucja seksualna, a z nią nowy szok - kobieta niekoniecznie będzie czekać, aż mężczyzna poprosi. Czego nie dokonały rewolucja seksualna i emancypacja, tego dokończyły kolejki. Niedobory rynkowe przypieczętowały nową prawdę o kobiecie jako o stworzeniu twardym, walczącym i nieustępliwym.

To co powiedziano powyżej nie miało być bynajmniej antydamskim wybrykiem zaordynowanym kobietom perfidnie na okoliczność Międzynarodowego Ich Święta. Przeciwnie, staram się jak mogę utrzymać w tonie feministycznych manifestów, których reprezentacyjny wybór -„Nikt nie rodzi się kobietą" - zestawiła Teresa Hołówka, a rzuciło na rynek wydawnictwo „Czytelnik". Otóż autorki tej książki twierdzą, ze podział na zachowania męskie i damskie nie jest wynikiem naturalnego stanu rzeczy ani gruczołów, czy choćby genów, lecz wyłącznie sprawą wychowania i nacisku środowiska. Zarówno kobiecość, jak i męskość kształtują się w procesie społecznej tresury. Stanowisko feministek, którego raczej nie podzielam, ale które próbuję uczciwie tu zreferować, brzmi bodaj następująco: To mężczyzna dla własnej wygody, lecz wcale nie dobra, zepchnął kobietę do spełniania roi kobiecych - łóżko, kuchnia, dziecko - i jest rzeczą wszystkich kobiet zbiorowo wypełznąć z tego dołka. Czy także wepchnąć weń kogoś? I kogo?... Najinteligentniejsze feministki odpowiadają tu charze:„Mężczyźni także muszą być wyzwoleni, ich los nie jest godzien ani pozazdroszczenia, ani naśladowania". Problemów tak szczegółowych nie mają zrazu kobiety z roku 2044, bohaterki filmu Juliusza Machulskiego „Seksmisja". W wyniku wojny bowiem i eksplozji bomby likwidującej męskie geny, kobiety same zostają na świecie. I cóż się dzieje? Otóż - tako rzecze Machulski - zamiast oddać się budowie spolegliwego supermatriarchatu, małpują (zupełnie jak małpy w filmie Schaffnera naśladowały świat ludzi) niemal dosłownie obmierzłą im społeczność męską. To znaczy odtwarzają pracowicie hierarchiczny świat nauki. Spychają na margines istoty myślące inaczej (zwane tu dekadentami). Dzięki zawładnięciu językiem i historią szkalują bez opamiętania mężczyzn, a wszelkie męskie dokonania piszą na swoje konto. Jest więc w ich mitologii kobieta imieniem Kopernik i puszka niejakiego Pandora (!). Kobiety te wreszcie głuszą instynkt płciowy pigułkami, przekształcającymi potrzebę uczuć w instynkt rywalizacyjny (cechę podobno typowo męską), a rozmnażają się przez partenogenezę. Jajo pobudza się do rozrodu w probówkach, kalecząc je czymś ostrym. Ohyda!

Gdy w tym świecie zjawiają się znienacka dwaj nasi, mężczyźni z XX wieku, hibernaci - odmrożeńcy, Albert i Max, mazgaj i cwaniaczek - para nawiasem mówiąc zupełnie jak ze „Ślubów panieńskich" - po paru minutach wiemy już, jak to się skończy. Podobnie jak u Fredry, panienki pękną, zaciekły bo samowystarczalny feminizm zostanie rozłożony od wewnątrz metodą nieoczekiwanych pieszczot i przebiegłych komplementów, a zew rzucający obie płcie sobie w ramiona zwycięży. Reżyser wie oczywiście, że od początku tego oczekujemy, dlatego zanim co, daje i nam, bohaterom zdrowo popalić. Tytułowa dwuznaczność - misja seksualna czy eksmisja z seksu? - długo nie zostaje rozstrzygnięta. Widmo kastracji krąży w powietrzu, a XXI-wieczna technika sprawia, że gdy tylko udaje się naszym wyrwać z matni, natychmiast z powrotem w nią wpadają. Scenariusz przewidział mnóstwo takich pułapek zastawionych na bohaterów i na widza. W końcu jednak... wiecie już państwo o co chodzi? Jak przystało na dzieło antyfeministyczne, kobiet w „Seksmisji" dużo (nie powiem, nawet interesujących), ale na pierwszy plan wysuwają się dwie role męskie. Spłoszony Albert i rezolutny Max dominują nad filmem przerzucając się grepsami jak w kabarecie. Tak więc, mimo że to i XXI wiek, i państwo kobiet, cały czas jesteśmy w tym filmie u siebie. Film skrzy się humorem. Stuhr szarżuje jak za dawnych dobrych czasów „Spotkań z balladą", Łukaszewicz jest w tym zestawie nieco bledszy, ale za to bardziej refleksyjny. Co ciekawe, robota jest bez zarzutu od strony profesjonalnej, scenograficznej, reżyserskiej. Bańka XXI-wiecznej iluzji ani razu nie pęka, bariera technologiczna została przełamana. W filmie, oczywiście nieco kameralnym, przesłanie nie odkleja się od dekoracji, kostiumy nie śmieszą, a wszystko - lotnisko z czołówki, studio, więzienie, podziemia opanowane przez dekadentów, sekwencje komputerowe, laboratorium - odrobione jest z dużym biglem. Wiele w tym wysiłku, pracy i zapobiegliwości reżysera oraj całej ekipy, o czym Machulski pięknie opowiada w wywiadach, ale pozwólcie państwo, ze do tego personalnego wyjaśnienia sukcesu dopiszę wytłumaczenie gatunkowe. Uważam, że istnieje juz pewna wspólna wiedza widzów i twórców, wspólny dorobek w zabudowaniu świata przyszłości, dokonany setkami filmów, tysiącami obrazów, okładek i komiksów. Barierę kosztów i kryzysu pokonywała ekipa Machulskiego samotnie, co się tyczy wyobraźni, ścieżka była już dobrze przetarta. Uważam po prostu, że ilość przeszła w jakość i córa mniej będzie teraz na całym świecie filmów S; wizualnie nieprzekonywających. Na zakończenie przyjrzyjmy się nieuchronnej by może niekonsekwencji. Teza Machulskiego jest zacna. Upomina się reżyser o świat, w którym męskość, i kobiecość znajdą zatrudnienie we właściwych im rolach. To znaczy dziewczynki będą miały tatusiów, a kobiety staną się normalnymi matkami oraz natchnieniem poetów i pocieszeniem wojowników. Film zamyka wymowna stop-klatka, zbliżenie niemowlęcego fallusa, w którym cała siła i nadzieja. Reżyser staje na pozycjach męskiego rasizmu, „seksizmu" - jakby powiedziały feministki - i lansuje tezę, że kobiety same nie poradzą, więc obie płcie muszą wspólnie pod męskim przewodem. A jednocześnie Ma chulski jakby przeczył sobie, pokazując społeczność kobiet pozostawionych samopas, która działa, nie sypie się i przypomina kopię świata mę-

WIOSNA HELIKONII

W świadomości polskiego czytelnika Brian W. Aldiss zapisał się jako autor dwóch powieści: „Non stop", i „Cieplarni". Są to jednak utwory, które aczkolwiek ciekawe w swych pomysłach i doskonale napisane, dają dość skromne wyobrażenie o talencie i wszechstronności ich autora. Sądzić należy, ze dopiero przygotowywany przez „Iskry" tom opowiadań „Kto zastąpi człowieka" ukaże nam zarówno zróżnicowanie tematyczne, jak i ciekawe poszukiwania formalne twórcy, którego słusznie zalicza się do ścisłej czołówki SF i który ma w swym dorobku ponad dwadzieścia opublikowanych pozycji (w tym świetna historia SF "The Billion Year Spree") oraz pół tuzina „gatunkowych" nagród.

Aldiss nie unika tematów, które zdawałoby się trącą nieco „konfekcją" fantastyczną - znajdujemy tu roboty, inwazje z kosmosu,„świat po katastrofie", mutantów itp. - i doskonale udowadnia, że to nie temat wyrokuje o wartości utworu lecz jego opracowanie, wprowadzony doń ładunek intelektualny, czy wreszcie zastosowane rozwiązanie formalne. Ciekawe, ze Aldiss doskonale czuje się zarówno w pozornie tradycyjnej fantastyce „zewnętrznej" ożywionej przezeń oryginalnymi koncepcjami i wizjami, jak i nowofalowej, wewnętrznej, która niekiedy jedynie atmosferą, aluzjami nawiązuje do tego gatunku. „Helliconia" powstała, pisze Aldiss w swym przedsłowiu-liście do syna, jako rezultat „twórczego niezadowolenia" z poprzedniej powieści „Life in the West".

W poszukiwaniu bardziej metaforycznego sposobu wyrażania obaw i problemów naszej współczesności stworzył on swój, prawie identyczny z Ziemią świat, zamieszkały przez humanoidy i ich odwiecznych wrogów phagory, zwierzopodobne, zimnolubne i okrutne. Planeta Helikonia różni się od Ziemi przede wszystkim cechami astronomiczno-kalendarzowymi. System planetarny Helikonii funkcjonuje w układzie gwiazdy podwójnej, co pociąga za sobą pewne uwarunkowania kalendarzowe. Obrót wokół gwiazdy B (Batalix) trwa 480 dni ziemskich i jest to tak zwany „mały rok". Z kolei obrót systemu gwiazdy B wokół gwiazdy A (Freyr) trwa, bagatelka, 2592 ziemskie lata - jest to tzw. Wielki Rok - i w trakcie tej podróży kosmicznej, w najdalszym jej punkcie Helikonia jest zlodowaciała, w najbliższym zaś - panują na niej bardzo wysokie temperatury.

To, co miało początkowo służyć jako swojego rodzaju „kostium", szybko stało się elementem bardzo istotnym - wymagającym w rezultacie trzech lat studiów, zbierania materiałów i konsultacji. Wielce charakterystyczna jest tu również lista podziękowań skierowanych pod adresem specjalistów - historyków, filologów, antropologów, anatomopatologów, biologów, geologów, klimatologów i astronomów. W efekcie, pisze Aldiss: „Kiedy znalazłem się już bardzo daleko od mojej pierwotnej koncepcji - w apastronie moich najwcześniejszych założeń - odkryłem, że wyrażam zdolności, które są w równym stopniu istotne dla naszych czasów, jak i dla Helikonii. I chyba nie mogło być inaczej. Przecież ludzie z Helikonii, nieludzie, stwory i inne postacie interesują nas tylko wtedy, gdy stanowią odbicie naszych problemów i naszych niepokojów".„Helliconia"została pomyślana jako trylogia, w której każda część będzie opowiadać o losach jednej generacji przypisanei niejako do kolejnej pory „Wielkiego Roku". W chwili obecnej ukazała, się część pierwsza: „Helliconia Spring" (Wiosna Helikonii) i oczywiście sprawia to zrozumiałe trudności przy interpretacji utworu; nie znamy wszak rozwiązań finalnych, koncepcji autora, które zostaną wyrażone w następnych tomach, połączą się z zawartymi w „Wiośnie" tworząc ideową, intelektualną i artystyczną całość. Jednakże już na podstawie tego pierwszego tomu możemy stwierdzić, że mamy do czynienia z dziełem nietuzinkowym. Rozległa panorama losów jednego plemienia - jego formowania się, rozwoju społecznego, kulturalnego i intelektualnego, problemy walki o władzę i z zagrożeniem wewnętrznym, dążenie do zrozumienia przeszłości oraz przemian zachodzących w otaczającym ich świecie, a wynikających z gigantycznej kosmicznej podróży ich systemu, ewolucja

skiego. Więc jak to jest - poradzą same czy nie poradzą?

Film jest dobrą komedią, ale teza, na której go postawiono brzmi ryzykownie: kobiety nie potrafią inaczej. Może tak, może nie; podejrzewam, że równie uprawniona będzie tu teza przeciwna: kobiety nie potrafią tak samo. Machulski staje na rozdrożu, skecz jest przedni, ale prawdziwego świata bez mężczyzn w filmie nie oglądamy. Na ekranie dokonano tylko zabawnej i sugestywnej inwersji. A przecież warto by kiedyś pójść dalej, spróbować tego przynajmniej, co zrobiła, przedstawiona na tych łamach przed rokiem, w noweli „Huston, Huston...", kobieta skrywająca się pod męskim pseudonimem. Pani Alice Racoony Sheldon (vel James Tiptree) winszowała nam bowiem społeczność bez chłopów miękką, łagodną, kobiecą w całym umownym tego słowa znaczeniu i eliminującą ostatnich mężczyzn ze strachu przed ich destrukcyjną agresywnością. Nie wierzę w świat Tiptree, myślę że musiałoby być w nim znacznie więcej histerii, faworytyzmu, wiele okrucieństwa i perwersji, a także skrywanych modłów o nieobecnego mężczyznę, ale mówiąc to, uświadamiam sobie, że nie wierzę również w świat kobiet wymyślony przez Machulskiego. Tiptree tak, Machulski siak, płeć szkaluje płeć, a przecież właśnie z tezy Machulskiego, iż jesteśmy sobie nawzajem niezbędni, wynika niezbicie, że prawdziwe światy samotnych kobiet (i mężczyzn) musiałyby być okropne i zupełnie niepodobne do tego, co oglądamy na co dzień. I na ekranie. W przebiciu się do tej prawdy - jak by było, gdyby? - komedie, nawet najlepsze, wspomogą nas zaledwie częściowo. Podobnie nie oczekujmy zbyt wiele od stronniczych feministycznych (bądź maskulinistycznych) dzieł-manifestów jak „Huston, Huston...". Zapewne najbliższe natury rzeczy byłyby tu dokonania posępne, utrzymane w duchu „Władcy much", noblisty - Williama Goldinga.

Maciej Parowski

„SEKSMISJA". Scenariusz i reżyseria: Juliusz Machulski Zdjęcia Jerzy Łukaszewicz. Zespół Filmowy „KADR", 1983.

obyczajowości - wszystko to jest osadzone w drobiazgowo opisanych realiach. Realiach przedstawionych tak plastycznie i precyzyjnie, że momentami zatracamy świadomość, że wszystko to stanowi kreację, zostało przez Aldissa niejako stworzone. Gdyby nie dwa „słońca-straznicy", phagory i tym podobne akcesoria, można by przyjąć „Helliconię" za jakiś zbeletryzowany opis etnograficzny bądź za jak najbardziej realistyczną opowieść o życiu prymitywnego plemienia zepchniętego przez warunki zewnętrzne do poziomu nieomal myśliwsko-zbierackiego, lecz przechowującego - w podświadomości i tajemnych zapisach - wiedzę o dawnej świetności. Plemię to wraz z przemianami klimatycznymi przekształca się, rozwija, odzyskuje swą tożsamość i świadomość, staje w obliczu kataklizmu. Problemy te widzimy jakby w dwóch planach -- w mikroskali mieszkańców Embruddock i w makroskali - , z perspektywy pracowników ziemskiej stacji obserwacyjnej krążącej wokół Helikonii.

Jest to bardzo piękna książka i, jak każdy dobry utwór literacki, bez względu na gatunkową przynależność - na swój s osób uniwersalna: mówiąca o życiu i śmierci, rozumie i władzy. To dobrze, że nasi wydawcy zainteresowali się „Helliconią".

Sławomir Kędzierski

Brian W. Aldiss: *Helliconią Spring.* Atheneum, New York 1982.

Z... jak Zajdel

„Limes interior" trafiła w dziesiątkę. Była powieścią aluzyjną, wieloznaczną, rozbijała skostniałe schematy fantastyki naukowej, a co istotniejsze nie zrywała dialogu z czytelnikiem - potrafiła przedstawić swoje racje w sposób jasny, logiczny i przystępny. Nic dziwnego, że nazwisko Janusza Zajdla powróciło na czołowe miejsca list bestsellerów. Autor „Jadu mantezji" (1965), debiutujący u progu lat sześćdziesiątych z pisarzami „Orientacji Hybrydy", znalazł się w gronie krajowych luminarzy science fiction. Po wielu tomach podobnych, niemal seryjnie produkowanych opowiadań, jego „Limes inferior" rozbudziła apetyty czytelników.

W rok po tym znaczącym wydarzeniu ukazała się następna książka Zajdla - „Wyjście z cienia". Książka ciekawa, poprawna pod względem warsztatowym, ale pozostawiająca pewien niedosyt, osad żalu po emocjach, których nie dane nam było przeżyć.

Dlaczego tak się stało? Sądzę, że autor mógłby odpowiedzieć na to pytanie bezradnym wzruszeniem ramion. „Wyjście z cienia" napisał w roku 1978. „Limes inferior" ukończył dwa lata później (1980), a obie książki ukazały się w zgoła odwrotnej kolejności. Oto przed jakimi paradoksami stawia nas kryzys przemysłu poligraficznego! Załóżmy, że „Lad serca" Jerzego Andrzejewskiego zostaje wydrukowany po „Bramach raju". Autor ten sam, a jednak...

A jednak, w tym krótkim, burzliwym okresie lat siedemdziesiątych zmieniło się wiele, zwłaszcza w polskiej sytuacji społecznej, w zadaniach i celach, jakie stanęły przed literaturą i dalszymi kierunkami jej rozwoju. Stąd też „Wyjście z cienia" mogło być tylko trafną obserwacją pewnego stanu rzeczy, podczas gdy „Limes inferior" - socjologiczną diagnozą, antyutopią sprowadzoną do rangi eksperymentu myślowego. Książki te dzieli przede wszystkim wymowa przesłania, nieporównanie głębsza i rzeczowa w ocenie perspektyw rozwoju Argolandu.

Jaka jest zatem „ostatnia" powieść Janusza Zajdla? Nie tak dawno, bo w roku 1982, jeden z nestorów-polskiej science fiction - Krzysztof Boruń stwierdził na łamach tygodnika „Tu i Teraz", że autor „Przejścia przez lustro" (1975) wypróbowuje tematyczne, poznawcze i problemowe możliwości literatury fantastyczno-naukowej, „Limes inferior" jest formą prozatorskiej działalności w sferze ekonomiki, zabiegiem prowadzonym na otwartym organizmie gospodarczym. 'Tak, to prawda, ale pisarstwo Janusza Zajdla mieści się przede wszystkim w kategoriach prognozy społecznej, stwarzającej szansę refleksji nad zmiennością i wartościowaniem procesu historycznego. Wymownym przykładem takiego stanu rzeczy jest właśnie „Wyjście z cienia" - powieść przesycona trafnymi obserwacjami socjologicznymi, operująca techniką szczegółu, zbliżenia, wyrazistością scen obyczajowych. Być może, subiektywna analiza świata stoi tu w pewnej sprzeczności wobec ogólnych wniosków problemowych, lecz tym samym wizja powszechnego upadku moralnego Ziemian zaatakowanych przez zaborczą, równie podłą i egocentryczną cywilizację Proxów, jest przytłaczająca w swej wymowie i prognozach egzystencjalnych. Zajdel nie oszczędza ani najeźdźców, ukazanych w krzywym zwierciadle małostkowych, zachłannych kolonizatorów Dzikiego Zachodu, ani podbitych „everymanów" zatracających powoli swoje człowieczeństwo,- dających się bezwolnie kształtować, brnących w coraz większe absurdy codziennego życia narzucane przez nieomylnych, wszystkowiedzących Przybyszów.

Ten koszmarny obraz przyszłości, znajdujący analogię w doświadczeniach historii, wynika pośrednio z przejaskrawień współczesnych systemów totalitarnych. Eksperyment socjologiczny Zajdla przypomina jedną z* kluczowych sekwencji filmu „I... jak Ikar", sprawdzającą podatność człowieka na nakazy centralnego sterowania, badającą szanse samokrytycznego odrzucenia nadrzędnej presji autorytetu. Co prawda, w społeczeństwie uciskanych i wyzyskiwanych rodzi się protest, ale jego powodem są raczej oczywiste, szyte grubymi nićmi, nadużycia w aparacie władzy, a działania opozycjonistów nie stanowią o przyczynach porażki Przybyszów, którzy opuszczają Błękitną Planetę na wyraźne żądanie swoich „przełożonych". To „cudowne" zakończenie ma jednak swój ukryty sens. Proxowie odlatują, ale czy Ziemianie potrafią otrząsnąć się z koszmaru przebytych wrażeń? Oto pytanie, niebagatelne dla pojęcia całej tej historii: „jak na razie zostaje utrzymany dotychczasowy system zarządzania, a na jego czele pozostawia się byłych Naczelników (...) uznając ich zasługi w dziedzinie prowadzenia kompromisowe/ polityki w trudnych warunkach okupacji proxyjskiej".

Trafność analiz środowiskowych, barwność fabuły i potoczystość narracji sprawiają, że powieść Zajdla czyta się z niesłabnącą uwagą i zainteresowaniem. Podstawową słabością tej książki jest jednak wykorzystywanie tradycyjnych schematów fantastyki naukowej, czerpanie pełnymi garściami z dotychchzasowej rekwizytorni literackiej podążanie utartym szlakiem „kontaktowej" odmiany science fiction. O ile „Limes interior', jako wersja współczesnej powieści społeczno-obyczajowej, miała ogromne szanse wykroczenia poza wewnętrzne getto gatunku - o tyle „wyjście z cienia", będąc wspaniałą robotą sztukatorską, tkwi w nim po uszy. Co istotniejsze, niektóre propozycje Zajdla nie wywołują zamierzonego efektu: nazbyt wcześnie dowiadujemy się o totalnym bluffie Kosmitów, co osłabia finalne napięcie wątku narracyjnego. Zmiana perspektywy sprawozdawczej w rozdziale piątym sprawia, że przypowieść z alegorycznej staje się po prostu baśniową, a niektóre „scenki rodzajowe" stwarzają nadmierną iluzję swoim patosem, przerysowaniem i nieco wymuszoną scenografią. Kto wie, czy nie lepiej byłoby zachować większą powściągliwość, zwłaszcza że czytelnik i tak domyśla się kluczowych „reguł gry" i bawi się w najlepsze od pierwszych stron tekstu.

Sceptykom, którzy zgadzają się z tą opinią doradzam mimo wszystko ponowną lekturę „Limes inferior" świadczącą, że Janusz Zajdel niejedno ma jeszcze do powiedzenia.

Andrzej Niewiadowski

J. A. Zajdel: Wyjście z cienia. Czytelnik, Warszawa 1983. Cena 80 zł.

Gombrowicz Witold

(1904-1969)

Powieściopisarz, dramaturg, eseista

Witold Gombrowicz urodził się 4 sierpnia 1904 r. w majątku Małoszyce w powiecie opatowskim. Pochodził z rodziny szlacheckiej, która przez 400 lat dziedziczyła posiadłości na Żmudzi, niedaleko Wilna i Kowna. Jego ojciec był obywatelem ziemskim i przemysłowcem (m.in. piastował stanowisko dyrektora fabryki papieru w Bodzechowie).

Dzieciństwo spędza Grombrowicz w wiejskim dworze i dopiero w roku 1911. wraz z rodziną, przenosi się do Warszawy. Tu uczy się prywatnie, uczęszcza do gimnazjum św. Stanisława Kostki, a w roku 1922 wstępuje na Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Kończy studia w roku 1927 i po aplikacji w warszawskim sądzie grodzkim wyjeżdża do Paryża, aby uzupełnić wykształcenie w LInstitut des Hautes Etudes Internationales. Po powrocie do kraju stara się o aplikanturę w Radomiu, zmuszony do rezygnacji dzięki stanowisku tamtejszej palestry zbulwersowanej jego lewicowymi poglądami. W tym samym czasie debiutuje tomem opowiadań „Pamiętnik z okresu dojrzewania" (1933), który spotyka się z aprobatą elity intelektualnej.

W latach trzydziestych Gombrowicz pisuje liczne eseje do czasopism literackich, ale prawdziwą sławę przynosi mu dopiero powieść „Ferdydurke" (1937), przyjęta z mieszanymi uczuciami przez ówczesnych krytyków i dziennikarzy. Na przełomie lat 1937-1938 Grombrowicz publikuje trzy opowiadania: „Na kuchennych schodach", „Szczur"! „Pampelan w tubie" oraz sztukę „Iwona, księżniczka Burgunda" (1938). W roku 1939 drukuje, pod pseudonimem, sensacyjną powieść „Opętani".

W końcu sierpnia 1939 r. opuszcza Polskę udając się do Argentyny. Tam zastaje go wybuch wojny. Grombrowicz zmuszony jest do przyjęcia posady urzędniczej w Banku Polskim. Pisze kolejną powieść „Trans-Atlantyk" i dramat „Ślub" (utwory te zostały później wydane w Paryżu w r. 1953). W prasie emigracyjnej rozpoczyna druk „Dziennika" (publik. w latach 1957, 1962, 1966).

W Argentynie pisarz pozostaje przez 24 lata. W Polsce ukazuje się niemal cała jego twórczość, akceptowana w równym stopniu przez środowisko emigracyjne (w r. 1960 doroczną nagrodę literacką otrzymuje jego następna powieść - „Pornografia"). Wiosną 1963 r. Gombrowicz uzyskuje roczne stypendium Fundacji Forda na pobyt w Berlinie Zachodnim. Przenosi się na stałe do Europy, jego stosunki z krajem zaczynają być coraz bardziej sformalizowane i napięte. Po okresie berlińskim wyjeżdża do Paryża, potem do Royaumont i La Messuguiere koło Grasse. Od października 1964 r mieszka w Vence na południu Francji.

Publikuje powieść „Kosmos" (1965) i sztukę „Operetka" (1966). W roku 1968 wydaje dwujęzyczny esej „O Dantem". W paryskim okresie działalności Gombrowicz osiąga sławę o charakterze międzynarodowym. Jego utwory są tłumaczone na wiele języków świata, podlegając ocenie krytyków francuskich, RFN-owskich i jugosłowiańskich. W roku 1967 otrzymuje międzynarodową nagrodę literacką Formentor. Umiera w Vence 24 lipca 1969 roku.

Jednym z ważniejszych tematów twórczości Gombrowicza jest zagadnienie o charakterze epistemologicznym: pytanie o sposoby i wartości naszego poznawania świata. Autor „Kosmosu", nawiązując do przesłanek filozofii kantowskiej i heglowskiej, twierdzi iż ocena przedmiotu poznania zależy w dużej mierze od przyjętej metody, nastawienia, a co istotniejsze - od sposobów postrzegania obserwatora. Te ostatnie nader często nie podlegają władzom naszej woli - wynikają z psychofizycznej kondycji człowieka bądź tez z ogólnych, społecznych kryteriów wartościowania zakodowanych w danej kulturze i wyrażanych za pomocą komunikacji językowej. Nigdy nie jesteśmy pewni efektów swojego poznania: oceniając rzeczywistość, która nas otacza dokonujemy zawsze jakiejś uprzedniej strukturalizacji, narzucamy swój własny punkt widzenia, niekoniecznie nawet emocjonalny. Nasze metody stwarzają obiekty, które zamierzamy badać, czyniąc to bez naszego w tym udziału. Zapatrzeni w niebo odkrywamy pewne regularności, ale to my sami „rysujemy" kontury Wielkiej Niedźwiedzicy, kreślimy figury gwiazdozbiorów, które nie wynikają bynajmniej z jakiegoś apriorycznego, przedwiecznego, raz na zawsze ustalonego „planu Przyrody" Świat jest nieoznaczony i niedowartościowany „...jest absurdem i potwornością dla naszej niezniszczalnej potrzeby sensu, sprawiedliwości, miłości - pisze Gombrowicz w „Dzienniku" - warunkiem materialności świata staje się jego wewnętrzne niezdeterminowanie. Człowiek nie może rozstrzygnąć jednoznacznie o naturze rzeczy i w 'tym należy upatrywać jeden z kluczowych dramatów ludzkiego poznania".

Problematykę oceny rzeczywistości, podstawową dla dwudziestowiecznej kultury europejskiej, asymilującej doświadczenia filozofii hermeneutycznej, przenosi Gombrowicz na stosunki o charakterze międzyludzkim. Każdy przedmiot jest skażony subiektywnością podmiotu, ale po nazwaniu, ocenie, konkretyzacji - ponownie się obiektywizuje. Związki personalne są „neutralne": ani moralne, ani niemoralne; człowiek nadaje im sens, etykę, osadza w normach kulturowych. Ludzie mają nieograniczoną władzę stwarzania nowych faktów i ustalania ich wartości - uczucia są formą powstałą między nimi w twórczym pragnieniu porządkowania świata. Ten cały proces może wydać się czymś nieprawdziwym, rodzajem teatralnej inscenizacji. Ale jednostka nie może żyć poza społecznością, społeczność zaś powstaje w wyniku tworzenia swoistych „reguł gry", sformalizowanego, towarzyskiego ceremoniału.

Kreując własne otoczenie człowiek realizuje swoje marzenia, sprawdza się i doskonali. Będąc wytwórcą formy jest jednak jej więźniem, niewolnikiem pewnego modelu działania, obrazu świata, kodeksu moralnego. „Najgłębsze rozdarcie człowieka. jego krwawiąca rana - pisze Gombrowicz w ostatnim zapisie „Dziennika" z roku 1969 to właśnie to: subiektywizm - obiektywizm Podstawowe. Rozpaczliwe. Relacja subiekt - obiekt, czyli świadomość i przedmiot świadomości jest punktem wyjściowym myślenia filozoficznego. Ten bagatelny problemik, ta maleńka trudność dominuje całą kulturę współczesną".

Świadomość niepewności, niejednoznaczności naszego istnienia, ciągłego uzależniania się od sądów innych osób, powoduje chęć zaprzeczenia, wyrwania się z zaklętego kręgu kolejnych obiektywizacji. Stąd bierze się, częsty w utworach Gombrowicza, motyw ucieczki w dzieciństwo, spokój, nieświadomość. Ów motyw pojawia się już w debiutanckim wyborze krótkich form prozatorskich „Pamiętnik z okresu dojrzewania" (zawartość: .Tancerz mecenasa Kraykowskiego", „Krótki pamiętnik Jakuba Czarnieckiego", „Zbrodnia z premedytacją", „Biesiada u hrabiny Kotłubaj", „Dziewictwo „, „Na 5 minut przed zaśnięciem", „Zdarzenia na brygu Banbury"). W jednym z utworów, którego fragmenty cytujemy na „Pożółkłych kartkach", Grombrowicz opisuje perypetie towarzyszące nadawaniu „formy", rozpaczliwej obronie przed urzeczowieniem powstającym w kontaktach międzyludzkich. Całość historii zostaje skonstruowana na zasadzie wizji sennej, która wydobywa na jaw intymne treści podświadomości: ambiwalencję uczuć, pragnienie „bycia sobą" i „bycia dla innych". Koncepcja snu motywuje wszelkie nielogiczności opowiadania posiłkującego się groteskowym wyolbrzymieniem faktów, niekonsekwencjami przebiegu fabularnego, a nawet... elementami konwencji science fiction (opowieści o „cudownym wynalazku", munchausenowskiej robinsonady etc).

Bibliografia wybrana:

- A. Sandauer: Witold Gombrowicz - człowiek i pisarz, (w:) Dla każdego coś przykrego, Kraków 1966.
- J Błoński: O Gombrowiczu, (w:) „Miesięcznik Literacki" 1970/8.
- A Mencwel: Anty-Gombrowicz. (w:) Sprawa sensu, Warszawa 1971.
- A. Kiiowski: Strategia Gombrowicza (w) Problemy literatury polskiej lat 1890-1939, red. H. Kirchner i W. Żabicki, Warszawa 1972.
- T. Kępiński: Witold Gombrowicz i świat /ego młodości. Kraków 1976.
- A. Falkiewicz: Polski Kosmos. Kraków 1981.
- J Jarzębski: Gra w Gombrowicza. Warszawa 1983

NA 5 MINUT PRZED ZAŚNIĘCIEM

Witold Gombrowicz

W roku 1930-tym, we wrześniu, płynąc do Kairu, wpadłem do Morza Śródziemnego; wpadłem z ogromnym pluskiem, gdyż morze było wówczas gładkie, nigdzie nie zmarszczone falą. Jednakże spostrzeżono mój upadek dopiero w następnej minucie, kiedy okręt zdołał już oddalić się z półtora kilometra - a gdy na koniec zawrócono go i nakierowano do mnie, rozgorączkowany kapitan nadal mu za wielką szybkość i kolos przejechał z rozpędu miejsce, gdzie zachłystywałem się słoną wodą. Jeszcze raz nawrócono i nacelowano - ale i tym razem, minąwszy mnie z szybkością pociągu, zatrzymał się o wiele za daleko. Manewr ten powtarzano z dziesięć razy z niezwykłym uporem. Tymczasem napłynął wielki, prywatny jacht parowy i zabrał mnie na pokład. Co widząc mój okręt, L 'Orient - odpłynął.

Właściciel, a zarazem kapitan jachtu rozkazał związać mnie i wtrącić do komórki pod pokładem, a to dlatego, że gdy kiedyś zmieniał przy mnie obuwie - nieopatrznie zdradziłem zdziwienie na widok jego białej stopy. Choć twarz miał białą, byłbym sie założył, że stopa będzie czarna, jak smoła - a jednak była zupełnie biała! Na skutek tego powziął do mnie bezgraniczną nienawiść. Pojął, że przejrzałem jego tajemnice fizjologiczną, której nikt, prócz mnie, na całym świecie się nie domyślał to jest, iż był białym Murzynem (zresztą, prawdę mówiąc, cała ta sprawa była tylko pretekstem).

Przez osiem następnych miesięcy płynął bez przerwy, ciągle naprzód, przed siebie, przez rozliczne morza, zatrzymując się jedynie dla nabrania paliwa - a cały czas rozkoszował się bezgraniczną dowolnością swej woli w stosunku do mnie, zamkniętego w ślepej komórce i - zawsze do dyspozycji.

Oczywiście, wszelka nienawiść musiała wkrótce zagubić się w bezmiarach dowolności - a jeśli pomimo to wydał mnie na okrutną śmierć, to nie tylko dla mego cierpienia, ile dla własnej rozkoszy Kombinował on długo, jakby za moim pośrednictwem zażyć wrażeń, których sam skosztować nigdy by się nie odważył podobnie jak pewna Angielka, która umieszczała robaczka w pudełku od zapałek i rzucała go w wodospad Niagary. I kiedy na koniec wyprowadzono mnie na pokład, oprócz strachu, doznałem uczuć tęsknoty, żalu, wdzięczności - musiałem bowiem przyznać, że rodzaj śmierci, jaki dla mnie obmyślił, był prawie tym samym, co ten, o którym roiłem czy też śniłem niegdyś, we wczesnym dzieciństwie. Za pomocą specjalnie sprowadzonych przyrządów, od których opisu się wstrzymam, dokonano niezmiernie trudnego dzieła - w rezultacie znalazłem się wewnątrz bani szklanej, kształtu wielkiego jaja, dość wielkiego, abym mógł swobodnie poruszać rakami i nogami, a zbyt małego na to, by można było zmienić leżącą pozycje. Grubość szkła wynosiła jakieś 3 centymetry. Na całej jego powierzchni nie było skazy, ani spojenia - w jednym tylko miejscu wywiercono niewielki otwór, przez który wchodziło powietrze. Weźcie ogromne jajko, nakłujcie je szpilką: to będzie jajo, w którym się znalazłem, a miałem w nim tyleż miejsca, co embrion kurczęcia.

Murzyn pokazał mi wtedy kartę Oceanu Atlantyckiego i oznaczył położenie statku: znajdowaliśmy się mniej więcej pośrodku oceanu, pomiędzy Hiszpanią a Północnym Meksykiem. Tedy dąży od Ameryki ku kanałowi La Manche, północnym brzegom Anglii i Skandynawii, potężny prąd Golfstreamu. Jednakże na mapie widać, iż w odległości tysiąca mil od Europy Golfstream rozdziela się i południowa jego odnoga skręca w dół na prawo, jako prąd Kanaryjski. Po czym znów prąd Kanaryjski skręca w prawo (...) pod nazwą Prądu Równikowego (...), a z kolei Prąd Równikowy skręca w prawo pod nazwą Prądu Antylskiego (...) i prąd Antylski, znów skręcając w prawo, łączy się z Golfstreamem, aby wszystko zacząć od początku. W ten sposób prądy te tworzą zamknięty okrąg o średniej' tysiąca pięciuset do dwóch tysięcy kilometrów. Jeślibyście z pokładu waszego statku strącili w morze kawałek drzewa - bądźcie pewni, iż za pół roku, lub za rok, a może za trzy lata, rozbełtane wody przywiodą go z zachodu w to samo miejsce, z którego odpłynął na wschód.

- Wrzucimy cie w bani szklanej - tak oto można by streścić słowa Murzyna. - Żadna burza cie nie zatopi - masz ze sobą paczkę z trzema tysiącami kostek bulionu, czyli, licząc po jednej kostce na dzień do ssania, żywność na dziesięć lat; masz również mały, ale niezawodny przyrząd do filtrowania wody... Zresztą wody ci nie zabraknie, użyjesz jej pod dostatkiem bujając na fali i pod falą wciąż, bezwiednie, w koło i w koło, przez dziesięciolecie; a kiedy potem skonasz z braku kostek bulionu, trup twój w dalszym ciągu będzie krążył po wyznaczonej drodze, raz dokoła, raz dokoła, raz dokoła.

Wrzucili mnie do oceanu. Jajo zrazu pogrążyło się głęboko poczem wypłynęło... Nadbiegająca fala (a dzień był wietrzny, bezsłoneczny, powierzchnia wód głęboko rozorana, w nieustannym, wzmożonym ruchu) chwyciła mnie na oliwkowy, pieniący się grzbiet i przez chwile dźwigała ciężko - i wyniósłszy przed siebie z szumem i pryskiem strąciła w odmęty. Pod wodą było spokojnie, zielono. Zaledwie jednako obejrzałem na powrót mętne i niewyraźne niebiosa, jak palec Boga nade mną, pionowa góra wodna wdrążyła mnie w otchłań wirów, tym razem, co najmniej na minutę. Trzecia fala niosła banie

na sobie łagodnie czas dłuższy wyprzedziła mnie, osunąłem się po jej uciekającym zboczu i zaznałem trochę spokoju w dolinie. Potem zaś nastąpiła czwarta, piąta i szósta fala. A cóż dopiero podczas burzy. Schylone olbrzymy, zgarbione potwory wynosiły mnie na rozszalałe szczyty, by pogrążyć aż do dna przepaści - nie było zaś naturalnie mowy o tym, aby mogły mnie zatopić. Statek Murzyna śledził mnie jakieś dwa tygodnie, wreszcie zmęczony snadź i przesycony, odpłynął. Zgodnie z otrzymanym pleceniem ssałem codziennie jedną kostkę bulionu, popijając filtrowaną wodą, którą czerpałem przez gumową rurkę. Tak wiec, danym mi było zaspokajać tęsknoty wszystkich tych, którzy spoglądali na morze z kilkupiętrowej wysokości dymiących parostatków, nie mogąc brać w tym udziału. I nie zdołałem nigdy ustalić jakiejkolwiek kolejności w mym wiecznym ruchu, nigdy nie byłem w stanie odgadnąć, czy woda podźwignie mnie, czy wgniecie, czy potrąci tylko i odrzuci, czy twarzą, czy plecami zwróci do nieba, nie mogłem też nigdy spostrzec, abym się posuwał - choć wiedziałem, że dążę na wschód. Nic innego tam nie było - góry i doliny, szumy i bryzgi, małe gejzery, przypadkowe bulgoty, pędzące, wzburzone, prostopadłe ściany, pochyłe zbocza, niknące nie wiedzieć jak pode mną - masy, wielkie wzniesienia, nagłe spadki, wyłaniające się precz uciekające grzbiety, widok ze szczytu i widok w dolinie, góry i doliny, góry i doliny, praca Oceanu. I w końcu dałem za wygraną. Raz tylko spostrzegłem, jak samotna belka, która przez wiele dni towarzyszyła mi w odległości paru kilometrów - powoli oddala się i niknie w mętnej, solą i mgłą nasyconej przestrzeni. Wtedy chciałem krzyczeć w mym jaju, gdyż zrozumiałem, że poniesiona została ku brzegom Europy, podczas gdy ja skręcałem z południową odnogą prądu w stronę wysp Kanaryjskich, aby pozostać na wieki w zamkniętym obrębie - raz dokoła, raz dokoła, raz dokoła - Murzyn dobrze to wykalkulował! Ale zamiast krzyczeć, zacząłem śpiewać, bo żywioł morza usposabiał mnie do śpiewu.

Najechał na mnie okręt francuski Towarzystwa Chargeurs Reunis, rozbił szkło, a mnie wyłowił. W ten sposób skończyła sie ta wędrówka. Ale to stało się dopiero po paru latach. Wysadzony w porcie Valparaiso, rozpocząłem natychmiast ucieczkę przed Murzynem, gdyż wiedziałem na pewno, że będzie mnie ścigał...

„Na 5 minut przed zaśnięciem" (w) „Pamiętnik z okresu dojrzewania", Tow. Wyd. „Roj", Warszawa 1933, wybór ze stron 155 -160.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

1949

SF dla dorosłych (ASF):

36. [ČAPEK Karel]: Inwazja jaszczurów. Powieść. Tłum. z czesk. Jadwiga Bulakowska. Poznań. Wyd. Zachodnie i Morskie. 8° ss. 307, nlb. 3. 10 000 egz. ASF/Utopia.
*37. [ĔFREMOV Ivan]: Gwiezdne okręty. Tłum. z ros. Zofia Beylin. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 129, nlb. 2. Na k. tyt. aut.: I. Jefremow.
38. [GURĔVIČ Gĕorgij]: Łowcy chmur. Tłum. z ros. J[anusz] Przymanowski. Warszawa. Wyd. „Prasa Wojskowa" [MON]. 8° ss. 61.15 000 egz. Nauka-Fantazja-Przygoda. Na k. tyt. aut.: J. Gurewicz.
39. HUXLEY Aldous: Po wielu latach. Powieść. Tłum. z ang. Barbara Czerwijewska. Warszawa. J. Kubicki. 8° ss. 351, nlb. 1. Powieść realistyczna z elementami SF.
40. SAPARIN [Viktor]: Tajemnicze zniknięcie inżyniera Bobrowa. Tłum. z ros. Janusz Przymanowski. Warszawa. Wyd. „Prasa Wojskowa" [MON]. 8° ss. 44. 10 000 egz. Nauka-Fantazja-Przygoda. - Na k. tyt. aut.: W. Saparin.
41. [STUDITSKIJ Al.]: Wąwóz Batyrtar-Dżoł. Tłum z ros. Janusz Przymanowski. Warszawa. Wyd. „Prasa Wojskowa" [MON], 8° ss. 93, nlb. 1. 15 000 egz. Nauka-Fantazja-Przygoda. - Na k. tyt. aut.: Al. Studzicki.

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

42. BASS Eduard: Klub jedenastu. Tłum. z czesk. Zygmunt Hierowski. [Poznań]. Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza. 8° ss. 145, nlb.1. 5000 egz. CJSF/F, właść: młodzieżowa satyra fantastyczna.
*43. STEINOWA Bronisława. Kamiennym toporem. Powieść z epoki kamiennej dla młodzieży. Przedm.: Józef Zakrzewski. Wyd. II [powój. I]. Poznań. „Albertinum" - Księg. św. Wojciecha. 8° ss. VII, 289, nlb.2. SWIFT J.: Podróże... - zob. Utopia.
44. VERNE [Jules]: Łowcy meteorów. Tłum. z franc. Wojciech Natanson. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 250. 10 000 egz. Na k. tyt. imię aut.: Juliusz.
45. [LAGIN Lazar']: Patent AV. Tłum. [z ros] Józef Brodzki. Warszawa. Spółdz. Wyd. „Współpraca". 8° ss 351, nlb.1. Na k. tyt. aut.: L Lagin.

Utopia (U):

BASS E.: Klub... - zob. CJSF.
ČAPEK K.: Inwazja... - zob. ASF.
LE SAGĘ AR.: Diabeł.. - zob. AF.
46. [NĚMCOV Vladimir]: Złote dno. [Wyd. skrócone]. Tłum. z ros. Janusz Przymanowski. Warszawa. Wyd. „Prasa Wojskowa" [MON]. 8° ss. 101, nlb. 2.15 000 ezg. Nauka-Fantazja-Przygoda. - Na k tyt. aut.: Wł. Niemcow.
47. [PLATON]: Platona Państwo. Tłum. [z grec], wstęp, koment. i ilustr. Władysław Witwicki Warszawa 1948 [antydat] Wiedza. 8° T. I ss. 391, nlb. 2; T. II ss. 350, nlb. 2. 5 000 egz.
48. RABELAIS [Francois]: Gargantua i Pantagruel. Tłum. [z franc] Tadeusz Boy-Żeleński. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° T. I ss. 323, nlb.1; T. II ss. 197, nfb.1; T. III ss. 198, nlb.1; T. IV ss. 179, nlb.1. 10 000 egz. Na k. tyt. imię aut.: Franciszek.
49. SWIFT Jonathan: Podróże Guliwera w różne kraje dalekie. Przekład osiemnastowiecznego Anonima. Oprać, i wstęp Jan Kott. Wyd. I w tym oprać. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. XVIII, nlb.1, 457, nlb.5. 10 000 egz.
50. SWIFT Jonat[h]an: Podróże Guliwera w układzie dla młodzieży. Tłum. z ang. i oprać: C[ecylia] Niewiadomska. Wyd. X [I powój.]. Warszawa. Gebethner i Wolff. 8° ss. 303, nlb.1. tabl. 6.
TWAIN M : Yankes... - zob. AF.

Fantazja dla dorosłych (AF):

51. BALZAC [Honore de]: Jaszczur. Powieść. Tłum. [z franc] i wstęp [Tadeusz] BoyŻeleński. Wyd. I powój. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. 291, nlb.2. 10 000 egz. Komedia Ludzka. - Na k. tyt. aut.: Balzac.
52. [LE SAGE Alain Renee]: Diabeł kulawy. Tłum. [z franc] i wstęp Tadeusz Boy Żeleński. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. 230, nlb.1. 10 000 egz. Na k. tyt. aut.: Lesage. - AF/Utopia.
POLSKA nowela fantastyczna. - zob. Weird STEVENSON R.L - zob. Weird.
53. TWAIN Mark: Yankes na dworze króla Artura. Tłum. z ang. Wyd. II. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. 237, 20 000 egz. AF/Utopia. - Brak nazw. tłum.

Horror (W):

54. POLSKA nowela fantastyczna. Antologia. Aut.: Henryk Rzewuski [i in.]. Red.: Julian Tuwim. Ilustr.: Jan Marcin Szancer. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 315, nlb. 2. 5 400 egz. Weird/AF.
55. STEVENSON Robert Louis: Dr Jekyll i Mr Hyde. Człowiek o dwu twarzach. W: Dr Jekyll i Mr Hyde. Opowiadania Tłum. z ang. Bertold Merwin. Poznań. Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza. 8° s. 5-77. 7 000 egz.
56. STEVENSON Robert Louis: Opowieści nocne. Tłum. z ang. Wiłam Horzyca. Poznań. Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza 8° ss. 166, nlb.2. 5 000 egz. Trzy opowiadania, w tym dwa fantastyczne: Diablik we flaszce (Weird) s. 101-140 oraz Wyspa głosów (AF) s. 141-166.

„Zagadki nauki" (MS):

57. [VORONCOV-VEL'AMINOV] B.: Czy jest życie na planetach? [Tłum. z ros. A. Łukasik]. Wyd. II. Warszawa. Wyd. Ludowe. 8° s. 28, 3 nlb. Biblioteka Popularno-Naukowa. Nazwisko tłumacza ustalone na podstawie wyd. I. - Na k. tyt. aut.: B. Woroncow-Wieljaminow.

cdn. Przygotował **Jacek Izworski**

200 milionów lat wydaje się nam niemal wiecznością; nic dziwnego, tylko jedna setna tego czasu wystarczyła, by człowiek wyłonił się ze świata zwierzęcego. Wobec wieku Ziemi 200 milionów lat też nie jest błahostką - ma się tak do tego wieku, jak - powiedzmy - dzień wobec miesiąca. I właśnie mniej więcej przed dwustu milionami lat zaczęły się dziać na Ziemi dziwne rzeczy. Naturalnie, cała historia życia jest w ogóle niezwykła, ale w paśmie tych niezwykłości zdarzają się też wypadki zupełnie niepojęte. Może lepiej ująć to skromniej: współczesna nauka nie potrafi ich wyjaśnić w sposób zasadny i wystarczający. Otóż w epoce, którą uczeni nazywają triasem (był to, jak wiadomo, pierwszy okres ery mezozoicznej),

Maciej Iłowiecki

WIELKIE

życie na planecie rozwijało się juz bardzo bujnie. Wśród różnych gatunków zwierząt najwyższy szczebel drabiny ewolucyjnej reprezentowały wtedy gady, cała era mezozoiczna była niewątpliwie epoką gadów. Dzisiaj paleontologia stosuje różne ich podziały, dla uproszczenia zajmiemy się dwiema grupami gadów, wkraczającymi wtedy w okres gwałtownego rozwoju. Były to mianowicie ssakokształtne terapsydy (Therapsida), starsze, dobrze przystosowane do chłodów okresu przedtriasowego, permu - młodsze, tekodonty (Thecodontia), które lepiej czuły się w cieple i - jeśli można tak powiedzieć - raczej nie miały „ssaczych" predyspozycji. Obydwa te ogromne szczepy gadów miały u początku mezozoiku równe szanse: nie współzawodniczyły ze sobą o pokarm, mogły opanowywać coraz to nowe - jak się to dziś określa - nisze ekologiczne, czyli po prostu nowe środowiska. Pod koniec trrasu - właśnie 200 milionów lat temu - coś się wydarzyło! Bardzo szybko zniknęły z powierzchni Ziemi terapsydy, zwłaszcza wszystkie ich większe formy (paleontologowie przypuszczają, że były źle przystosowane do ocieplenia, które wtedy nastąpiło, ale mimo wszystko zniknęły chyba trochę za szybko). Pozostały, wyłonione właśnie z rodu terapsydów, pierwsze prymitywne ssaki. Były to maleńkie, kilkugramowe stwory, ruchliwe i drapieżne, buszujące przy samej powierzchni gruntu pod osłoną roślin lub chroniące się na drzewach. Żywiły się owadami, ziarnami, korzonkami. Za dnia musiały się ukrywać, na poszukiwanie jedzenia wychodziły tylko nocą Ciemność, chłód i lęk miały im towarzyszyć przez 150 milionów lat i nic nie zapowiadało ich późniejszej ekspansji.
Tymczasem na planecie rozprzestrzeniały się gwałtownie dinozaury, potomkowie drugiego szczepu - tekodontów i wkrótce pełno ich było na lądzie, wodach i nawet w powietrzu (pierwsze gady latające).
Gdyby ktokolwiek rozumny mógł wtedy obserwować biosferę na III planecie Układu Słonecznego, nie miałby wątpliwości: przyszłość należała do dinozaurów i one musiały opanować Ziemię. Nigdy, ani przedtem, ani potem nie było na lądach planety zwierząt tak ogromnych i tak dziwacznych. Naturalnie, owa „dziwaczność" jest względna, bo gdyby dinozaury przetrwały do dziś i były pospolite, nie wydawałyby się aż tak niezwykłe, podobnie jak nikomu nie wydaje się niezwykła np. sarna. Skądinąd dziwne jest coś innego: dlaczego smoki ze wszystkich legend i mitów we wszystkich kręgach kulturowych przypominają właśnie dinozaury? Przecież w czasach, kiedy takie mity powstawały, nikt nie mógł wiedzieć o istnieniu wielkich gadów, ani tym bardziej o ich wyglądzie!
Były to stworzenia istotnie ogromne. Drapieżny Tyrannosaurus (jedyny przetrwały w całości szkielet tego potwora można obejrzeć w Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku) miał 10 m długości, jego olbrzymia, półtorametrowa głowa zaopatrzona była w ostre jak sztylety zęby o długości 20 cm! Roślinożerny Diplodocus miał 25 m długości, Brontosaurus „tylko" 18 m, ważył za to 32 tony (największe dzisiejsze słonie 4,5

tony). Stegosaurus, czyli dinozaur pancerny miał cały grzbiet porośnięty gigantycznymi tarczami kostnymi, sterczącymi pionowo ku górze. W słynnym w początkach naszego stulecia dziele encyklopedycznym „Wszechświat i człowiek" (u nas wydał je Orgelbrand w 1906 r.; cytat przytaczałem już kiedyś, ale przywołam raz jeszcze) prof. German Klaatsch tak pisze o dinozaurach: Do gór wędrujących chyba podobne być musiały. Jest (o, jakby przyroda zerwała tu krępujące ją okowy reguł tworzenia i ściągnąć chciała na siebie zarzut chorobliwie podnieconej fantazji w wydawaniu ogromów".

Owe ogromy nie były zresztą ani tak powolne, nikało wiele mórz śródlądowych szata roślinna stawała się coraz uboższa. Roślinożercę mogły więc zginąć z głodu, skoro zaś ich zabrakło, musiały wyginąć gady drapieżne, ale wszystko to musiało trwać długo, a dinozaury zniknęły dosłownie z dnia na dzień.

Może więc przyczyną był gigantyczna wybuch na Słońcu i gwałtowny wzrost promieniowania X, promieni ultrafiołkowych i strumieni protonów? Może w pobliżu Układu Słonecznego wybuchła gwiazda supernowa (wówczas strumień promieniowań kosmicznych byłby jeszcze groźniejszy w skutkach)? Obie te możliwości są teoretycznie możliwe, nawet prawdopodobne, ale jak dotychczas nie ma znalazł rzadki pierwiastek - iryd, ale w stężeniu niezwykłym, 60 razy większym, niż w innych warstwach. Było tam także znacznie więcej niż gdzie indziej osmu, kobaltu, niklu, cynku, cyny i arsenu.

Skąd się wziął iryd w takich ilościach, skąd tyle innych rzadkich metali - platynowców? Alvarez natychmiast przypomniał sobie wyniki analiz meteorytów - w tych ciałach spoza Ziemi koncentracja irydu i towarzyszących mu metali jest ogromna i podobna, jak w owej „przejściowej" glince z granicy er geologicznych. Wniosek wydaje się oczywisty: granicą między erami było zderzenie planety z gigantycznym asteroidem. To właśnie jego szczątki wzbogaciły w iryd i inne metale osadzającą się wtedy glinę. Wyliczenia, biorące pod uwagę proporcje irydu wskazują, że asteroid musiał mieć średnicę przynajmniej 10 km i wagę ponad 12 trylionów ton; być może było to jądro komety. Tak czy inaczej, zderzenie wyzwoliło ogromną energię 100 milionów megawatów i niewyobrażalną wręcz ilość pyłów i popiołów. Wielka liczba żywych istot zginęła, zanim zdołała w ogóle spostrzec, co się stało. Te, które przeżyły, zaczęły ginąć z głodu i zimna. Gigantyczna chmura pyłów oddzieliła planetę od Słońca, przez kilka lat trwała ciemność i straszliwe chłody. Wymierały rośliny, niezdolne w ciemności do fotosyntezy, bez roślin nie mogły żyć roślinożerne dinozaury, bez tych ostatnich - drapieżne. Było to prawdziwe piekło, zdołało je przeżyć niewiele gatunków, wśród nich drobniutkie, przyzwyczajone do chłodu i ciemności i żywiące się byle czym ssaki. Miała teraz nadejść era ssaków. Świat, który powoli odżywał po katastrofie, był już zupełnie innym światem...

Alvarez nazwał swój scenariusz „hipotezą wyłączonego światła". Wielki asteroid „wyłączył" życiodajne światło Słońca. Hipoteza ta nie jest jeszcze przyjęta w nauce powszechnie, ale tez uznaje się jej niezaprzeczalne walory: najlepiej wyjaśnia wszystkie znane fakty i najpełniej interpretuje ślady sprzed 65 milionów lat. My zwrócimy uwagę na coś innego: otóż świat, w którym dziś żyjemy, jest taki właśnie, a nie inny, dzięki przypadkowej katastrofie! Mało tego sami temu niezwykłemu przypadkowi zawdzięczamy formę, w jakiej Istniejemy. Gdyby bowiem nie owa przypadkowa katastrofa, eliminująca dinozaury z powierzchni Ziemi, ssaki nie mogłyby zająć opuszczonego przez te gady miejsca. Dinozaury na pewno ewoluowałyby ku... inteligentnym potomkom, człowiek mógłby zatem wyłonić się z gadów. Zdaniem wybitnego znawcy dinozaurów, Dale'a Russella, jeden z wielkich kredowych gadów, Stenonychosaurus miał takie, między innymi, cechy: wysoce rozwinięty mózg, stereoskopowe widzenie, wielkie możliwości chwytne przednich łap, dwunożność. Są to właśnie cechy, jakie potomkom ssaków umożliwiły uczłowieczenie!

Z tamtej strony lustra

WYMIERANIE

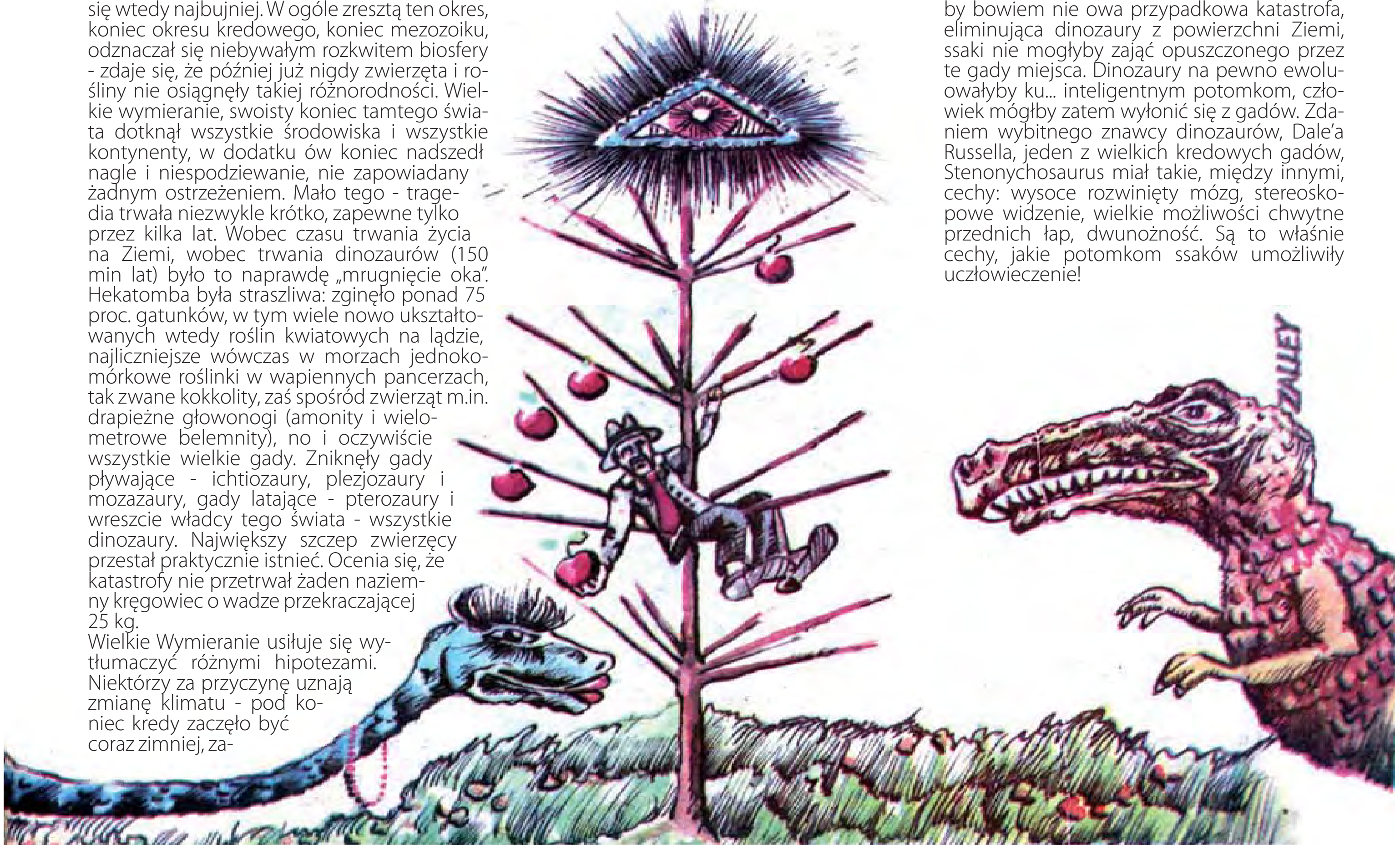
ani tak głupie, jak się to powszechnie przyjęło uważać. Znajduje się coraz więcej dowodów na to, że dysponowały wcale niezłą inteligencją, że potrafiły skutecznie opiekować się swoim wylęgającym się z jaj potomstwem, zaś ich zachowanie nie było prymitywne. Paleontolog R Horner z Uniwersytetu Princeton w USA twierdzi, iż jeden z gatunków dinozaurów - hadrozaury - potrafił tworzyć wspólnoty (stada) zamieszkujące stałe „obozowiska", a w takich wspólnotach występował już swoisty podział pracy. Pod wieloma więc względami dinozaury można porównywać z dzisiejszymi ssakami i rzeczywiście lepiej nie uważać ich za stworzenia głupie i prymitywne. Dinozaurom powodziło się doskonale przez prawie 150 milionów lat- były bowiem świetnie przystosowane do środowisk, które opanowały. Wciąż rozwijały się, tworzyły nowe formy i kto wie, co by się stało, gdyby dotrwały do naszych czasów. I oto pod koniec ery mezozoicznej, prawie dokładnie 65 milionów lat temu, znowu coś się wydarzyło, podobnie jak u początków mezozoiku, ale w jeszcze większym wymiarze. Nastąpiło nagle wielkie wymieranie i to tych właśnie szczepów żywych istot, które rozwijały się wtedy najbujniej. W ogóle zresztą ten okres, koniec okresu kredowego, koniec mezozoiku, odznaczał się niebywałym rozkwitem biosfery - zdaje się, że później już nigdy zwierzęta i rośliny nie osiągnęły takiej różnorodności. Wielkie wymieranie, swoisty koniec tamtego świata dotknął wszystkie środowiska i wszystkie kontynenty, w dodatku ów koniec nadszedł nagle i niespodziewanie, nie zapowiadany żadnym ostrzeżeniem. Mało tego - tragedia trwała niezwykle krótko, zapewne tylko przez kilka lat. Wobec czasu trwania życia na Ziemi, wobec trwania dinozaurów (150 min lat) było to naprawdę „mrugnięcie oka". Hekatomba była straszliwa: zginęło ponad 75 proc. gatunków, w tym wiele nowo ukształtowanych wtedy roślin kwiatowych na lądzie, najliczniejsze wówczas w morzach jednokomórkowe roślinki w wapiennych pancerzach, tak zwane kokkolity, zaś spośród zwierząt m.in. drapieżne głowonogi (amonity i wielometrowe belemnity), no i oczywiście wszystkie wielkie gady. Zniknęły gady pływające - ichtiozaury, plezjozaury i mozazaury, gady latające - pterozaury i wreszcie władcy tego świata - wszystkie dinozaury. Największy szczep zwierzęcy przestał praktycznie istnieć. Ocenia się, że katastrofy nie przetrwał żaden naziemny kręgowiec o wadze przekraczającej 25 kg.

Wielkie Wymieranie usiłuje się wytłumaczyć różnymi hipotezami. Niektórzy za przyczynę uznają zmianę klimatu - pod koniec kredy zaczęło być coraz zimniej, za-

żadnych rzeczowych dowodów, że tak się właśnie zdarzyło.

Parę lat temu, w końcu lat 70-ych, znakomity fizyk z Berkeley, laureat Nobla Luis W Alvarez, badał pewne warstwy osadowe w północnych Włoszech, w Gubbio. Zachował się tu szczególny układ: między wapieniami okresu kredowego (koniec mezozoiku) a wapieniami z trzeciorzędu (początek kenozoiku) występuje cieniutka warstewka „pustej gliny". Sprawa jasna: u krańców kredy coś się stało z organizmami morskimi, których skorupki tworzyły przez tysiąclecia pokłady wapienia kredowego. Minęło niewiele lat (w czasie których właśnie przez krótki czas i dlatego tak cienką warstwą, osadzała się glina bez skorupek) i znów zaczął się tworzyć wapień - ale już ze śladami innych żyjątek, otwornic, charakterystycznych dla trzeciorzędu. Zatem parumilimetrowa warstewka gliny w Gubbio (podobne warstwy znaleziono w Hiszpanii i Danii) jest jakby utrwaleniem dokładnej granicy w czasie - między erą mezozoiczną a erą kenozoiczną (w której my dziś żyjemy).

Otóż w owej warstewce granicznej Alvarez



3 listopada 1983 roku odbyło się w naszej redakcji przyjacielskie spotkanie polskich pisarzy SF, wydawców, tłumaczy i działaczy kulturalnych z delegacją pisarzy i wydawców radzieckich. Spotkanie miało trzy odsłony - dwie oficjalne i jedną kuluarową - oraz zmienny skład. Przy stole dyskutowano o przemianach fantastyki, o miejscu SF i towarzyszącego jej ruchu w światowej literaturze i kulturze. Podczas przerwy w kuluarach, pisarze, wydawcy i tłumacze nawiązywali kontakty robocze. W oczekiwaniu na tłumaczenia książek, które oby były tych kontaktów szybkim owocem, przedstawiamy państwu skrócony zapis rozmów oficjalnych.

Prognoza, impuls i marzenia

I odsłona

GOŚCIE RADZIECCY: Swietłana Michaiłowa (WAAP), Dymitr Bilenkin, Michaił Puchów, Wadim Dunin (WAAP). GOŚCIE POLSCY: Janina Zielonko, Krzysztof Boruń, Tadeusz Gosk, Lech Jeczmyk, Adam Wiśniewski-Snerg, Janusz A. Zajdel. REDAKCJA: A. Brzezicki, Adam Hollanek, A. Krzepkowski, T. Markowski, M. Parowski, J. Rodek, D. Toruń, A. Wójcik.

A. Hollanek: Witam wszystkich gości na naszym spotkaniu, które być może doprowadzi, życzę tego nam wszystkim, do wymiany doświadczeń, autorów, pism. Mamy w Polsce jedną „Fantastykę”, nasi goście z ZSRR mają u siebie kilka almanachów o charakterze czasopism. Rzecz w tym, żeby spróbować przedstawić się wzajemnie, żeby się od czasu do czasu wspólnie wydawać. Na przykład pomysł polsko-radzieckiego almanachu drukowanego periodycznie wart jest chyba podjęcia. Nasza fantastyka nie jest w świecie tak znana jakby na to zasługiwała i jak jest znana, na przykład, fantastyka amerykańska. Jeśli możemy coś wspólnie tu zmienić, podejmijmy taką próbę.

S. Michaiłowa: Bardzo dziękujemy za zaproszenie, za serdeczne przyjęcie, za mnóstwo spotkań i kontaktów, które już w Polsce nawiązaliśmy i jeszcze nawiążemy. Chcemy z wami wszystkimi pogadać, poradzić się, poznać autorów polskich. Pan redaktor wspomniał o wymianie doświadczeń i pism... Chcielibyśmy dostawać choć skromną część nakładu waszego miesięcznika. Niestety numery do nas nie docierają. Znaczyłoby to, że mamy na poczcie zaciekłych miłośników „Fantastyki”. Być może na obu pocztach.

W. Dunin: Jestem przekonany, że spotkania takie jak to będą kontynuowane. Nie tylko w Warszawie i nie tylko w Polsce. Chciałbym wyrazić tu wiarę w naszą ciekawą przyszłość, kontakty, umowy, znaczące sprawy i idee, które urodzą się podczas naszych spotkań - we wszechstronną współpracę. Dla czytelników przecież najważniejszy jest zadrukowany papier, jakim się podczas tych spotkań wymienimy.

M. Parowski: Na początek tej zapoznawczej dyskusji, mam pytanie o cechy szczególne, o główne kierunki współczesnej fantastyki radzieckiej. Za pośrednictwem tłumaczeń i sporadycznej lektury oryginałów mamy tu nieco uproszczony pogląd, ale dziś interesowałoby nas aktualne spojrzenie od wewnątrz.

D. Bilenkin: Problem jest złożony. Odpowiem podobnie jak bohaterowie Czechowa, którzy powiadają, że w Grecji jest wszystko. W radzieckiej fantastyce, jak w Grecji - także jest wszystko. Ale dadzą się tu wyróżnić dwie cechy szczególne. I tak na przykład, kiedy rok temu Radziecki Związek Pisarzy zorganizował seminarium szkoleniowe młodych poświęcone literaturze przygodowej - jego rezultaty okazały się bardzo interesujące. Otóż dwie trzecie seminarium to byli fantaści, a jedna trzecia autorzy utworów detektywistycznych. Fantaści zdecydowanie przeważali. W dodatku bardzo wyraźnie wzrósł poziom literacki ich prac. 15-20 lat temu niektóre z opowiadań uważalibyśmy za wielki sukces. Teraz spokojnie analizujemy je na seminarium, wybrzydzamy. I cecha druga - w latach sześćdziesiątych fantastykę uprawiali tylko pisarze Moskwy, Leningradu, Baku, Kijowa... i już. Chyba wszystkich wymieniłem. Pisali ludzie w dużych miastach. Dziś literatura SF powstaje we wszystkich krańcach ZSRR i, co najbardziej symptomatyczne, pojawia się narodowa fantastyka w republikach. Tego wcześniej nie było.

A. Krzepkowski: Leży na stole przywieziony przez państwa katalog fantastyki ukraińskiej.

D. Bilenkin: Na Ukrainie pisano fantastykę i wcześniej. Ale Mołdawia, Uzbekistan, Tadżykistan, nawet Autonomiczna Republika Jakucka - do rewolucji nie mająca właściwie piśmiennictwa - także dorobiły się fantastyki. I to pisanej w miejscowym, rodzimym języku.

D. Toruń: A co dałoby się powiedzieć o tematyce tej prozy?

D. Bilenkin: Wspomniałem już - „jak w Grecji” - trudno wskazać kierunek czy temat, które nie były rozwijane. Ale pomówmy o zmianach. Dwadzieścia lat temu dużo uwagi poświęcono technice, nauce, problemom podstawowym - teraz jest tego mało. Coraz więcej za to spotyka się utworów, czy to idzie o temat, czy o wykonanie, które trudno odróżnić od zwykłej, tzn. od niefantastycznej literatury. Młody Estończyk, Michał Vellar, napisał teraz zbiór opowiadań SF, wśród których znalazła się zwyczajna proza. Bardzo utalentowany pisarz z Syberii, z Krasnojarska, Oleg Korabielnikow, napisał książkę SF, w której pomieścił także opowiadania realistyczne. Jedno i drugie bardzo dobre, fantaści i realiści uważają go za swego. To przykłady jedne z wielu, dotyczą nie tylko młodych, ale i starszych pisarzy. Znany i uznany Czingiz Ajtmatow, w powieści „Dzień dłuższy niż wiek” - obyczajowej, realistycznej, psychologicznej i zawierającej motywy historyczne - nagle ujawnił skłonność do fantastyki. Spytano go, skąd u niego wątki, elementy science fiction? Odpowiedział - bo współczesna literatura beż fantastyki obejść się nie może.

A. Hollanek: A jak wygląda ten proces w pismach, w miesięcznikach?

M. Puchów: W pismach staramy się pamiętać także o tradycji, nawet o bardzo starej. A więc, że już Tołstoj, już Płatonow pisali piękne opowiadania fantastyczne. W „Technice Mołodioży”, w której kieruję działem fantastyki, ukazuje się i poezja i proza SF, a także dział dziwnych wypadków. Z zainteresowania klasyką wynika na przykład, ze w jednym z ostatnich numerów “TM” jest tłumaczenie opowiadania Wellsa „Wielki skowronek”... Ale jeśli można zmienić nieco temat i rozszerzyć tę prezentację, to chciałbym z kolei powiedzieć kilka słów o was, o recepcji waszych tekstów u nas. Otóż znalazłem się tu nieoczekiwanie, jest was tu wielu, ale nie widzę nikogo, kogo bym nie znał z lektury przynajmniej jednego opowiadania. Czytałem opowiadania Torunia, Krzepkowskiego, Parowskiego, Hollanka, książki Borunia... Czytałem wszystkie powieści Snerga.

A.W. Snerg: Jak pan do nich dotarł?

M. Puchów: O, to różnie bywało. Niektóre polskie książki kupowałem w księgarni Drużba. „Nagi cel” czytałem w jednym z naszych miesięczników. „Według łotra” ktoś mi podarował. Coś jeszcze koledzy pożyczyli. Czytam, żeby wiedzieć, co się dzieje z polską fantastyką i oczywiście dla przyjemności. Czasem tłumaczę.

D. Bilenkin: Niestety, w oryginale po polsku nie czytam, ale znam was z recenzji i przekładów. I jeszcze jedno - w ZSRR. jak w Polsce, jest bardzo dużo klubów miłośników fantastyki. Nawet na wyspie Dixon za kręgiem polarnym tez jest taki klub. Do naszych wydawnictw być może numery „Fantastyki” nie docierają, ale do. tych klubów i owszem. Mam swoje kontakty, wiem to na pewno. Wiedzcie, że w naszych klubach znają was i mają wszystkie numery waszego miesięcznika.

D. Toruń: Co mnie martwi - to fakt, ze wszystko to odbywa się zarówno u nas, jak i u was, w zamkniętym kręgu. U fanów -w klubach; wśród pisarzy - na ulgowym seminarium fantastyczno-detektywistycznym. To wyodrębnienie potwierdzałoby pogląd o jednak uboczności SF w stosunku do całej literatury A w każdym razie o takim jej traktowaniu. Natomiast próby pisania także nie-SF przez ambitniejszych fantastów wyglądają mi na desperackie akty ucieczki

z getta podrzędności.

D. Bilenkin: Niezupełnie tak. Być może z tym seminarium nie zrozumieliśmy się do końca. Bo są u nas organizowane także inne seminaria szkoleniowe Na przykład dla satyryków i humorystów - czy to jest getto? A dramaturdzy..? Też chyba nie. A seminarium pisarzy zajmujących się tematyką wojenną?... Literatura polega na sumie różnych prądów, kierunków, zainteresowań - seminaria mają charakter tematyczny, to zrozumiałe, ale sama literatura jest niepodzielna. I fantastyka ma w niej swoje miejsce.

D. Toruń: Ten problem jednak istnieje - w Polsce, w ZSRR, w świecie - zwłaszcza w dziedzinie krytyki. Tu panuje duża inercja. Jeden krytyk specjalizuje się w literaturze awangardowej, inny tylko w obyczajowej...

D. Bilenkin: ...a bywają krytycy specjalizujący się w jednym pisarzu.

D. Toruń: No wtaśnie. I są jeszcze krytycy starsi wiekiem, teoretycznie interesujący się wszystkim, ale wg nich SF to odmiana literatury młodzieżowe], I oczekują, aż autorzy będą pisać tak jak oni przywykli. W.
Dunin: Ma pan rację, ale tylko częściowo. Rzeczywiście dużo jeszcze ludzi, i w ZSRR, i w PRL, i na świecie, nie uważa fantastyki za normalną literaturę. W tak zwanej normalnej literaturze też jest dużo złych książek, ale ich się tak ostro nie krytykuje, jak tych gorszych książek z terenu fantastyki. Tak bywa, lecz właśnie dlatego roli wspomnianego tu seminarium nie sposób przecenić. To nie jest zwyczajna i oczywista rzecz, że 26 pisarzy zebranych z całego kraju jest na cudzym utrzymaniu przez 2 tygodnie i zbiera się rokrocznie, nie gdzieś z boku, ale w głównym nurcie. Przecież służy to właśnie zmianie sytuacji, która pana irytuje. A już zmieniło się wiele. Teraz nawet „Prawda" pisze od czasu do czasu o fantastyce.

D. Bilenkin: Acha. Nie rzadziej niż raz na rok.

S. Michaiłowa: O gettcie można by mówić, gdyby tylko fantaści usiłowali pisać tzw. normalną prozę. Ale występuje też proces odwrotny. Bilenkin mówił już o Ajtmatowie. Podobnie rzecz ma się ze znanym pisarzem Panowem - w jego pismach pośmiertnych nieoczekiwanie odnaleziono fantastykę. Proza na przykład Jewdokinowa i.Daniłowa staje się gatunkowo nieuchwytna. Ludzie mówią: co to za SF, przecież to normalna literatura... Przydałby się nam i taki jeszcze miesięcznik jak wasz, żeby móc w nim nazywać i śledzić takie właśnie zjawiska przenikania się gatunków, czytać utwory i krytykę różnych szkół. A także śledzić reakcje publiczności zrzeszonej w klubach. Dla mnie to jest wspaniałe, że miłośnicy fantastyki szukają się, odnajdują i idą potem razem.
T. Markowski: A jak to wygląda w ZSRR ilościowo? Ilu jest krytyków SF, a ilu pisarzy?







1. Spotkania z pisarzami radzieckimi, z którymi dyskusją zamieszczamy obok, odbywały sie nie tylko w redakcji, lecz także w innych środowiskach. Na zdjęciu: wieczór autorski w Centrum Kultury w Nowe] Hucie w Krakowie. Od lewej - Leszek Bugajski, Świetlana Michajłowa, Dymitr Bilenkin, Michaił Puchów, Tadeusz Gosk i Adam Hollanek.

2. Pisarskie autografy. Na pierwszym planie Michaił Puchów z czytelnikami krakowskimi.

3. Publiczność w Centrum Kultury podczas wieczoru autorskiego.

M. Puchów: Krytyków mamy mniej niż pisarzy, ale i pisarzy też jest niewielu. Może było nas ze dwudziestu na ostatnim zjeździe. Ale na przykład pierwszy sekretarz Marków mówił tam o SF oddzielnie, jako o nie docenionym nurcie literatury radzieckiej.

A. Hollanek: Czas, wydaje się, pracuje, u nas i u was, na rzecz fantastyki. D. Bilenkin: Na pewno, ale najbardziej na korzyść fantastyki możemy zapracować sami. Miałem zamiar palnąć tu mowę o tłumaczach, których Puszkin nazywał woźnicami kultury (pieriewodcziki-izwoszcziki), o redaktorach, wydawcach... bez których, mimo naszego pisarskiego trudu, nie byłoby literatury ani czytelników. Ale powiem inaczej - my fantaści, serdecznego, żarliwego stosunku do fantastyki dowodzimy naszą literaturą. Bardzo nam pomagacie, kiedy się ukazuje miesięcznik taki jak wasz, podtrzymujący gatunek - literacko, krytycznie, publicystycznie, Dobrze pisząc, dobrze pracując, nawzajem sobie pomagamy i podnosimy swój prestiż.



II odsłona

Po przerwie i dyskusji w kuluarach, przybyli: Wiktor Bukato (Alfa), Maksymilian Celada (MKiSz), Maciej Hoffman (KWCz), Janusz Trzciński (przedstawiciel Wydziału Kultury KC PZPR), Jerzy Wysokiński (Alfa).

A. Hollanek: Baliśmy się, ze z zaproszenia tak dużej ilości państwa na raz nic nie wyjdzie, ale tu i spotkanie doszło do skutku i efekty przerosły oczekiwania. Przed nami następne spotkania...

S. Michaiłowa: Minęły zaledwie trzy godziny, a już się zaprzyjaźniliśmy. Wiemy co planuje KAW, co Alfa, co zamierzają,robić inne wydawnictwa. Wiemy, że wydajecie w „Fantastyce" nie tylko Strugackich i że sięgacie także od czasu do czasu po fantastykę pisaną przez kobiety. Pan Gpsk w kuluarach zadeklarował się, że będzie tłumaczyć także innych autorów literatury radzieckiej, nie tylko Bułyczowa. Nic przeciw Bułyczowi nie mam, proszę mnie dobrze zrozumieć, sama redagowałam kiedyś jego teksty, zanim zaczęłam pracować w WAAP, ale oczywiście cieszę się z tej obietnicy. Przemyślimy tez propozycję red. Hollanka wspólnego wydawania almanachu.

K. Boruń: Chciałbym wrócić do pani wypowiedzi sprzed przerwy, ze młodzi fantaści spotykają się i odnajdują - dzieje się tak na całym świecie - ja też uważam to za wspaniałe zjawisko. Ale dlaczego tak się dzieje? Warto chyba temu poświęcić nieco uwagi... Otóż wydaje mi się, że dziś właśnie fantastyka umożliwia wejście w młode pokolenie, dotarcie do ludzi na pozór hermetycznie zamkniętych w rówieśniczym kręgu. Mam bliskie kontakty z klubami i obserwuję dziwną łatwość porozumiewania się wielbicieli SF z różnych pokoleń. Stąd widziałbym w fantastyce klucz do skutecznego wyjścia jej na przeciw, co nie jest bez znaczenia w naszych trudnych czasach. Fantastyka oczywiście nie wymyśli nam projektu świata, który by nie kiksował. Natomiast umożliwia stawianie pytań rzeczywistości, poszukiwanie, przyglądanie się, modelowanie i ocenianie. To bardzo dużo.

J. Trzciński: Kreuje fantastyka bohatera heroicznego, który w trudnych i zaskakujących okolicznościach umie sobie poradzić dzięki wiedzy, odwadze i moralności. Jest w tym spełniony humanistyczny wymóg pełni. Wizja świata z kart książek fantastycznych, to wizja świata materialnego i poznawalnego, z którego problemami bohater boryka się nie subiektywnie, ale w imieniu zespołu, a czasem całej cywilizacji. Identyfikacja z takim bohaterem na pewno jest dla młodzieży i wychowawcza, i zajmująca.

K. Boruń: W dodatku fantastyka nie jest konkurencyjna dla innych typów literatury...

J. Wysokiński: Przy całym szacunku dla SF - proponuję, nie palmy kadzideł. Książki SF rozchodzą się w Polsce za duże pieniądze, to fakt, ale dotyczący wszystkich książek dobrych z różnych obszarów tematycznych, bo wszystkich dobrych książek w Polsce brakuje. SF niesie cechy dobre i złe, i może wśród różnych zalet powodować także ucieczkę od rzeczywistości.

J. Trzciński: Myślę, że pozytywną rolę przy oddzielaniu rzeczy dobrych od złych odgrywa Lista Bestsellerów „Fantastyki".

J. Wysokiński: Tak, na pewno, ale to już ocena wylanego mleka... Mnie osobiście frapuje osadzenie fantastyki w kontekście jej dróg rozwojowych, pokazanie jak wiele rzeczy z głównego nurtu wyszło z utopii, z początków gatunku. Ukażą się w tym roku w Alfie dwa tomy „Polskiej noweli fantastycznej" zestawione przez Tuwima, ale on nie wybrał wszystkiego. Do 1985 roku wydamy jeszcze cztery takie tomy. Powinniśmy szukać opracowań, które weszłyby na trwałe do bibliotek. Klasyczne opowiadania na przykład - przecież małych form fantastycznych w literaturze rosyjskiej też było bardzo dużo. Powinniśmy to sobie wzajemnie przedstawić.

A. Wójcik: Rozumiem wymóg najwyższej jakości postawiony przez dyrektora Wysokińskiego, ale oddajmy co należne także nieco gorszej fantastyce - ona również pozytywnie oddziałuje na czytelników. Uruchamia bowiem w ludziach zaskakujące cechy osobowości. Czyni ich zdolnymi do poświęcenia, działania, samozaparcia, uporu... Bez tych cech nie powstałby żaden z fanzinów, na których poziom możemy czasem przy innej okazji ponarzekać. Bez tych właśnie cech charakteru Marka Nowowiejskiego i Wiktora Bukato nie powstałoby wydawnictwo Alfa, którym pan kieruje. My też o „Fantastykę" walczyliśmy od roku 1976, wydając przecież po drodze różne biuletyny, nie zawsze pierwszej jakości, ale stanowiące zaprawę do poważnej roboty. W paru z nich drukowaliśmy m.in. prozę pana Bilenkina, co zapewne pamięta. Miłośników SF łączy wspólna płaszczyzna zaczepienia i problemy szersze niż tworzywo, niż nawet - proszę mi wybaczyć - literatura. Fantaści orientują się na współdziałanie, nauki społeczne, psychologię, socjologię. Istnienie pomostów jest rzeczą bardzo dobrą, a przecież to właśnie z myślą o humanistycznej roli fantastyki powiedziano kiedyś, ze świat dzieli się na żółtych, białych, czarnych, czerwonych i... tych, którzy czytają fantastykę.

A. Hollanek: SF jest jednym z nielicznych typów literatury, który czytelnicy odbierają na zasadzie hobby, żeby nie powiedzieć maniactwa - oddziałuje wprost magnetycznie. SF wciąga i odpycha, zrazu czyni potulnym wobec rzeczywistości, by potem jakby wyostrzać czytelnikowi widzenie. Jest literaturą bardzo „krańcową", także w sensie jakości. Bardzo dużo tu tandety, literatury z przymrużeniem oka, a jednocześnie te 2-4 procent SF z prawdziwego zdarzenia pcha do przodu juz nie tylko fantastykę, lecz literaturę, a może nawet myśl ludzką.

A. Wójcik: Spójrzmy na SF od strony twórcy. Można dziś chyba powiedzieć, że nie ma dobrej SF bez dobrej znajomości dnia dzisiejszego. Ta literatura albo rozwija tendencje dnia dzisiejszego, albo stanowi polemikę ze współczesnością. Literatura SF umożliwia budowę modeli socjologicznych jak na komputerze. Mówił o tym pisarz i naukowiec Konrad Fiałkowski. Sprawny, uczciwy autor SF służy społeczeństwie jak doborowa ekipa socjologów.

K. Boruń: Ale nie tylko. Zrekapitulujmy więc wszystkie poziomy oddziaływania SF. Po pierwsze - wartka atrakcyjna fabuła. Po drugie - wspomniane odniesienia do współczesnosći. I po trzecie - wątki ponadczasowe, uniwersalne, bój o wartości

J. Wysokiński: Przyjrzyjmy się tej ostatniej płaszczyźnie. Krytycy twierdzą, że pisarz oderwany od swej ziemi od narodu, umiera. To słuszne zawsze, lub prawie zawsze, w literaturze głównego nurtu. Natomiast SF jest literaturą jakby nieregionalną, w SF podobnie jak w muzyce aparat pojęciowy przekracza granice paru krajów. SF wyciąga nas z ciasnych uliczek lokalnych problemów; jak pilocik w spadochronie wyciąga duży spadochron, tak SF prowadzi nas ku globalnym problemom, czyni nas obywatelami Ziemi, obywatelami wszechświata.

D. Bilenkin: Pozwólcie na krótkie podsumowanie. Na zarzuty, że SF służy eksapizmowi, ucieczce od rzeczywistości, odpowiadamy - każdy rodzaj sztuki może służyć ucieczce od życia. Czy SF może działać jak narkotyk? ...Nie, tego nie może. Może za to co innego. Mój przyjaciel Parnow niedawno wrócił z USA i opowiadał mi, że generałowie amerykańscy zauważyli silny wpływ fantastyki na społeczeństwo i wyciągnęli z tego wnioski. Pieszczą mianowicie amerykańskich pisarzy na przeróżne sposoby, żeby ci zechcieli prowadzić potrzebną im linię. Tak jest, wpływ SF na ludzi zaczyna być powszechnie dostrzegany... Ale są przykłady weselsze. Mówił mi Jefremow, autor „Mgławicy Andromedy", że uczniowie szkół moskiewskich przyrzekli mu wzorować się na jego bohaterach i oddźwięk tej przysięgi do dziś nie wygasł. Bułgarscy uczniowie z Sofii też dawali takie słowo i uczciwie nie palą; jemu na spotkaniu wyjątkowo pozwolili zapalić - na prawach gościa. I ostatni przykład: wpływ SF na duszę człowieka. Siergiej Korolew, ojciec radzieckich rakiet, najbardziej chyba zapracowany człowiek na świecie znajdował czas na czytanie SF. Byłoby śmieszne sądzić, że znajdował w fantastyce rozstrzygnięcia naukowe albo prozę lepszą od Tołstojowskiej. Szukał w fantastyce czego innego. Czego? Wyjaśnił to kiedyś kosmonauta Greczko w wywiadzie telewizyjnym, mówiąc, że bez fantastyki człowiek też wyszedłby w kosmos i ruszył na podbój gwiazd, ale tylko jako inżynier. SF ze swymi marzeniami o takim wyjściu stworzyła w człowieku głębszy humanistyczny impuls, napełniła go tęsknotą za światem gwiazd... Jeśli o nas, pisarzach SF, nieważne gdzie żyjemy, powiedzą w XXI wieku, że nasza fantastyka sprzyjała zdobyciu kosmosu, to nie na próżno żyliśmy, nie na darmo pisaliśmy. I za tę wielką, odpowiedzialną sprawę wznoszę toast.

Notował: **Maciej Parowski**



SEKSMISJA

Film JULIUSZA MACHULSKIEGO

czytaj na stronie 58

Pobrzękują w „Seksmisji" echa znanych ekranizacji SF, jak „Planeta małp" Schaffnera czy „Twarze na sprzedaż" Frankenheimera. Film nie jest również odkrywczy w warstwie obyczajowej... Bo też nie za to kochamy Machulskiego, że wymyślił nam świat od nowa, lecz za to, że zrobił film zabawny i profesjonalnie sprawny. W czasie projekcji, jak w kabarecie, dowcip pada gęsto, a i oko jest na czym zatrzymać, przewija się bowiem w tle wyborny zastęp pań jeszcze nie opatrzonych, bądź dawno nie oglądanych. I filozofia „Seksmisji" jest smaczna: kobiety mają w społeczeństwie swoją role do zagrania, mężczyźni swoją; kiedy te role uszczuplić bądź pomieszać - nie będzie szczęścia. Na rynku wewnętrznym towar wypadnie znakomicie, przy eksporcie, zwłaszcza na Zachód, grożą pikiety feministek, wybuchy petard, a także pomówienia autora o „seksizm" i „męski rasizm". Miejmy nadzieje, że Machulski wkalkulował to w koszta i wyjdzie na swoje.

(mp)





SEKSMISJA

